

Erskine Caldwell

Dom na wzgórzu

(Tłumaczył: Kazimierz Piotrowski)

Przedmowa

Długo pisywałem powieści o Południu, aż pewnego dnia uświadomiłem sobie, że w gruncie rzeczy piszę tylko o ludziach i sprawach ocenianych przeze mnie pozytywnie lub negatywnie ze względów literackiej natury. Oczywiście, cały czas wiedziałem, że odtwarzając ów świat, znany mi od urodzenia, pomijam ważny epizod życia, ale była to rzecz smutna, tragiczna, jakoś osobista, i długo usiłowałem oddalić myśl, że przecież wiem o tym. Uchylałem się od napisania historii, która nazywa się „Dom na wzgórzu”

„Dom na wzgórzu”, podobnie jak „Tarapaty lipcowe”, „This Very Earth” i inne części cyklu, jest jednym z odrębnych fragmentów panoramy ludzkich losów na tle społecznej i ekonomicznej historii. Dzieje Południa, jakie piszę, byłyby niepełne i stronicze bez tego właśnie obrazu. Chociaż wraz z czasami zmieniają się nazwiska, sceneria i ludzkie postęпки, podstawowy temat pozostał ten sam, jakim był, kiedy ludzie po raz pierwszy podjęli próbę obalenia, dla zmiany na lepsze lub gorsze, okrzepłego i umiłowanego modelu życia. Tutaj, na Południu, jak zresztą na całym świecie, odwiecznym motywem jest ból zadawany ludzkiemu sercu, gdy przestarzały model życia przestaje służyć wspólnemu dobru i podejmuje ostateczną, rozpaczliwą próbę uchronienia się przed nieuniknionymi atakami społecznych i ekonomicznych zmian.

Opowiedzianą tu historię ukształtowały niezliczone wahania na szali świadomych i nieświadomych postępków. Wiele z elementów powieści sprawia wrażenie, że są banalne i nikłe — drobne irytacje i pożądanja ludzkie, które można by rozproszyć jednym słowem lub spojrzeniem — w sumie jednak ogólny skutek tych małych spraw jest tragiczny i przygnębiający.

Nic w tym dziwnego, że niewinni cierpią na równi z winowajcami i że udręka niewinnych w „Domu na wzgórzu”, choć nie jest sprawiedliwą pokutą za postęпки reszty, przynajmniej łagodzi wspólny jednym i drugim ból wynikły z zacieklego odwetu.

Niewiele zostało ludzi pokroju postaci z powieści „Dom na wzgórzu”, ci zaś, którzy przeżyli do dziś, pewnie już się pogodzili ze swoim losem.

Życie to przeróżne sprawy wielu ludzi:, a ta szczególna część obszerniejszych dziejów stanowi tylko fragment licznych aspektów rzeczywistości. Niewielu z nas zgodziłoby się wrócić do czasu przeszłego i żyć w sposób opisany w „Domu na wzgórzu”, bo wiemy dziś, że taki tryb życia nie rokuje żadnej nadziei i nie zawiera nawet obietnicy szczęścia.

A jednak jest to nieodłączna część ludzkiego dziedzictwa, korzenie zaś współczesności, mimo że ze wzgardą odnosimy się do gruntu, z jakiego wyrosły, czerpią swe soki z przeszłości. Wobec czego nie da się uniknąć, jak sądzę, by to, co ludzie robią i mówią, było długo jeszcze owocem tamtego drzewa.

Rozdział pierwszy

Południowy wietrzyk, omdlewający i wilgotny, wędrował z niziny, unosił się nad świeżo zaoranymi polami na stoku wzgórza i szeleścił liśćmi wielkich czerwonych dębów otaczających podstarzały dom. Przyszła już wiosna, dzień chylił się ku zmierzchowi. Nocne ptaki cicho przesiedziały upalny dzień na gałęziach drzew i teraz podfruwały niespokojnie. Jak się już obudziły, świergotać będą hałaśliwie aż do świtu.

Na dole, jakieś pół mili od wzgórza, błękitna mgielka drzewnego dymu unosiła się cienką warstwą nad kępą sosen trawioną przyziemnym ogniem, który od dobrych kilku dni płonął uparcie, i bezkarnie. Od czasu do czasu buchał nagle jasny, żółtawy płomień, kiedy pełzający ogień zapalił żywicę, jaka się zebrała w naczyniu na drzewie.

W stronę morskiego brzegu na południu rozciągała się nizina — płaski, niemal bezludny obszar porosły okrytymi mchem cyprysami, wśród których przeświecały rozlewiska martwej przygruntowej wody i głuche zielone moczary.

Na zachód od ognia podgryzającego drzewa ciągnął się milami gęsty, ciemny sosnowy las niczym dywan zmarszczony na falistej ziemi, a na wschód mulista żółta rzeka wytrwale torowała sobie drogę do morza. Na północy obmywane potokami pagórki z czerwonej gliny, wyszczerbione i poszarpane, rysowały się zygzakiem na bladym niebie podgórskiej okolicy.

Lucjana usłyszała ciężkie stąpanie bosych stóp na werandzie i krótko potem Marta, czarna jak smoła i spasiona, stanęła przy jej fotelu.

— Co tam, Marto? — spytała nie podnosząc wzroku.

Marta parę razy żałośnie westchnęła falując potężnym biustem i przestępując z nogi na nogę. Była to zacna dusza, kobieta życzliwa aż do znudzenia i nader łatwo wzruszająca się do łez. Jak na zawołanie potoki łez spływają po jej lśniących czarnych policzkach. Lat miała chyba pięćdziesiąt kilka i zdążyła już żyć na wiarę z niejednym mężczyzną. W tej chwili nie miała nikogo i nie bez dumy użałała się, że przedwcześnie została na lodzie.

— Czego chcesz, Marto? — spytała Lucjana. - Zirytowało ją milczenie Murzynki.

— Pomyślałam sobie, że może by chciała pani posiedzieć ze mną chwilkę i trochę się użalić nad sobą. Wygląda na to, że pani mąż znów nie wróci w porę do domu na kolację. — W dowód współczucia westchnęła żałośnie. — Ó, Boże, Boże mój drogi! Można powiedzieć, byłby już tutaj, gdyby miał zamiar w ogóle dziś wrócić, prawda, moja pani?

Lucjana zamknęła oczy i zacisnęła powieki, zanim zdobyła się na odpowiedź. Gdy otwarła oczy, zobaczyła, jak wielkie cielsko Marty rytmicznie się kołysze przy akompaniamencie głębokich, żałobnych jęków akcentujących każdy ruch.

— Nie wiem — odparła Lucjana starając się opanować głos. — Jeszcze jest wcześnie, Marto.

— Nigdy nie jest za wcześnie dla mężczyzny na powrót do domu. — Marta zrobiła pauzę. — Zwłaszcza dla żonatego.

Lucjana nie odpowiedziała. Marta znów głęboko westchnęła, żeby jej ubolewanie dotarło.

— W kuchni już wszystko zrobione i chyba postawię kolację panu na piecu, to za bardzo nie wystygnie, o ile drzewo się nie wypali i o wiele pan wróci jeszcze dziś wieczór. Po prostu nie wiem, jak sobie poradzić z naszym panem.

Pod koniec słowa Marty zaczęły się zlewać w niewyraźne, irytujące mamrotanie.

— Zostaw panu kolację na piecu, Marto — spiesznie poleciła Lucjana licząc na to, że jej ton da Marcie do zrozumienia, by już poszła sobie i zostawiła ją w spokoju.

Marta jednak ani drgnęła.

— Możesz już iść — stanowczym tonem dodała Lucjana.

Tak, proszę pani — odparła nieco speszona Marta.

Ale nie wyszła. Lucjana spojrzała na nią ze zniecierpliwieniem. Marcie usta zaczęły drżeć, jak zwykle gdy się jej zbierało na płacz. Przez krótką chwilę kręciła się niespokojnie, po czym po obu jej czarnych policzkach popłynęły strumienie łez.

— Proszę pani, jeżeli za ciężko pani samej znieść to wszystko, może bym została jeszcze chwilkę i że tak powiem dotrzymała pani towarzystwa. — Zawodziła, wcale już się nie krępując. — Wiem, co to znaczy, jak mężczyzna gdzieś się szwenda po nocy, choć nie ma tam nic do szukania. To jest jakby się w ogóle nie miało mężczyzny, a nawet znacznie gorzej, bo się ma, a faktycznie nie ma. — Jęknęła płacząco. — Już widzę, że pan Grady

nie wróci dziś wieczór do domu, i nie ma sensu, żeby pani nie wiedzieć jak długo czekała sama. Więc posiedzę z panią i opowiem, jakie ciężkie życie sama miałam z chłopami — znów zakończyła niewyraźnym mamrotaniem.

— Dam sobie radę, Marto — szorstko zapewniła ją Lucjana. — Możesz iść już do domu.

— Tak, proszę pani — bez przekonania odparła Marta.

Lucjana czekała, aż Marta wreszcie się zabierze. Bardzo już chciała zostać sama, Marta znów przestąpiła z nogi na nogę i westchnęła ze współczuciem. Łzy dalej spływały jej po policzkach.

— Proszę pani — szepnęła szlochając.

— No co?

— Jak się pani zdaje, co pani mąż robi tyle czasu poza domem? Gdy wraca, to nigdy nic pani nie mówi? Po mojemu, on ma romans z jakąś kobietą, choć to nieładnie. Och, Boże mój drogi! Słowo daję, z mężczyznami czasem strasznie trudno dać sobie radę.

Przerwała, by rogiem fartucha otrzeć policzki. Żalodne jęki wstrząsały jej ciałem.

— Musi pani otworzyć usta i powiedzieć panu, że się źle sprawuje. Gdybym miała mężczyznę, co by unikał domu, tobym mu wygarnęła i nie pozwoliła się stawiać. Jest to jedyny sposób na tym wielkim świecie, żeby nauczyć mężczyznę przyzwoitego zachowania. Teraz wie pani nie gorzej niż ja, że nie ma najmniejszego sensu z takim trudem znaleźć sobie mężczyznę, jeżeli nigdy nie uświadczysz go w domu. — Głęboko westchnęła. — Nie masz na świecie lepszej rzeczy niż dobry chłop, który robi co trzeba w odpowiednim czasie i miejscu.

— Dosyć! — ofuknęła ją Lucjana. — Ani słowa więcej, mam już dość tej gadaniny, Marto!

— Tak jest, proszę pani — żałośnie szepnęła Marta.

— Idźże już do domu.

— Dobrze, proszę pani — odparła Marta ocierając fartuchem oczy.

Po czym, ze ściśniętym gardłem, zaszlochała na pożegnanie. Kołysząc się w biodrach wyszła przez werandę i podreptała do domu.

Z ulgą, że Marta nareszcie poszła, Lucjana zamknęła zmęczone oczy i słuchała świergotu, nocnych ptaków. Wieczorny wietrzyk z niziny wzmógł się nieco i owiewał rozpalone policzki Lucjany. Siedziała bez ruchu, pomału ogarniał ją wiosenny zmierzch. Po chwili wstała i zaczęła nerwowo spacerować po werandzie. Nie wyobrażała sobie, by mogła przyzwycząić się do cierpliwego czekania na powrót Grady'ego do domu. Miała wrażenie, że całe życie spędziła w głuchej ciszy tego domu podobnego do stodoły, i przez tyle lat myślała tylko o jednym: gdzie jest Grady, co robi i kiedy wróci.

Usłyszała stukanie laski na werandzie. W drzwiach ukazała się mama Elsie, matka Grady'ego, i powłócząc nogami przeszła do fotela na biegunach. Była to rozłożysta i ciężka kobieta po siedemdziesiątce. Na starość zrobiła się kłótniwa i jadowita. Grady był jedynakiem. Mama Elsie wcale nie ukrywała, że jest wrogo usposobiona do Lucjany. Co gorzej, Lucjana wiedziała, że przy każdej sposobności stara po prostu ze skóry wyłazi, by zatruć jej życie. Minął już prawie rok, jak wyszła za Grady'ego, a mama Elsie wciąż traktowała ją jak kogoś obcego, jak nieproszonego gościa.

Lucjana usiadła w fotelu.

Mama Elsie, zanim przemówiła, pohnęła się trochę w fotelu. W takich chwilach monotonne skrzypienie fotela zawsze wydawało się Lucjanie nieuniknionym strojeniem płaczliwego głosu teściowej.

— Coś ty, moje dziecko, wyrabiała, jak przyszłam tutaj? — apodyktycznym tonem spytała mama Elsie. — Dlaczegoś tak się kręciła jak dziki zwierz w klatce?

— Czekam na Grady'ego, mamó — odparła Lucjana wystraszonym, drżącym głosem. — Miałam nadzieję, że wróci dzisiaj do domu.

— Boże litościwy! — powiedziała mama Elsie. — Nawet mi się nie śniło, że będę musiała spędzić ostatnie lata mego życia pod wspólnym dachem, w moim własnym domu, z osobą, która tak się sprawuje. Całymi dniami siedzisz tu osowiała. Zawzięłaś się, by zatruć życie mojemu synowi.

— Nie, mamó! Ty nie rozumiesz!

— Co takiego? O nie, nie jestem idiotką. Wiem, czego byś chciała. Żeby Grady dniem i nocą leżał jak pies u twoich stóp. Grady ma prawo robić, co mu się żywnie podoba. Wróci do domu, jak przyjdzie na to pora. A ty robisz z siebie idiotkę. Boże litościwy, oby nigdy nie dał się zastraszyć i pod przymusem robił rzeczy, na które nie ma

ochoty. Byłby to wstyd i hańba, gdyby się zgodził prowadzić życie wedle twojego upodobania.

Lucjana zagryzła wargi. Jeszcze raz zdała sobie sprawę, jak bezcelowa byłaby wszelka próba obrony. Zamknęła oczy w nadziei, że milczenie może choć raz zniechęci mamę Elsie do jeszcze jednej, nieskończenie długiej tyrady. Przenikliwy świergot nocnych ptaków łagodził skrzypienie fotela, przynosił ulgę.

Przez długą chwilę nie padło ani jedno słowo. Nagle skrzypienie ustało.

— Słyszę samochód — powiedziała mama Elsie. — To pewnie Grady.

Lucjana zerwała się z fotela i podbiegła do balustrady werandy. Droga rzeczywiście nadjeżdżał samochód przesłonięty przez gęste liście drzew. Lucjana pochyliła się zaciskając kurczowo dłonie na balustradzie.

— A widzisz! — zaczepnym tonem odezwała się mama Elsie, triumfalnie huśtając się w fotelu. — Powiedziałam, że Grady wróci do domu, jak przyjdzie na to pora. Może zrozumiesz wreszcie, jaką idiotkę zrobiłaś z siebie. Na drugi raz spróbuj opanować się i zachować z większą godnością.

Lucjana drżącymi palcami przyglądała sukienkę i poprawiała włosy. Samochód już skręcał przed dom.

— Słuchaj, żebyś mi tylko nie zapomniała się przy Gradym — mama Elsie znów się rozgadała. — Nie zapominaj, kim jesteś. Prędzej bym wołała w grobie się znaleźć, niż zobaczyć własnego syna obarczonego żoną, która zadręcza go pytaniami, gdzie był i co robił każdej chwili spędzonej poza domem. Boże litościwy. Jak następnym razem nie będzie go parę dni, nie rób z siebie idiotki. Zawsze wróci, kiedy będzie miał na to ochotę. Przysługują mu pewne przywileje, ty nie masz prawa ich kwestionować. Najwidoczniej nikt cię tego nie nauczył.

— To Grady... tak, to on! — zawołała podniecona Lucjana.

— Radzę dobrze słuchać tego, co ci kładę do uszu, młoda damo. Bo póki tchu w mej piersi, będę czuwała, by Grady'emu nie zatruwała życia osoba, z którą całkiem niepotrzebnie się ożenił.

Rozdział drugi

Ciężki samochód „coupe” zatrzymał się przed porośniętym winoroślą portykiem domu. Kierowca tak gwałtownie nacisnął hamulce, że mocno szarpnął wozem. Błogo uśmiechnięty Grady siedział przez chwilę za kierownicą. Po czym wolno, ostrożnie otworzył drzwi i postawił nogi na ziemi. Wytarabanił się z samochodu i niepewnym krokiem ruszył w stronę schodków werandy. Od trzech dni się nie golił, czarna czupryna się zmierzwiła, koszula wyłaziła mu ze spodni, krawat gdzieś się zapodział. Buty oblepiła zeschnięta czerwona glina. Wyglądał, jakby przez dobrych parę nocy nie spał. A jednak regularne rysy jego twarzy zachowały chłopięcy wyraz. Był bardzo wysoki i szczupły, cerę miał ciemną, niemal negroidalną.

Rozpromieniona Lucjana zbiegła po schodkach by powitać męża. Zobaczył ją, poznał — przystanął. Cofnął się parę kroków, oszacował żonę spojrzeniem. Obserwował jej wdzięczne dziewczęce ruchy, jakby zupełnie zapomniał, jak wygląda. Przechylił głowę i skinął nią z aprobatą.

— O, Grady! — zawołała idąc do niego.

— Stój, nie ruszaj się! — krzyknął niespodziewanie głośno, niepewnymi rękami dając znaki, by nie podchodziła do niego.

Lucjana przystanęła zdziwiona. Ale uśmiechała się z zachwytem w oczach.

— Tak się cieszę, Grady! — zapewniła gorąco. — Strasznie tęskniłam za tobą!

Odstąpił na bok zmierzyl ją od stóp do głów.

— Jestem taka szczęśliwa, żeś wrócił, Grady.

— Pięknie mnie powitałaś, Lucjano. Lepiej nie można. Bardzo, bardzo stosowne powitanie.

— Wiesz, że to szczere, Grady.

— Na pewno, Lucjano. Jasna rzecz.

Ilekróć wracał po parodniowej nieobecności, zawsze najpierw był urzeczony jej widokiem, ale po kilku minutach Lucjana przestawała go interesować. Za każdym razem starała się ukryć rozczarowanie i wierzyła, że to się zmieni. Teraz zebrało jej się na płacz,

gdy zobaczyła, jak uśmiech znika z twarzy Grady'ego. Starając się ukryć żal podbiegła do niego. Rozwarł ramiona, by przytulić ją do siebie, ale stracił równowagę i byłby upadł, gdyby go nie podtrzymała.

— Och, Grady, jesteś pijany — powiedziała ze smutkiem. .

Od razu spostrzegła się, że niepotrzebnie to powiedziała, ale już było za późno.

- To moja rzecz, jedna z wielu moich rzeczy — odparł ordynarnym tonem patrząc na nią spode łba. Uwolnił się z jej objęć. — Ja się zajmuję moimi sprawami, a ty pilnuj swojego nosa.

— Przepraszam za to, co powiedziałam, Grady — kajała się zrozpaczona Lucjana.
— Nie chciałam cię obrazić, to naprawdę nieważne!

Niezgrabnie schylił się do niej i musnął ustami jej policzek. Nigdy nie mogła mu się oprzeć, gdy ją całował lub wziął w ramiona, a teraz czuła jeszcze większą niż zwykle słabość do niego. Wzięła go za rękę i mocno ją ścisnęła.

— Nie masz do mnie pretensji, co?

Chłopięcym uśmiechem zupełnie ją rozbroił. Była szczęśliwa, że go odzyskała. Upił się, ale to już nie miało żadnego znaczenia.

— Więc jak to jest? — spytał.

— Ależ wcale się nie gniewam — szybko odparła tuląc się w jego ramionach.

— A to świetnie — powiedział i brutalnie odepchnął ją od siebie.

Wzięła go za rękę, chciała poprowadzić do schodków werandy. Wyrwał się jej.

— Chodźmy do domu, Grady — nalegała. — Dam ci czystą odzież. - Błagalnie patrzyła mu w oczy. — Ogolisz się, wejdiesz pod prysznic, a ja tymczasem przygotuję wszystko dla ciebie. Czy to nie sprawiłoby ci przyjemności, Grady? Proszę cię, Grady!

Trzepnął ją w rękę, żeby go puściła.

— O, co to, to nie, mądralo! — zaprotestował podniesionym głosem wciąż opędzając się ręką od niej. — Wiem, czego byś chciała. Ale nie dam się nabrać. Chcesz wciągnąć mnie do domu i tam dopiero zrobić piekło za to, że nie było mnie trzy dni i że teraz wyglądam jak... jak co? No, powiedz sama.

— Wiesz, że to nieprawda, Grady! Nigdy tego nie robiłam. Nie gniewam się — jestem zbyt szczęśliwa, bym mogła się gniewać. Proszę cię, nie mów tak.

— Będę mówił, co tylko mi się spodoba, Lucjano.

— Jesteś niesprawiedliwy, Grady. Nigdy nie byłam wobec ciebie podstępna.

— A jednak wolę być ostrożny — odsunął ją na bok i poszedł w stronę werandy. —
Zostań tutaj.

Poszła za nim.

— Proszę cię, Grady, pozwól mi wejść do domu — prosiła wyzbywszy się wstydu. —
Chcę być z tobą.

— Zamknij twarz i zrób, co ci kazałem — odparł brutalnie. Odwrócił się i spojrzał
na nią ze złością. — Powiedziałem ci raz i nie będę powtarzał.

Lucjana odwróciła się i wolno podeszła do fotela, na którym siedziała, kiedy
przyjechał Grady. Grady przechodząc koło matki poklepał ją po ramieniu. Odwróciła
głowę i z uznaniem odprowadziła go wzrokiem, gdy szedł w stronę frontowych drzwi.

Nie tracąc nadziei, że serce Grady'emu zmięknie, Lucjana szła za nim do drzwi.
Odwrócił się i zobaczył ją.

— Po raz ostatni mówię ci, byś mnie usłuchała — ostrzegł.

Potknął się na progu i wszedł do hallu.

— Lucjana! — podniesionym głosem powiedziała mama Elsie. — Chodź no tu!

Lucjana zawahała się. Życie by oddała za to, by Grady pozwolił jej wejść do swego
pokoju. Nasłuchiwała, jak ciężko stąpał po schodach na górę.

— Chodź tutaj, zanim zrobisz z siebie jeszcze większą idiotkę — ostrym tonem
upomniwała ją mama Elsie. — O, Boże litościwy!

Lucjana odwróciła się i wolno podeszła do fotela, na którym siedziała, kiedy
przyjechał Grady.

— Obym już nigdy w życiu nie była świadkiem równie odrażającej sceny w tym
domu — zaczęła mama Elsie, mierząc zimnym spojrzeniem Lucjanę. — Jeżeli nie masz tu
nic innego do roboty, to przynajmniej naucz się słuchać Grady'ego. W naszej rodzinie
mężczyźni zawsze byli panami domu. Można się spalić ze wstydu patrząc, jak ty się
zachowujesz.

Lucjana, z oczami pełnymi łez, szlochała. Mama Elsie znów zaczęła się huśtać na
skrzypiącym fotelu i beznamietnym wzrokiem obserwowała synową.

— Popłacz sobie do syta — powiedziała uśmiechając się z zadowoleniem — a może wyzbędziesz się tej niewybaczalnej wady charakteru. Tak czy inaczej, płacz ci nie zaszkodzi. Przyjdzie dzień, że nauczysz się słuchać Grady'ego i przestaniesz robić takie okropne sceny. W rodzinie Dunbarów kobiety zawsze były posłuszne. I ty też będziesz.

— Ależ to nie ma sensu, mamó — bezradnie zaprotestowała Lucjana. — Nie obchodzi mnie, jak inne kobiety kiedyś postępowały. Nie chcę być traktowana, jak... jak... sama nie wiem co! To się nie godzi... tak nie można!

— O, Boże litościwy! Mówisz od rzeczy. Taka jest tradycja rodziny Dunbarów, moje dziecko. Byłaś obcą osobą. Przez małżeństwo z Gradym weszłaś do naszej rodziny i musisz przystosować się do zasad, wedle których żyjemy. Sama zresztą jesteś sobie winna, żeś wyszła za Grady'ego. A teraz musisz ponieść konsekwencje.

— Ale Grady jest coraz gorszy, mamó. Potrzebny mu jest ktoś, kto by go pohamował.

— Kiedy udało ci się podstępnie wyjść za mojego syna, czy liczyłaś na to, że go odmienisz? I dlatego wyszłaś za Grady'ego? Żeby go przerobić Wedle twojego wzoru mężczyzny? O, Boże litościwy!

- Skądże by znowu! Nic takiego nie przyszło mi do głowy. A jednak liczyłam na to, że Grady zmieni się, jak się pobierzemy.

Usłyszała, że matka Grady'ego chichocze. — Nigdy nie będzie inaczej, moje dziecko - mama Elsie odezwała się po chwili. — Oszczędziłabyś sobie próżnych żalów, gdybyś już teraz pogodziła się z tym faktem. Dostałam nauczkę, ja wyszłam za ojca Grady'ego. Był całkiem taki sam. Nie dał się zawojować kobiecie. Czterdzieści lat życia kosztowało mnie pogodzenie się z tym, że tak musi być. Przyjdzie dzień, że i ty zrozumiesz co zrozumiały wszystkie żony w naszej rodzinie. Dunbar to Dunbar i nikt go nie odmieni.

— Ale Grady jest uparty jak koziół, mamó. Nie chce słuchać, co się mówi do niego. A ty zawsze z nim trzymasz, cokolwiek powie lub zrobi. I dlatego tak trudno z nim sobie poradzić.

— Boże litościwy! U nas ostatnie słowo zawsze należało do mężczyzn i do niczego to niepodobne, by ledwie ktoś wszedł do naszej rodziny, od razu się brał do krytyki i wydziwiania. Niepotrzebne nam są rady intruzów. Jesteśmy rodziną o świetnym wprost

nazwisku i jeżeli masz zamiar zostać wśród nas, musisz się do nas upodobnić. Mówisz, jak cudzoziemka nie mająca ani krzty szacunku dla naszych tradycji, ale czy można się spodziewać czegoś więcej po osobie, co nie wiezieć skąd się wzięła i nie ma powiązań z żadną rodziną znaną mi choćby ze słyszenia. Wstyd bierze, jak się widzi różnych okropnych ludzi, którzy przybłąkali się tutaj i chcieliby, ażebyśmy zniżyli się do ich poziomu. Absolutnie nic nie wiadomo o twojej rodzinie. Spędziła tu zaledwie dziesięć lat. O nie, ty nie masz najmniejszego prawa korzystać z przywileju należenia do naszej rodziny.

— I wcale mi na tym nie zależy!

— O, Boże litościwy! Wiedziałam, wiedziałam, że tak jest! Bóg karze nas za chwilę słabości Grady'ego, a przecież właśnie ty powinnaś ponieść karę za to, żeś babskimi sztuczkami omotała Grady'ego. Gdyby żył jego ojciec, toby wypłacił ci okup i oszczędził nam hańby. Ilekroć mój chłopak jechał do Atlanty lub Savannah, bałam się, że złapie go w sidła osoba twojego pokroju, dziewczyna, którą chciał się tylko pobawić przez parę dni. Jak tylko zobaczyłam cię pierwszy raz, wiedziałam, że wpędzisz w nieszczęście naszą rodzinę. Bo to jest główny cel twoich szatańskich machinacji.

— Nie rozumiem, co masz na myśli! O czym ty mówisz?

— To jasne jak słońce, że zmierzasz do tego, by nazwisko Dunbar przestało istnieć..

— Ależ to nie moja wina, mamó. Gdybyś zechciała...

— Potrafię sama wyciągać wnioski, młoda kobieto.

— Uwierz mi, proszę, mamó. To właśnie Grady...

— Boże litościwy! To świadomy fałsz, sama wiesz, że to kłamstwo! — trzęsła się ze złości. — Coś podobnego! Chcesz na mojego syna zwalić winę za twoje własne wady i twoje oszukaństwo! Ani słowa więcej na ten temat! To śmieszne — to są wierutne brednie! Coś podobnego! Szkoda, że Grady nie słyszy, co wygadujesz — on by ci zamknął usta!

— Ale gdyby tylko Grady...

— Sporo jeszcze męskości zostało w naszej rodzinie jeśli do tego pijesz, młoda damo — stwierdziła mama Elsie starannie modulując głos. — I raczej prawdziwej kobiety brakuje teraz w tym domu. — Spojrzała na Lucjanę z wyniosłą miną. — Co za tupet!

Lucjana ukryła twarz w dłoniach. Płakała. Ilekroć próbowała wyjaśnić, na czym polega cała bieda, mama Elsie nie chciała jej słuchać. Przez całą zimę i wiosnę teściowa bez przerwy jej przygadywała. Doszło do tego, że Lucjana bała się każdego z nią spotkania.

— To ci nic nie pomoże — chłodno oświadczyła mama Elsie. — Oszczędź łez, byś mogła posłużyć się nimi wobec mężczyzny. Kobieta za bardzo jest przyzwyczajona do łez, by miała dla nich szacunek.

— Właśnie Grady jest nieczuły na łzy i siedzi z założonymi rękami — powiedziała Lucjana rozpaczliwie starając się przekonać mamę Elsie. — Musisz mi uwierzyć!

— Boże litościwy! Ani myślę słuchać, co wygadujesz o moim synu, choćbyś udawała, że jesteś jego żoną.

— Ale to prawda, czy chcesz w to wierzyć, czy nie — spokojnie powiedziała Lucjana.

— Nie uwierzę ani w jedno twoje słowo, jak będziesz uporczywie opowiadała takie rzeczy o moim synu — zakończyła mama Elsie wstając z fotela i omijając ją po drodze do drzwi. — Zawsze podejrzewałam — dodała — że jesteś niepoczytalna i niegodna zaufania, a teraz mam na to ostateczny dowód. Jesteś osobą bez czci i wiary, skoro własne braki zwalasz na biednego Grady'ego. Jaka szkoda, że dał ci się złapać w szpony. Serce krwawi mi z żalu nad biednym chłopcem. Niechaj Bóg zlituje się nade mną.

Wyszła zostawiając Lucjanę płaczącą w ciemności.

Rozdział trzeci

Lucjana bardzo długo czekała na werandzie, zanim zdecydowała się wrócić do domu. Było już zupełnie ciemno, wszystkie światła w domu wygasły.

Po omacku przeszła przez czarny mrok hallu i wbiegła po schodach na pierwsze piętro. Przy stanęła, by nabrać tchu, i na palcach przeszła obok drzwi do pokoju Grady'ego. Miała ochotę wtargnąć do jego pokoju i paść mu w ramiona, ale zacisnęła zęby i poszła korytarzem w stronę swej sypialni ostrożnie stąpając, by nie zatrzeszczała podłoga i Grady nie usłyszał, że weszła na górę. Kazał jej zostać na werandzie, a nic łatwiej nie wyprowadzało go z równowagi niż jej lub czyjekolwiek nieposłuszeństwo. Kiedy wpadł w furję, zupełnie tracił panowanie nad sobą, kłął i młócił rękami wszystko i każdego, kto mu się nawinął. Czasem minęło dwa lub trzy dni, zanim wyczerpał się jego gniew. Lucjana szybko weszła do swej sypialni, by się uczesać i przebrać.

Rozbierając się nasłuchiwała licząc na to, że Grady da znak życia w wielkim pustym domu. Za każdym skrzypnięciem butwiejących desek lub szmerem osiadającego ze starości drzewa, czego pogłos słychać było w całym domu, Lucjana z zapartym tchem nadstawiała uszu w nadziei, że to Grady idzie korytarzem do jej pokoju. W pustej sypialni wciąż wracała myślą do ostatnich trzech dni i nocy zastanawiając się, gdzie był i co robił tyle czasu. Właściwie to nie miała pojęcia, z kim się zadawał w Maguffin, stolicy hrabstwa, do której było piętnaście mil, ale wiedziała, że większą część czasu spędzał w barze i domu gry prowadzonym przez Skeetera Wilhite'a. Wiadomość tę zawdzięczała Benowi Baxterowi, cioteczemu bratu Grady'ego, który praktykował jako adwokat w Maguffin i w zimie nieraz jej mówił, że Grady przegrywa więcej pieniędzy, niż go na to stać, i jeśli nie będzie się trzymał z dala od Wilhite'a, katastrofa niedługo da czekać na siebie. Grady nierzadko płacił w barze rachunki wynoszące sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt dolarów, bo stawiał kolejki wszystkim gościom, a zdarzało mu się w ciągu jednej nocy przegrać parę setek. Czasem wygrywał w kości, wtedy jednak zwykł był stawiać całą wygraną na czerwoną kartę i w dziecięciu przypadkach na dziesięć (sam Skeeter tasował karty) opuszczał lokal splukany lub zadłużony po uszy.

Lucjana doszła do wniosku, że nie ma sensu za każdym razem pytać Grady'ego, gdzie był i co robił, bo ilekroć zapytała, wpadał w coraz większy gniew i ordynarnie ją lżył. A nawet jak był w dobrym humorze, co mu się rzadko zdarzało, odpowiadał bez zająknięcia w sposób mętny i wymijający — twierdził, że prowadził w mieście ważne pertraktacje handlowe. Po dziesięciu miesiącach małżeństwa na pamięć znała tę bajkę. Wiedziała również, podobnie jak mama Elsie, że niemal po każdej takiej eskapadzie Grady musiał obciążyć farmę nowym długiem hipotecznym, aby pokryć rachunki barowe i przegrane w lokalu Skeetera Wilhite'a.

Zostało im już niewiele ziemi. Kiedyś plantacja Dunbarów obejmowała ponad pięć tysięcy akrów najżyźniejszych gruntów w całej okolicy. Dwu pokoleniom przynosiła sto tysięcy rocznego dochodu z bogatych upraw bawełny na nizinie i z wyrębu dziewiczych lasów. Ojciec i dziadek Grady'ego nigdy nie musieli liczyć się z kosztami zaspokajania wszelkich zachcianek, ale co było ich szczęściem, stało się nieszczęściem dla niego. Odziedziczył po nich rozrzutny tryb życia, a równocześnie przypadły mu w spadku wyjałowione i skorodowane pola pod uprawę bawełny i przetrzebione lasy. Gdy skończył dwadzieścia lat, plantacja zamiast dochodów przynosiła straty, wobec czego rok po roku Grady zaciągał hipoteczne długi, zdobywając w ten sposób pieniądze na bieżące wydatki. Teraz, po licznych wykluczeniach¹, z wielkiej plantacji pozostało mu tylko dwieście akrów.

Dwupiętrowa rezydencja, ze zmurszałymi gontami i wypaczonymi deskami, którymi oszalowano ściany — w najlepszych czasach rodu Dunbarów wspaniała budowla i słynny obiekt, podziwiany przez turystów — była dziś w tak opłakanym stanie, że bank w Maguffin wprost odmawiał udzielenia nawet drobnej pożyczki z zabezpieczeniem na hipotece tej nieruchomości. Dom tak ucierpiał z braku elementarnej konserwacji, że kominy z cegły skruszyły się i osiadły na dachu. Z tego powodu żadne towarzystwo ubezpieczeniowe nie chciało ubezpieczyć domu od ognia. Północne skrzydło zapadło się zupełnie, gdy wykruszyły się fundamenty z cegły, a kiedy padał deszcz, całymi dniami woda ciekła i kapła ze ścian i sufitów. Znaczna część dachu, wraz z krokwiami, zwała się na drugie piętro, obecnie nie zamieszkałe. Za każdym razem, gdy Lucjana wspomniała o stanie, w jakim się znalazł dom, Grady wpadał w gniew i kwitował sprawę

¹ Właściciel nieruchomości, obciążonej długiem hipotecznym, może spłacając dług odzyskać pełne prawa do tej nieruchomości, chyba że wierzyciel dokona aktu wykluczenia.

oświadczeniem, że nie będzie wyrzucał pieniędzy na reperacje, a poza tym dom, w obecnym stanie, akurat, nadaje się do tego, by ona w nim mieszkała.

Stojący na toalecie nieduży zegarek w srebrnych ramkach — był to jeden ze ślubnych prezentów od jej matki — wskazywał godzinę dziesiątą. Grady jeszcze nie przyszedł do jej pokoju. Lucjana otworzyła drzwi na korytarz i nasłuchiwała przez chwilę. W domu panowała niczym nie zmałona cisza. Lucjana wróciła i włożyła nową sukienkę. Chciała, by Grady ją zobaczył. Sukienkę przysłała jej matka. Postanowiła włożyć ją dopiero, jak Grady wróci do domu.

Cichutko, na palcach, weszła w ciemny korytarz. Mama Elsie spała. Marta poszła na noc do siebie, w całym domu panowała głucha cisza. Stąpając po gołych deskach korytarza, Lucjana nie mogła opędzić się wspomnieniom, które opadły ją niczym złe sny, o tylu samotnych nocach, kiedy czekała na powrót Grady'ego żywiąc nadzieję i prosząc Boga, by mąż, jak wróci, przyszedł do jej pokoju. Ale wracał pijany. W całym domu słychać było jego wrzaski i przekleństwa, aż wreszcie walił się na łóżko i spał do popołudnia następnego dnia. Zdarzało się też, jak dziś, że bez słowa wchodził do swego pokoju i nie słychać go było do rana.

Doszła do drzwi sypialni Grady'ego, nastawiła uszu. W sypialni było cicho. Odrzuciła w tył włosy, szybko przyglądziła je obu rękami i poprawiła sukienkę. Przekręciła gałkę u drzwi. Były zamknięte na klucz. Gdy szła korytarzem, powtarzała sobie uporczywie, że tym razem drzwi nie będą zamknięte i że wejdzie do środka, zanim Grady się spostrzeże. Kiedy indziej rozplakałaby się z żalu, dziś jednak mocno postanowiła opanować się i nie ustąpić tak łatwo. Drżąc na całym ciele cicho zapukała do drzwi. Natychmiast w pokoju coś się ruszyło, łóżko lekko zaskrzypiało i znów zapadła głucha cisza. Czekwała długo z zapartym tchem, aż do bólu. W ciemnym korytarzu panowała przerażająca cisza. Lucjana wzdrygnęła się ze strachu.

— Grady — szepnęła drżącym głosem.

Nie było odpowiedzi. Serce biło jej z podniecenia, dygotała.

— To ja, Grady — powiedziała błagalnym głosem.

I znowu cisza. Zacisnąwszy kurczowo ręce czekała, aż się Grady odezwie.

— Proszę, Grady — powiedziała jeszcze raz, nie mogąc już dłużej czekać. Głos zabrzmiał natarczywie w jej uszach. — Chcę wejść, Grady. Wpuść mnie, proszę cię.

Ledwie to powiedziała, w pokoju szurnęło, jakby ktoś szybko odsunął krzesło. Znów przekręciła gałkę, ale zamek nie ustąpił. Zaczęła zawzięcie terkotać gałką.

— Grady, proszę cię, nie pozwolisz mi przyjść do ciebie? — błagała. — Tak bardzo mi ciebie brak! Tyle czasu cię nie widziałam i strasznie za tobą tęskniłam, Grady.

Usłyszała, jak Grady bosy idzie przez pokój. Wiedziała, że stanął za drzwiami. Był tak blisko, serce jak szalone tłukło jej się w piersi.

— Och, Grady!

— Czego chcesz? — spytał z irytacją.

— Chcę ciebie, Grady! — zawołała tłukąc pięś ciami w drzwi. — Chcę być przy tobie, Grady! Nic więcej — tylko być z tobą!

— Nie teraz. Odejdź.

— Proszę cię, nie bądź taki okrutny! To ponad moje siły! Gdybyś pozwolił mi zostać przy tobie choć chwileczkę...

— Wracaj do swojej sypialni.

— Nie, Grady, musisz mnie wpuścić! — prosiła. — Taka byłam samotna...

— Powiedziałem, żebyś poszła sobie, nie? — odparł ze złością.

Usłyszała, jak Grady odchodzi od drzwi. Świadomość, że nie ma go już tak blisko, zupełnie ją załamała. Nie mogła się opanować, oczy zaszyły jej łzami. Nigdy jeszcze nie czuła się tak wzgardzona, była to udręka ponad jej siły. Przez trzy długie dni i noce czekała na niego, bez przerwy powtarzając sobie, że tym razem, jak wróci, będzie chciał mieć ją przy sobie. Gdy nawiedzały ją wątpliwości, gdy przypominała sobie, jak szydził z niej i jak jej urągał, wmawiała sobie, że od tej chwili ich pożycie się odmieni. To, co się teraz stało, było udręką ponad wszelką miarę.

Nie widziała najmniejszego powodu, dla którego Grady miałby jej unikać. Była jeszcze ponętna i młoda. Nawet mama Elsie, choć niechętnie, przyznała, że była nieprzeciętnie ładna i że pod tym względem wyraźnie przynosiła zaszczyt rodzinie. Ben Baxter powiedział jej, z właściwą sobie nieśmiałością, że jest najcudniejszą dziewczyną, jaką w ogóle widział, i że woli się wcale nie żenić, jeśliby miał spędzić życie z kobietą nie dorównującą Lucjanie. Ciemnowłosa, szczupła, ręce i nogi miała mocne i krągłe, cerę smagłą. Jej pełne, rozkwitłe usta były skore do uśmiechu, a gdy na kogoś spozjrzała,

łagodne brązowe oczy ożywiały się przyjaźnie. Wiedziała, że Grady swego czasu uważał ją za piękną i ponętą dziewczynę, bo mówił jej to wiele razy, zanim się pobrali. Musiała mieć pewność, że jest przez kogoś pożądana, jeśli miała żyć — inaczej wolałaby umrzeć. Nade wszystko zaś chciała, by mężczyzną, który jej pożąda, był Grady, bo kochała go i był przecież jej mężem.

Zaciekle tłukła teraz pięściami w drzwi.

— Grady! Grady! — wołała.

Nagle ogarnęło ją przerażenie. Po raz pierwszy w życiu przyszło jej do głowy, że ktoś jest u niego w pokoju. Pojęcia nie miała, kto to mógł być jak się tam dostał, bo tego nie zauważyła, a w tej chwili najważniejsze wydało jej się sprawdzenie, czy słusznie go podejrzewa.

— Grady! Grady! — zawołała jeszcze raz. Wpuść mnie... otwórz drzwi, Grady!

— Wynoś się, do ciężkiej cholery! — krzyknął ze złością gdzieś z głębi pokoju. — Powiedziałem: odczep się i przestań mnie molestować. Mam tego dość.

— Muszę wejść, Grady — odparła stanowczym głosem. — Natychmiast otwórz drzwi. Poważnie. Nie pozwolę, byś tak mnie traktował.

— Ile razy mam powtarzać, żebyś się wyniosła, do cholery! — krzyknął. — Przestań bębnić w drzwi i daj mi święty spokój!

— Nie zrobisz mi tego, Grady. Nie możesz, naprawdę. Wpuść mnie, Grady, proszę cię!

— Jeżeli nie przestaniesz, to wyjdę i już ja cię uspokoję. Jak każę ci coś zrobić, potrafię dopilnować, byś mnie usłuchała.

Lucjana, niezdecydowana, odstąpiła od drzwi. Bała się Grady'ego, bo wiedziała, że jak wpadnie w pasję, potrafi być brutalny.

— Tam ktoś jest u ciebie, Grady — powiedziała stanowczo. — Dobrze wiem. Kto to?

Drżąc czekała na odpowiedź. Już nie bardzo chciała poznać prawdę. Gdyby ktoś rzeczywiście był u Grady'ego, musiałaby go rzucić, a to wcale jej się nie uśmiechało.

Grady milczał. Lucjana długo czekała, wreszcie znów zaczęła płakać. Nie mogła już zapanować nad sobą. Łzy piekły policzki i mąciły wzrok, ale rwący ból koło serca zelżał. Osłabiona, oparła się o ścianę.

— Jesteś tam jeszcze? — spytał Grady.

— Tak — szybko odparła myśląc, że zmiękł i zaraz otworzy drzwi.

— No to wynoś się, jak ci kazałem — powiedział opryskliwie.

Poszła korytarzem do swej sypialni. Przestała płakać, ale wzrok miała zamglony i czuła, że zaraz znów się rozbeczy. W sypialni przejrzała się w lustrze i szybko się odwróciła, gdy zobaczyła, jak wygląda. Włosy miała w nieładzie, oczy się zaczerwieniły i podpuchły, a sukienka, którą włożyła dla Grady'ego, tak świeża i zgrabna, wisiała teraz na niej jak ścierka. Otworzyła szerokie drzwi, wyszła prędko z sypialni na werandę i stanęła przy balustradzie. Stała, w chłodnym mroku wpatrzona w noc. Po długiej chwili dobiegły z dala ciche dźwięki gitary. Lucjana szybko usiadła, spojrzała na drugą stronę podwórza i zobaczyła mdłe światło lampy przeciekające przez drzwi jednej z chałup, w których gnieździli się Murzyni, jakieś sto jardów od domu. Było tych chałup osiem — jednoizbowych, ciasnych, jednakowej wielkości, bliźniaczych. Zostały zbudowane z grubo ciosanych okrągłaków uszczelnionych czerwoną gliną. Wzniósł je dziadek Grady'ego i umieścił w nich niewolników. Teraz mieszkali w nich czarni: służba domowa i pracujący na plantacji robotnicy. Stan tych chałup był nie mniej opłakany, jak stan wielkiej składającej się z trzydziestu dwóch pokoi rezydencji właściciela plantacji. Nigdy nie miały okien, gdy bowiem zostały zbudowane, zamykało się w nich niewolników od zachodu do wschodu słońca. Ale po obu stronach każdego domku były w ścianach szpary, przez które przenikało do środka trochę powietrza. Szpary te zatkało obecnie workami z guano. Palisadę z sosnowych pni, otaczającą kiedyś chałupy, usunięto, ale poza tym w ciągu stu lat właściwie nic się tam nie zmieniło.

Lucjana pochyliła się i oparła rękami na balustradzie werandy. Dźwięki gitary stały się jakby bliższe i lepiej było je słyszeć. Ciche brzęczenie strun falowało wokół Lucjany w balsamicznym powietrzu nocy napełniając jej uszy prymitywną muzyką. Po chwili usłyszała, że ktoś śpiewa głosem nabrzmiałym skargą. Wiele już razy słyszała tę pieśń, ale nie zwracała uwagi na jej słowa. Teraz słowa murzyńskiej pieśni nabrały dla niej sensu. Wyprostowała się i słuchała naprężona.

*Jak dobra dziewczyna wyjechała,
To podła dziwka chłopca jej zabrała.*

Dreszcz przeszył ją ostrym bólem. Szydercze słowa pieśni były nie do zniesienia.

Lucjana zerwała się i przebiegła przez werandę. Ale przy drzwiach stanęła. Nie wiedziała, co począć. Chciała wejść do domu, nakłonić Grady'ego, by wpuścił ją do pokoju, i na własne oczy przekonać się, czy słusznie go podejrzewała. Po chwili jednak doszła do wniosku, że na nic by się to nie zdało. Grady nie wpuścił jej, nawet jeśli jest sam, bo go rozgniewała. Wiedziała z doświadczenia, że przez parę dni będzie się znęcał nad nią. Twarz płonęła mu wtedy posępnym gniewem i z zawziętym uporem nie odzywał się do niej, póki nie zapomniał urazy. Zawsze był taki, ale z wiekiem napady złego humoru trwały coraz dłużej. Teraz niemal bez przerwy był w ponurym nastroju. Podobnie jak jego matce, coraz częściej sprawiało mu przyjemność, gdy źle się obchodził z otoczeniem, wyładowywał na nim humory i z premedytacją ranił cudze serca.

Wróciła do balustrady. Stała w mroku i patrzyła na drugą stronę wysypanego białym piaskiem podwórza. W polu, z odległości pół mili, mrugało światło w domu nadzorca. Nazywał się Will Harrison. Dalej, na drugim brzegu rzeki, migotały liczne blade światełka niczym gwiazdy wśród jasnej nocy. Zdawać się mogło, że wszędzie wokół Lucjany w domu Dunbarów i domu dzierżawcy, a nawet w murzyńskich chałupach ludzie są szczęśliwi i zadowoleni. Ogarnęło ją tym większe zniechęcenie i tym boleśniejszy żal. Wietrzyk znów przyniósł dźwięki gitary.

*Tak smutno jest i źle mi wszędzie,
O, Boże, Boże, co ze mną będzie...*

Siadła gwałtownie i nadstawiła uszu urzeczona piosenką śpiewaną przy wtórze gitary. Proste słowa murzyńskiej skargi przypomniały jej długie noce, kiedy czekała na powrót Grady'ego starała się być cierpliwą i wyrozumiałą, a jednak nie mogła pojąć, dlaczego Grady jej unika. I każdej nocy czekała, że przyjdzie do niej, a kiedy spotykał ją zawód, szła do jego pokoju. Czasem, jak dzisiaj, zamykał się na klucz, kiedy indziej czekała w jego pustym pokoju. Ilek bezsennych nocy spędziła, leżąc na jego łóżku aż do

świtu! Nie wracał. Szła do swego pokoju i długo płakała, aż wreszcie morzył ją sen. Wychodząc za Grady'ego nie przeczuwała, jaki los ją spotka. Niemal rok minął już od ślubu i w żaden sposób nie mogła zrozumieć, ki diabeł kusił Grady'ego do takiego pomiatania nią. Im więcej o tym myślała, tym niepewniej się czuła. Wszystko wskazywało na to, że gdyby uciekła z domu, Grady nawet palcem by nie ruszył, żeby ją ściągnąć z powrotem. Zaczęła nawet podejrzewać, że on i jego matka właśnie na to czekają. Gdyby go nie kochała, i to z całego serca, dawno już zeszlaby mu z drogi.

Była to zresztą tylko jedna z wielu rzeczy, których nie mogła pojąć. Dlaczego, na przykład, Grady nie miał zamiaru praktykować jako adwokat, skoro skończył prawo, a miesiąc przed ślubem zdał stanowy egzamin adwokacki? Kiedy spytała mamę Elsie, czemu nie chciał wykonywać zawodu, odpowiadającego zdobytych kwalifikacjom, teściowa z wyniosłą miną odparła, że żaden Dunbar nie musiał pracą zarabiać na życie, a wykształcenie było im potrzebne tylko dla poszerzenia horyzontów i dla osobistej satysfakcji. Potem Lucjana próbowała nakłonić Grady'ego, by się czymś zajął, i tłumaczyła mu, że zmarnuje życie, jeśli ulegnie filozofii mamy Elsie. Grady nie chciał słuchać. W końcu ustąpiła, gdy przekonała się, że nie sposób przebić skorupę jego obojętności.

Głos dziewczyny zabrzmiał skargą na wysokiej nucie.

Niech jeszcze raz to powie mi,

Będzie mnie miał do końca mych dni...

Gitara wtórowała słowom coraz żywiej pulsującym rytmem, natrętnym i niepokojącym. Wydawało się, że to się nigdy nie skończy. Tak było co wieczór. Murzyni siedzieli na krzesłach przed swymi domkami, grali na gitarach i śpiewali do północy lub dłużej. Kiedy wreszcie poszli spać, w uszach Lucjany długo jeszcze brzmiała dręcząca murzyńska melodia.

Ukryła twarz w dłoniach.

— Przestańcie — szepnęła szlochając. — To nie do zniesienia! Przestańcie już, proszę!

Biedną dziewczynę los poniewiera...

Ale mam chłopca, mam kawalera...

Rozdział czwarty

Grady spał całe rano w zamkniętym na klucz pokoju i nie wstał nawet, gdy Marta przyniosła mu na tacy obiad i błagała, by chociaż napił się gorącej kawy. Nakryta białą serwetką taca stała jeszcze nie tknięta przed drzwiami sypialni Grady'ego, kiedy o czwartej przyjechał Ben Baxter i zatrzymał samochód przed domem. Był gorący, bezchmurny dzień, ale po południu od brzegu morza powiał wietrzyk. Lucjana zeszła na werandę i usiadła, by odetchnąć rześkim powietrzem. Murzyn orał zbocze wzgórza mułami, a pole położone wyżej bronowały dwa traktory, warkocząc monotonna przez cały dzień. Hałas motorów nie przeszkadzał mamie Elsie, która jak zwykle po południu drzemała w północnym skrzydle domu.

Ben wysiadł z samochodu i energicznie pokiwał ręką Lucjanie. Gdy go ujrzała, serce zabiło jej mocno. Wzdłuż muru z cegły szedł w stronę werandy. Nie spuszczała oczu z wysmukłej sylwetki Bena i czuła, jak podniecenie wzbiera w jej piersi. Ben miał trzydzieści parę lat, był w wieku Grady'ego, o dziesięć lat starszy od niej. Z wyglądu był wykapanym Dunbarem — rzecz naturalna, bo jego matka była siostrą ojca Grady'ego — ale na tym się kończyło rodzinne podobieństwo. Prawdę mówiąc był tak niepodobny do Dunbarów, że często nazywano go parszywą owcą rodziny. Łagodnego usposobienia, delikatny, zupełnie pozbawiony egoizmu. Lucjana polubiła go od pierwszego wejrzenia i zawsze czuła się w jego obecności nieporównanie swobodniejsza niż przy Grady'm.

Gdy doszedł do schodków, wstała i serdecznie się do niego uśmiechnęła. Ben przystanął, przez chwilę bacznie jej się przyglądał, po czym wbiegł po schodkach na werandę. Wyciągnęła do niego rękę. Długo trzymał ją mocno w dłoniach, zanim odezwali się do siebie. Spojrzała mu w oczy. Nagle pewna myśl zaświtała jej w głowie i przez chwilę nie dawała spokoju. Zastanawiała się, za kogo by wyszła, Grady'ego czy Bena, gdyby obu poznała równocześnie.

— Jak się masz, Lucjana? — spytał Ben ściszym, jak zwykle, głosem. — Wyglądasz cudownie.

— Och, Ben, strasznie się cieszę, że znów cię widzę! — szybko powiedziała spuszczając wzrok, by nie wyczytał nic w jej oczach.

— Chyba nie weźmiesz mi za złe, że się zjawiłem nie proszony? — zapytał nieco zmieszany.

— Ani mi to w głowie — zapewniła zerkając na niego. — Sam dobrze wiesz, Ben.

Wreszcie puścił jej rękę i usiadł na balustradzie. Lucjana usiadła na krześle naprzeciw Bena patrząc, jak wyjmuje z kieszeni paczkę papierosów. Poczęstował ją, potrząsnęła głową. Przez chwilę palił w milczeniu.

Swego czasu wszyscy w hrabstwie mówili kiwając głowami, że Ben Baxter zapowiada się na drugiego Grady'ega Dunbara. Ben wówczas prowadził się nie mniej lekkomyślnie i swobodnie niż Grady, szastał pieniędzmi i trwonił odziedziczony majątek z idealną beztróską. Matka pozwalała mu na zaspokajanie wszelkich zachcianek, nawet najbardziej kosztownych, a po jej śmierci w ciągu paru miesięcy przepuścił resztę majątku. Aż pewnego ranka obudził się w bostońskim hotelu — splukany, głodny i bez jednej życzliwej duszy, która by chciała go wesprzeć. Brakowało mu roku do ukończenia studiów w Harvardzie. Nie wrócił jednak na łaskawy chleb u krewnych, jak się tego wszyscy w Maguffin spodziewali, lecz znalazł sobie pracę i zarobił na ukończenie studiów. Nie przyjechał do domu nawet na letnie wakacje — Przepracował je w Bostonie. Dopiero w trzy lata później pokazał się w Maguffin z dyplomem ukończonego prawa w kieszeni i przyjął posadę urzędnika w adwokackiej kancelarii za dwadzieścia dolarów tygodniowo. Dwa lata pracował w tej kancelarii i przez cały ten czas chyba nikt w Maguffin nie wierzył, że Ben wytrwa na dobrej drodze. Właściwie wszyscy spokojnie czekali na chwilę, gdy Ben znów zacznie hulać, idąc utartym śladem Dunbarów i Baxterów. Stało się inaczej. Ben zrezygnował z posady i sam otworzył adwokacką kancelarię. Jako pierwszy klient zjawił się sędzia Lovejoy, czołowy działacz polityczny hrabstwa, na którym silna wola Bena zrobiła tak wielkie wrażenie, że roztoczył przed nim widoki popłatnej kariery politycznej, jeśli zobowiąże się do uległości. Ben z miejsca odrzucił propozycję sędziego i oświadczył, że woli pozostać niezależnym człowiekiem. Słono za to zapłacił. Sędzia, Lovejoy wyszedł z kancelarii srodze wzburzony, po czym Ben niewielu miał klientów. Z czasem jednak stało się rzeczą powszechnie znaną wśród białej biedoty i Murzynów, którym za długi zajęto dobytek, że w całym hrabstwie Rajsku-teczniejszą i najtańszą poradę prawną można uzyskać u Bena Baxtera.

Ben wstał i usiadł na krześle obok Lucjany.

— Nie pokazujesz się ostatnio w mieście. Domatorka się z ciebie zrobiła — powiedział.

— Mnie też tak się zdaje. Ale jakoś nie mam ochoty ruszyć się z domu.

— To ci nie wyjdzie na dobre, Lucjano. Nie powinnaś, siedzieć tu sama i całymi tygodniami nie widzieć ludzi.

— Mam tutaj Grady'ego i mamę Elsie, nie jestem sama — szybko odparła.

Ben z powagą skinął głową. Zauważyła, że przygląda się jej ze skupioną miną. Była ciekawa, co go nurtuje w głębi duszy. Odwróciła głowę, by nie dostrzegł w jej oczach nie dającego się ukryć smutku. Ben zorientował się, o co chodzi, i spojrzał na rozciągającą się nad rzeką nizinę u stóp wzgórza.

— Grady więcej czasu spędza w Maguffin niż w domu — powiedział. — A nawet jak jest tutaj, też go tu nie ma, prawda, Lucjano?

Od razu zrozumiała, do czego Ben pije. Nie było to pytanie, na które miałyby odpowiedzieć. Ben stwierdził tylko, jak jest naprawdę. Odwróciła się do niego i dzielnie się uśmiechnęła, ale niewiele to pomogło, bo zdała sobie sprawę, że nie potrafi ukryć przed nim swego zmartwienia.

— Domyślam się, że wiesz, co się z nami dzieje — powiedziała i westchnęła. Nie ma sensu, bym przed tobą ukrywała.

— Wiem, że jesteś strasznie nieszczęśliwa — powiedział z przejęciem.

Popatrzyła na swoje ręce złożone na kolanach.

— Czy Grady wrócił wczoraj wieczór?

Skinęła głową.

— I gdzie jest teraz?

— Nie wiem.

— W swej sypialni na górze?

— Chyba.

— Mówiłaś z nim, jak wrócił? Czy coś ci powiedział?

— O co ci chodzi?

— Czy mówił o nowych kłopotach... O tym, co mu się ostatnio przytrafiło?

Potrząsnęła głową.

— Zupełnie się nie wyznaję na jego sprawach. Właściwie nigdy mi nie mówi, co robi.

— Tak mi się też zdawało — powiedział z powagą.

Oparł nogi na balustradzie i zamyślony patrzył na sosnowe lasy na wzgórzach po drugiej stronie rzeki. Lucjana czekała zastanawiając się, co było powodem dziwnych pytań Bena. Wiedziała, że coś go poważnie zmartwiło.

— Lucjana... — powiedział wreszcie unikając jej wzroku.

— Co powiesz, Ben? — spytała nerwowo.

Opuścił nogi na podłogę, pochylił się naprzód, oparł łokciami o kolana. Wciąż unikał jej wzroku.

— Obawiam się, że trzeba się liczyć z pewnymi... nieprzyjemnościami — zaczął. — Uważam, żeś powinna o tym wiedzieć. Po to tutaj przyjechałem. Chciałem się upewnić, czy wiesz, na co się zanoszą.

— O czym ty mówisz, Ben?

— Będą kłopoty, Lucjano.

— Jakie? — spytała wylękniona. — O co chodzi?

— Tym razem sprawa jest bardziej nieprzyjemna, bo zamiast zwykłej porcji kłopotów są dwie.

— Znowu grał i przerzynał mnóstwo pieniędzy?

— Dwa i pół tysiąca dolarów, Lucjano. To wielki pieniądz. On nie da już rady zebrać tyle forsy.

— Mógłby zaciągnąć pożyczkę w banku — odparła z nutą nadziei.

— Nie. Bank Grady'emu nie da pożyczki. Ani nikt inny.

— Więc co zrobi? Jaka jest rada?

— Nie wiem. Ja bym mu pożyczył, ze względu na ciebie, Lucjano, ale nie mam tyle pieniędzy. Niestety, tym razem nie mogę mu pomóc. Resztki waszej plantacji obciążone są hipoteką ponad ich wartość, Grady zaciągnął długi pod zastaw traktorów, a gdyby wystawił parę mułów na licytację, nie dostanie nawet stu dolarów, nie mówiąc już o tym, że muły też są obciążone długiem. W całym hrabstwie nikt, kto ma dobrze w głowie, nie podżyruje weksła Grady'emu. Tak to wygląda. Dunbarowie są wykończeni, Lucjano.

— To znaczy, że nie ma ratunku?

Skinął głową.

— Biedny Grady — powiedziała ze smutkiem. — Czasem strasznie mi go żal. Naprawdę, mimo wszystko. Nie mogę się temu oprzeć. Może dlatego, że to mój mąż, a może po prostu taka już jestem. Jak tylko ma kłopoty, zawsze mi go żal. Nieraz przychodzi mi na myśl, że wszystkie te nieszczęścia nie są przez niego zawinione. Po prostu nie może się zmienić. Jest przede wszystkim ofiarą przekleństwa, jakie ciąży na tej rodzinie. Fakt, że urodził się Dunbarem, zrujnował mu życie. Gdyby tylko mógł przenieść się gdzie indziej, rzucić tę przeklętą gnijącą rudere, może by się odmienił. Jak długo pozostanie w tym zatrutym powietrzu, będzie przekonany, że ludzie muszą go utrzymywać, bo jest Dunbarem. Zostanę przy nim, nawet w największej biedzie, byle wyjechał jak najdalej stąd i zaczął zarabiać na kawałek chleba. Mógłby to zrobić, gdyby tylko chciał. Ale nie — dodała z goryczą — mama Elsie uznałaby to za rzecz poniżej godności Dunbara.

— Czy mówiłaś z Gradym o wyjeździe stąd?

— Grady nie chce mnie słuchać. Na wszystkie możliwe sposoby próbowałam nakłonić go do rozmowy na ten temat, ale za każdym razem tracił panowanie nad sobą, wpadał w gniew i musiało minąć parę dni, by się uspokoił. Zdarzało się, że przez tydzień do mnie się nie odezwał. Żeby tego uniknąć, przestałam mu się sprzeciwiać. Wiem, że nie powinnam rezygnować, ale nie widzę ratunku.

Dał się słyszeć potężny hałas na górze. Po chwili usłyszeli, jak Grady ciężko stąpając schodzi na dół. Wymienili niespokojne spojrzenia. Ben wstał.

Rozdział piąty

Grady, jakby ich nie zauważył, ciężkim krokiem obszedł wokół werandę i pomaszerował stronę południowego skrzydła domu. Ledwie zniknął im z oczu, usłyszeli, jak w grubiański sposób krzyczy na kogoś. Zaciekawieni, co się dzieje przy bocznym wejściu do domu, oboje tam pobiegli.

Zobaczyli Grady'ego na szczycie schodków, a przed nim, na podwórzu, wuja Jeffa Davisa Jacksona, jednego z Murzynów mieszkających w domkach z okrągłaków. Jeff Davis był .najstarszym Murzynem na służbie u Grady'ego. Zarówno on, jak jego żona, ciocia Bessie, urodzili się w tych domkach i dziadek Grady'ego nadał im nazwiska Mieli jednego syna, Sammy'ego, który wychował się tutaj, a ostatnio odbył dwuletnią służbę w wojsku. Ale nie wrócił do Grady'ego tylko przyjął pracę w tartaku w Maguffin.

Grady piorunował wzrokiem wuja Jeffa Davisa, który pokornie stał na podwórzu z kapeluszem w ręce. Stary, siwiutki Murzyn nerwowo szurał po ubitym piasku rozdeptanymi, dziurawymi butami.

— Czego ty ode mnie chcesz? — spytał grubiańskim tonem Grady. — Cóż to ma znaczyć? Posyłasz do mnie Martę z wiadomością, że chcesz się ze mną zobaczyć. O tej porze?

— Bardzo pana przepraszam. Nigdy bym nie śmiał zawracać panu głowy — drżącym głosem zaczął Jeff — ale chciałem prosić o drobną przysługę i bałem się, że znów pan wyjedzie, zanim zdążę przedstawić moją prośbę.

Jeff Davis tak się bał narazić swemu panu więcej, niż musiał, że język zaczął mu się plątać.

— Mówże i przestań bełkotać — ofuknął go Grady. — Ale na drugi raz poczekaj, aż wyjdę z domu. Do czego to podobne, żeby czarnuchy posyłały służbę po mnie.

Przestępując z nogi na nogę, wuj Jeff Davis uklonił się nisko i płacząc słowa, pokornie przedstawił swą prośbę.

— Chciałbym prosić pana naprawdę o niewiele — żeby pan pozwolił mnie i mojej żonie przenieść się do miasta. Starzejemy się oboje i nie możemy już pracować na polu przez

cały dzień, jak dawniej. Upał to szatan, któren łapie mnie zaraz, jak tylko wyjdę do pracy w polu, i przypieka na rożnie. Żeby nie to, nie chciałbym zwolnić się i przenieść do Maguffin. Gdybym się tak nie postarzał, nic bym sobie nie robił ani z gorąca, ani czego inszego, bo jestem naprawdę wdzięczny Panu za to, że mi pozwolił pracować tu tyle czasu, ale mnie i mojej żonie niewiele już życia zostało, chciałoby się trochę odpocząć, zanim wybije nasz godzina. Więc proszę, czy pozwoli nam pan odejść?

— A gówno! — ze złością krzyknął Grady. — Cóż to ci się ubrdało, że możesz wynieść się stąd i zamieszkać gdzie indziej? Kto cię żywił całe życie, kto dał ci dom w którym mieszkasz?

— Pan, proszę pana. Pan, a przedtem jeszcze pański tatuś. Jestem szczerze wdzięczny za to, co obaj panowie zrobili dla mnie i mojej rodziny.

— Więc jakże ci przyszło do głowy, że możesz spakować manatki, wynieść się stąd i nie zapłacić mi za to wszystko?

— Zapłacić panu? — spytał wuj Jeff Davis wystraszonym głosem.

— Słyszałeś! Nie jesteś głuchy!

— Mnie by się zdawało, proszę pana, że przez tyle lat jużem to odpracował. Nie wiem, ile było tych lat, ale dużo się ich uskładało od chwili, jak na tyle wyrosłem, co bym mógł iść za pługiem. Powiedziałbym, że wystarczyło to na spłatę domu i wyżywienia.

— Któż to wbił ci w głowę, żebyś rzucił pracę? Z kim żeś rozmawiał?

— Z moim synkiem, Sammym, bardzo pana przepraszam. Niedawno wrócił z wojny, dostał dobrze płatną robotę w tartaku i co sobotę wieczór bierze zapłatę w żywej gotówce. Powiada, że chce, abym wraz z jego matką przyjechał do Maguffin i zamieszkał u niego, bo zarabia tyle, że stać go na wynajęcie domu, w którym zamieszkalibyśmy razem.

— Właśnie ciekaw byłem, gdzie on się podział. Czemu nie wrócił tutaj i nie wziął się do roboty, tylko postarzał się o pracę w mieście? Czy nie ma oleju w głowie?

Wuj Jeff Davis zaczął się trząść, jakby dostał malarycznych dreszczy. Obracał w drżących rękach słomiany kapelusz, którym osłaniał głowę w polu, i wpatrywał się w ziemię.

— Słyszałeś moje pytanie! Dlaczego nie wrócił tutaj, na swoje miejsce?

— Pewnie dlatego, że pan nie płaci w gotówce, proszę pana — odparł wystraszony Jeff. — Sammy woli pracować w tartaku za gotówkę, niż dostawać od czasu do czasu stare łachy czy coś podobnego.

— Więc przybył nam jeszcze jeden arogancki cholerny czarnuch — stwierdził Grady. — Niech on lepiej nie wychyla nosa z miasta, bo jak go przydybię tutaj, to mu wbiję w łeb trochę rozumu. Nie lubię słuchać, jak czarni tak się mądrzą. Zrozumiałeś, wuju Jeffie Davis?

— Tak jest, proszę pana. Zrozumiałem.

— No to dobrze. Teraz wróć do chałupy, gdzie jest twoje miejsce, a na przyszłość radzę nie zadzierać przy mnie nosa.

Jeff przestępował z nogi na nogę, skubiąc nerwowo wystrzępiony skraj kapelusza. Cofnął się parę kroków, ale nie odszedł. Grady mierzył go zły okiem.

— Po jaką cholere jeszcze tu stoisz? — krzyknął. — Słyszałeś, co powiedziałem. Dlaczego jesteś nieposłuszny? Wracaj do chałupy!

— Proszę, niech mnie pan wysłucha — błagalnym tonem powiedział Jeff. — Nie chciałbym być nieposłuszny, ale do miasta chcę się przenieść. Bardzo mi i mojej żonie na tym zależy. Wiem, że pan nie jest z tych, co by się źle obchodzili z czarnymi, bo już pański tatuś...

— Milczeć! Dostyc tego!

Grady zszedł na podwórze i z groźną miną zbliżył się do Jeffa.

— Zostaniesz tutaj. Ile razy mam ci to powtarzać?

— Ależ, proszę pana, czy w żaden sposób nie może pan zwolnić mnie i mojej żony?

— A jakże, jest sposób — Grady roześmiał się — Wystarczy, że zapłacisz, coś mi jest winien za utrzymanie.

— Ile by to wyniosło? — spytał Jeff ożywiony nadzieją.

— Pięćset dolarów.

Stary Murzyn wolno potrząsał głową. Wielkie łzy załśniły mu na policzkach. Przygarbił się.

— Pięćset dolarów — powtórzył półgłosem wciąż potrząsając głową. Był zgnębiony. — Dobrze pan wie, że nigdy nie miałem i nie będę miał takich pieniędzy. Nie zarobiłem

tyle przez długie lata przepracowane u pana i pańskiego taty. On też nie uznawał zapłaty w żywej gotówce i dostawałem od czasu do czasu tylko stare łachy i worek fasoli, podobnie jak od pana. I dlatego nie mogę zapłacić tego, co niby jestem panu winien. Ale na pewno, jakbym miał, tobym dał panu te pięćset dolarów.

— No to wynocha i przestań się spierać ze mną. Znudziło mi się słuchać twego gadania. A na przyszłość proszę mi nie narzekać.

— Bardzo pana przepraszam, ale widzi mi się, że mógłby pan wyświadczyć mi tę drobną przysługę, skoro przez tyle lat nigdy pana o nic nie prosiłem, poza odrobiną żywności od czasu do czasu. Za stary jestem, jak już mówiłem, żebym się mógł wyrobić na polu. Po prostu nie mam sił do ciężkiej pracy. I w ogóle niedługo już pociągnę.

— Powiem ci sam, kiedy masz przestać pracować. I nie chcę słyszeć o tym, byś rzucił pracę, wybij też sobie z głowy ucieczkę. Wiem, jak sobie poradzić z czarnymi zbiegami. Psy gończe szeryfa tak szybko cię dopadną, jakby piorun cię trzasnął.

— W takim razie może pan byłby łaskaw pozwolić, by moja żona przeniosła się do miasta, bo jej okropny reumatyzm wlaźł w plecy i z bólu nie może się schylić nad balią, jak przyjdzie do prania. Jeżeli nie chce pan puścić nas dwojga, to proszę przynajmniej jej pozwolić. Będę panu za to wdzięczny do grobowej deski.

Grady podniósł złamany trzonek siekiery, oparty o schodki. Wywijając trzonkiem odpędzał Jeffa, który cofał się przed nim.

— Wracaj do chałupy i zamknij czarną gębę — powiedział zataczając młynki trzonkiem. — Jeśli jeszcze raz przyjdiesz tu pyskować, to będzie koniec z tobą. Drugi raz nie ścierpię takiego gadania.

Wuj Jeff Davis cofał się, żeby nie oberwać od Grady'ego. Gdy dotarł do skraju podwórza, skąd biegła ścieżka do domków, odwrócił się i pobiegł oglądając się przez ramię, aż zniknął Grady'emu z oczu.

Wciąż wywijając ciężkim trzonkiem, Grady przeszedł przez podwórze do rogu domu, gdzie Ben i Lucjana stali za balustradą werandy.

— No, czego chcesz? — spytał Bena. — Po coś tu przyjechał — udzielić mi bezpłatnej porady?

— Słuchaj, Grady — z powagą powiedział Ben. Pochylił się przez balustradę i patrzył na swego kuzyna. — Dlaczego nie zdobędziesz się na wielką rzecz i nie pozwolisz

staremu Murzynowi odejść?! Za stary jest, by pracować. Wiesz o tym. Chcesz go tu zatrzymać, bo jesteś zły na Sammy'ego, że nie wrócił do pracy u ciebie. To nie jest w porządku. Jedynym słusznym krokiem z twojej strony byłoby zwolnienie wuja Jeffa Davisa. Dobrze o tym wiesz.

— Żaden czarnuch nie będzie mi niczego dyktował.

— Dajmy temu spokój. Trzeba szanować każdego człowieka, czy jest biały, czy czarny. Ten stary Murzyn ma takie samo prawo, co ty, żyć jak mu się podoba. Chyba o tym zapomniałeś, jeśli w ogóle zdawałeś sobie z tego sprawę. On nie jest ci winien marnego centa — ty jesteś jego dłużnikiem. Więc czemu nie powiesz, że jesteście kwita i nie pozwolisz mu odejść? To jedyne uczciwe załatwienie sprawy, Grady.

Grady z całej siły rzucił trzonek siekiery na podwórze. Twarz mu się zaczerwieniła z gniewu.

— Wiem, jak się obchodzić z czarnuchami, żeby siedzieli cicho, i od tego nie odstąpię. Tacy jak ty poplecznicy czarnuchów, co trąbią, że czarni są nie gorsi od białych, sieją tylko zamęt. Co by spotkało nasz kraj, gdybyśmy słuchali podobnego gadania? Mogę ci powiedzieć! Czarni by się rozpasali, rozumiesz?! Gwałciłiby wszystkie białe kobiety po kolei i mordowali białych mężczyzn. Przenieś się na Północ, jak chcesz opowiadać byle co, bo tu cię nie chcemy widzieć. Będziemy trzymać czarnych za pysk, czy ci się to podoba, czy nie.

— Pleciesz od rzeczy, Grady. Czasy się zmieniły. Każdy człowiek w tym kraju ma pewne podstawowe prawa. Weź na przykład wuja Jeffa Davisa...

— Dostyc tego gadania — Grady machnął ręką odwrócił się nagle i ruszył w stronę tyłu domu. - Gdybyście wy, poplecznicy czarnuchów, postawili na swoim, tobyście zmarnowali wszystko, cośmy osiągnęli w ciągu stu lat.

Gdy zniknął za domem, Ben skinął na Lucjanę. Zeszła za nim po schodkach werandy. Szli bez słowa do samochodu Bena, który stał na podjeździe.

— To była właśnie druga sprawa, o której ci chciałem powiedzieć, Lucjano. Druga porcja zmartwienia.

— Co to znaczy?

— Parę dni temu Sammy Jackson przyszedł do mnie i powiedział, że chce ściągnąć rodziców do miasta. Wiedział równie dobrze jak ja, co Grady im powie, i prosił mnie o

poradę. Umówiłem się z nim, że jego ojciec przyjdzie tu dziś po południu i poprosi Grady'ego o zwolnienie. Właśnie dlatego przyjechałem do was. Chciałem być obecny przy tej rozmowie, bo myślałem, że może uda mi się przekonać Grady'ego, by zwolnił Jeffa i jego żonę. Sama widziałaś, jak mi się nie powiodło.

— Może jednak uda ci się przekonać Grady'ego.

— Wątpię. Chyba tylko wystąpienie na drogę sądową skłoni go do zmiany decyzji. Jak długo może ich tu trzymać, posługując się pogroźkami i czym tam jeszcze, będą pracowali dla niego właściwie za darmo. System Grady'ego działa bez pudła. Jego ojciec robił to samo. Każda murzyńska rodzina jest stale u niego zadłużona, bo obciąża ich w swej buchalterii wyższymi należnościami za wyżywienie i komorne, niż zapisuje na ich dobro z tytułu wynagrodzenia za pracę, a jak tylko zanosi się na to, że pracą pokryją długi, natychmiast dopisuje im fikcyjne należności za lekarstwa czy coś podobnego. Naturalnie, gdyby umieli czytać, mogliby zażądać wglądu do ksiąg i zaprotestować, ale czy Grady pozwolił jakiemu Murzynowi chodzić do szkoły i nauczyć się czytać?

— Czy naprawdę jest aż tak źle?

— Na pewno — Ben skinął głową. — Po prostu sytuacja wygląda tak, że żaden Murzyn nigdy mu się nie wypłaci z długów. Ale czasy zmieniają się szybciej niż Dunbarowie, a ja postanowiłem jeszcze trochę przyspieszyć te zmiany.

— Co chcesz zrobić?

— Dać Grady'emu ostatnią szansę uwolnienia wuja Jeffa Davisa i cioci Bessie, a także pozostałych Murzynów, którzy u niego pracują, a jeśli odmówi, czego jestem pewny, postaram się osobiście, by wkroczyło prawo i zniósło to małe udzielne księstwo oparte na przymusowej pracy Murzynów. Niejeden Grady tak postępuje w naszym hrabstwie. Znam co najmniej pół tuzina właścicieli plantacji, których trzeba by oduczyć podobnych praktyk. Nie oczekuję pomocy ze strony sędziego Lovejoya, bo byłoby to sprzeczne z jego polityką, pewnie znajdą się nawet tacy, którzy będą próbowali zamknąć mi usta, ale wytoczę sprawę, choćby mnie to zrujnowało. W naszym kraju nie ma już miejsca na niewolnictwo.

— Ale jeśli nawet dasz Grady'emu jeszcze jedna szansę, on ich nie zwolni, bo jest to człowiek bez serca.

— No to wezmę się do roboty i złamię jego upór — stanowczym tonem odparł Ben.
— W tej sprawie pokrewieństwo nie będzie się liczyło. Zrobię dla Grady'ego, co tylko będę mógł, zawsze się przyjaźniliśmy, lubię go i jesteśmy ciotecznymi braćmi. Pomogę mu zdobyć pieniądze albo postaram się jakoś załatwić sprawę jego długu. Ale w sprawie Jeffa nie ustąpię.

Otworzył drzwi samochodu i siadł za kierownicą. Lucjana bez słowa patrzyła, jak Ben zapala motor.

— Mam nadzieję — powiedział uśmiechając się nieśmiało — że nie znienawidzisz mnie za to, Lucjano. Ale muszę postąpić zgodnie ze swymi przekonaniem. Chciałem ci to wyjaśnić.

— Wcale nie mam do ciebie pretensji, Ben — podeszła do drzwi samochodu i położyła mu dłoń na ramieniu. — Podziwiam cię za to. Pojęcia nie miałam o tym wszystkim. Myślałam, że Murzyni mogą odejść stąd, kiedy tylko zechcą. Nikt mi nigdy nie powiedział, że pracują tu pod przymusem. Więc skąd miałam wiedzieć?

— Pewnie jest wielu takich, którzy o tym nie wiedzą. Zobaczymy, czy uda się ich oświecić i... przekonać Grady'ego.

Rozdział szósty

Grady tego wieczoru kazał podać sobie kolację do pokoju i Lucjana musiała jeszcze raz zasiąść do stołu z mamą Elsie. Teściowa nie odezwała się ani słowem. Długie milczenie starszej pani było wyrafinowanym wyrazem pretensji do Lucjany i miało udreńczyć ją i zgnębić. Kiedy ciężka próba wreszcie się skończyła, Lucjana pobiegła na górę, do swego pokoju.

Jeszcze raz włożyła nową sukienkę i starannie się uczesała. Po czym, pełna nadziei, pobiegła do pokoju Grady'ego. Tym razem drzwi nie były zamknięte i gdy Lucjana przekręciła gałkę, bez trudu się otwały. Z zapartym tchem stanęła na środku pokoju.

Grady'ego nie było. Lucjana patrzyła na wymiętą pościel i puste łóżko, a przy nim duży fotel i lampę z abażurem. Ogarnęło ją dobrze znana uczucie bolesnego zawodu. Zgnębiona podeszła do łóżka, siadła na nim i usiłowała wmówić sobie, że Grady zaraz wróci. W pół godziny potem wstała, zeszła na dół ciemnymi schodami i wyszła z domu.

Żółtawy księżyc w pełni wszedł nad rzeką. Lucjana długo błądziła po podwórzu, stąpając po koronkowym wzorze cieni, jakie księżyc rzucał na biały piasek. Nocne ptaki fruwały wśród gałęzi dębów i świergotwały bez przerwy, gdzieś w polu na hebanowcu przysiadła czarnodzioba kukułka i posepnie pohukiwała.

Lucjana była tak zgnębiona, że dopiero po chwili usłyszała cichy śmiech i dźwięki gitary. Natrętny rytm pieśni przyprawił ją o gwałtowne bicie serca. Co noc, gdy pozwoliła sobie słuchać, dobiegała do niej ta sama prymitywna melodia pieśni, która składała się z nieskończonej chyba ilości zwrotek.

*Biedna dziewczyna, gdy noc zapada,
Na swoją dolę skarży się i biada...*

Lucjana przebiegła podwórzem przed front domu. Samochód Grady'ego wciąż stał pod portykiem, gdzie go zostawił wczoraj wieczorem. Nie ulegało więc wątpliwości, że nie

pojechał do miasta. Wiedziała, że może być tylko w którymś z murzyńskich domków. Nigdy nie była tam po zapadnięciu zmroku. Grady wiele razy mówił, by się nigdy tam nie pokazywała, ale dziś postanowiła złamać jego zakaz.

Wyszła spod portyku, energicznym krokiem przemierzyła podwórze, okrążyła dom i skręciła na ścieżkę prowadzącą do domków. Inna murzyńska dziewczyna podjęła piosenkę i śpiewała ją z nutą rozwydrzenia. Lucjana przystanęła.

*Mój miły, bardzo bez ciebie mi źle,
Przyjdź, miły, nie powiedz: nie.
Nie ma na świecie chłopca miłszego.
Przyjdź — nie pożałuję ci niczego...*

Lucjana śmiało maszerowała ścieżką wytyczoną kwitnącymi brzoskwiniami.

Zrazu dobiegały do niej fale leniwego, gardłowego, beztroskiego śmiechu, ale gdy podeszła do pierwszego domku, śmiech nagle zamilkł.

Rozpląkało się dziecko. Lucjana usłyszała, jak matka je uspokaja: „Cicho, kochanie, cicho!” Na podwórku przed każdym domkiem siedziało na krzesłach paru Murzynów. Gdy przechodziła koło nich, milkli i sztywne, jak tylko ją poznali.

Minęła pierwsze dwie chałupy. Gdy znalazła się przed trzecią, zobaczyła, że jedna z kobiet wstała z fotela na biegunach i idzie do niej. Poznała Martę, przystanęła. Marta kołysząc się w biodrach ciężko kroczyła w stronę ścieżki. Lucjana zerknęła na resztę Murzynów przed domkiem. Przyglądali się jej wyraźnie zaniepokojeni.

— Czy to pani Lucjana? — szepnęła Marta stawiając na wyższą nutę swój niski, ochrypli głos.

W żółtym świetle księżycy wyglądała na jeszcze większą i tęższą niż za dnia. Jak zwykle, lato czy zima, była boso.

— Czy to pani Lucjana? — powtórzyła.

Lucjana nie odpowiedziała, bo przecież Marta musiała ją poznać od pierwszego wejrzenia.

— Jezus, Maria, pani Lucjano, cóż pani tu robi późną nocą i sama jak palec. Chce pani, co bym przyszła do wielkiego domu i w czymś pani pomogła, moja dobrodziejko kochana?

— Nie, Marto — szybko odparła Lucjana. — W domu nie ma nic do roboty.

Marta bacznie jej się przyjrzała w jasnym świetle księżyca. Była ciekawa i niepewna siebie.

— Będzie już jedenasta, a może i później, pani Lucjano. Dawno bym leżała w łóżku, żeby nie było tak parno i duszno, więc chciałam odetchnąć świeżym powietrzem, co się trochę ruszyło pod wieczór. Skoro o wiele pani nie jest przyzwyczajona do nocnego powietrza, może się pani nabawić czegoś złego. Strasznie dużo jest teraz różnego paskudztwa, nie ustrzeże się pani tego po nocy...

— Szukam męża... — niecierpliwie przerwała jej Lucjana. — Widziałas go, Marto?

— Nie, proszę pani! — skwapliwie zapewniła Murzynka.

— Marto! — ostro napomniała ją Lucjana.

Ogromna, okrągła głowa Marty wolno osunęła się na zwały tłuszczu na karku. Stara Murzynka najwyraźniej udawała, że zastanawia się nad zadaniem jej pytaniem. Wreszcie spojrzała na Lucjanę z bolesnym, niewinnym wyrazem twarzy.

— Chodzi pani o to, czy teraz widziałam pana?

— Doskonale wiesz, Marto, o co mi chodzi.

— Nie jestem tego pewna, proszę pani.

— Jesteś.

— Ano... — nieśmiało zaczęła Marta — gdybym się trochę nad tym zastanowiła...

— Widziałas pana, czy nie? — ostro przerwała jej Lucjana.

Marta zamyślona mięła w ręce rąbek fartucha!

— Im dłużej myślę nad tym, tym lepiej sobie przypominam, że widziałam pana, jak przyjechał z miasta, zanim zrobiło się całkiem ciemno — oświadczyła z najniewinniejszą pod słońcem miną. — Teraz pani mi odświeżyła pamięć, jestem tego całkiem pewna, bo właśnie wtedy zostawiłam panu kolację, ale ani jej nie tknął, i pamięta pani, że się pytałam, czy zostawić ciepłą kolację na piecu. Wszystko teraz dokładnie mi się przypomniało.

— To było wczoraj wieczór, dobrze o tym wiesz!

— Ach, tak? No, coś podobnego! Boże, jak ten czas leci!

— Daj sobie spokój, Marto. Widziałaś pana dziś wieczór — jak się ściemniło?

Marta była wyraźnie zmieszana. Obejrzała się na gromadkę Murzynów, którzy milcząc jak zakłęci, siedzieli sztywno wyprostowani na podwórku. Potem znów zerknęła na Lucjanę, szybko odwróciła wzrok i utkwiała go w ścieżce, starannie gładząc piasek dużymi palcami stóp. Znów jakieś dziecko się rozplakało, jedna z kobiet siedzących na podwórku szybko wstała i weszła do domku.

— Dlaczego to nie chcesz mi odpowiedzieć, Marto? — gniewnie spytała Lucjana. — Słyszałaś, o co pytałam, i doskonale mnie zrozumiałaś. Cóż ci się stało? Chcę tylko wiedzieć, czyś widziała pana dziś wieczór. Więc proszę, odpowiedz!

Marta przelknęła ślinę, a białka oczu zdawały się pływać w czerni jej twarzy, kiedy przewracała nimi, byle tylko nie spojrzeć Lucjanie prosto w twarz.

— Proszę pani, naprawdę bardzo bym chciała, żeby pani wróciła do wielkiego domu — oświadczyła z powagą. — Proszę, niech pani mnie posłucha — nalegała.

— A to dlaczego? — Lucjana nerwowo się roześmiała. — Co ty opowiadasz, Marto?

— Powiem, dlaczego. Czuje moje biedne serce, że nic dobrego dla nikogo z tego nie wyjdzie, jak pani nie wróci. Dlatego bardzo proszę, pani Lucjano, niech mnie pani posłucha.

— Ale szukam męża, Marto. I po to tutaj przyszłam. Wszędzie go szukałam. Więc niby dlaczego nie miałabym zajrzeć do tych domków?

— Właśnie dlatego proszę, by pani wróciła do domu. To nie jest miejsce, gdzie by pani wypadało szukać męża. Więc jeszcze raz proszę, niech pani idzie do domu.

— Jesteś okropnie głupia, Marto — powiedziała Lucjana ze wzrastającą irytacją. — Co cię napadło? Nigdy dotąd nie plotłaś takich głupstw.

— Będę Boga prosiła, żebym nigdy więcej ni musiała mówić takich rzeczy — język jej się plątał, słowa zacierały się w bełkocie, potężne piersi falowały z podniecenia.

— No to mi powiedz przynajmniej, czyś widziała pana dziś wieczór — ostrym tonem nakazała jej Lucjana.

Łzy popłynęły po twarzy Marty. Nawet nie wytarła ich fartuchem. Szlochając stała przed Lucjaną i żałośnie patrzyła jej w oczy. Lucjana nie mogła już tego znieść. Chwyła Martę za ramię i brutalnie nią potrząsnęła.

— Nie ma różnicy, czym widziała pana Grady'ego, czy nie, proszę pani, bo dobrze wiem, że i tak będzie kłopot, istne skaranie boskie, a ja nie chcę o niczym wiedzieć. Gdyby pani mnie posłuchała...

— Dość tego gadania, Marto! Ani słowa więcej!

— Tak jest, proszę pani — pokornie wyjąkała Marta.

— A teraz mów prawdę — stanowczo rozkazała Lucjana. — Widziałas pana dziś wieczór?

— Tak jest, proszę pani — niechętnie przyznała Marta.

— Na pewno mówisz prawdę?

— Tak jest.

— Kiedyś go widziała?

— Przed chwilką.

— Przeszedł tędy?

— Tak.

— I jest jeszcze tutaj?

— Tak.

— Gdzie?

Znów potok łez zalał policzki Marty. Jej twarz lśniła i skrzyła się łzami w świetle księżycy. Marta zanosiła się płaczem, olbrzymi biust trząsł się i falował. Lucjana spostrzegła się, że też płacze. Natychmiast, ukradkiem otarła łzy, aby Marta nie zauważyła, co się z nią dzieje.

— Nie odpowiedziałas na moje pytanie — szybko wyrecytowała starając się opanować głos. — Dobrze mnie zrozumiałaś.

— Bardzo proszę, niech mi pani pozwoli nie mówić. Na wszystko, co może być najgorszego na świecie się zgodzę, byle nie to.

Lucjana była już pewna, że Grady musi być w którymś domku. Starła się uwolnić od tej myśli, ale podejrzenie ją przemogło. Była to ta sama nieufność, która przez tyle nocy spędzała jej sen z powiek.

— Wiesz na pewno, że pan Grady jest tutaj? — spytała.

— Tak, proszę pani.

Lucjana z trudem złapała oddech, zanim się odezwała.

— No to pokaż mi, gdzie on jest.

— Pokażę, jak się pani będzie upierała — odparła Marta z oczami pełnymi łez — ale nie zrobiłabym tego z własnej woli, bo wiem, że będzie kłopot, okropny i paskudny kłopot. Już ja wiem, pan Grady skórę ze mnie zedrze, jak się dowie, że go wydałam. Całe życie starałam się schodzić białym z drogi, a teraz wygląda na to, że diabeł zawziął się, by wpędzić mnie w biedę i zemścić się, bo faktycznie robiłam mu na złość. Mówiłam tej głupiej dziewczynie, żeby się ustatkowała, wiedziałam, że wpadnie, ale nie chciała mnie słuchać.

— Nie będziemy się nad tym rozwodzić, Marto. Pokaż mi, gdzie jest pan.

— Tak jest — z rezygnacją powiedziała Marta. Głęboko westchnęła. — Tak jest — powtórzyła potrząsając głową.

Ruszyła ścieżką.

— To niedaleko stąd — objaśniła.

Rozdział siódmy

Lucjana przeszła za Martą obok dwóch domków. Siedzący na krzesłach Murzyni milczeli jak zakłęci i odprowadzali ją bezlitosnym wzrokiem. Jakby z bardzo daleka, słyszała stłumione, smutne dźwięki strun gitary potrącanych przez któregoś Murzyna. Nagle opadła ją myśl, by zawrócić na pięcie i pobiec do domu co sił w nogach, ale wiedziała, że już nie ma odwrotu. Szła za rozlazłym cielskiem kołyszącej się w biodrach Marty i starała się nie myśleć o tym, gdzie jest i po co tu przyszła.

Marta przystanęła na ścieżce koło przedostatniego domku. Drzwi, inaczej niż wszystkie inne, były zamknięte, ale przez szparę nad progiem sączyło się mętne światło lampy. Ciche, stłumione dźwięki gitary stały się natarczywe i nie do zniesienia.

Na twarzy Marty pojawiły się nerwowe drgawki. Przeszepowywała z nogi na nogę i jakby z samego dna duszy dobywała żalonych jęków. Perełki potu, srebrzące się w świetle księżyca, pojawiły się na jej czole. Lucjana splotła mocno ręce, by się nie trzęsły.

— Kto tu mieszka, Marto? — spytała drżącym, ledwie dosłyszalnym szeptem.

— Sallie John — odparła Marta z nutą goryczy.

Sallie John była osiemnastoletnią Mulatką, miała tylko jedną czwartą murzyńskiej krwi, jej skóra była lekko zabarwiona brązem, a czarne włosy naturalnie proste. Od dwóch lat pracowała u Dunbarów jako pokojówka. Krótco po wyjściu Lucjany za Grady'ego i jej przyjeździe tutaj Marta dała swej pani do zrozumienia, we właściwy sobie okrężny sposób, że byłoby pożądane przepędzić Sallie John do roboty w polu i zastąpić ją mniej ponętą dziewczyną. Lucjana nie zwróciła wtedy uwagi na przestrożę Marty i szybko o niej zapomniała. Ale po paru miesiącach nabrała podejrzeń. Zauważyła, że dziewczyna śmiało sobie poczyna, by się spodobać Grady'emu. Kiedy podawała do kolacji, często pochylała się nad Gradym bardziej, niż to było potrzebne, i korzystała z każdej okazji, by się otrzeć o jego ramię lub plecy. A raz, gdy zaniósła mu kolację do pokoju, Lucjana zajrzała przez uchylone drzwi i zobaczyła, że Sallie John siedzi na łóżku. Natychmiast weszła i przepędziła ją z pokoju.

— Wiesz na pewno, że on jest tutaj? — spytała ze ściśniętym gardłem.

— Tak, proszę pani — nerwowo odparła Marta — ale proszę tam nie wchodzić. — Łzy płynęły jej obficie po lśniących policzkach, gdy podjęła ostatnią, rozpaczliwą próbę. Wielkie, okrągłe wargi drżały jej z podniecenia.

— Proszę, niech pani stąd odejdzie i da się odprowadzić do wielkiego domu, pani Lucjano. Tylko kłopot będzie, jak pani mnie nie posłucha i zostanie tutaj. Jestem starą kobietą i wiem, co mówię. Widziałam w życiu mnóstwo rzeczy, z których wynikają, kłopoty, i jak mówię, że tu czeka panią najgorsze, to tak jest naprawdę. Jeśli wróci pani do domu, przyrzekam święcie, że jutro z samego rana wezmę tę dziewczynę za kark i będę ją tyrpała tak długo, aż pójdzie po rozum do głowy. Więc gdyby pani teraz mnie posłuchała...

— Nie, Marto — stanowczo odparła Lucjana. — Wiem, co robię. Nie wrócę teraz do domu. Wejdę do tej chałupy.

— Ale nie zna pani Sallie John tak jak ja. To wcielona diablona. Jak się tej idiotce czegoś zachce, nic jej nie powstrzyma. Wiem, co mówię. Jeżeli się uprze, to nie wpuści pani do środka, zbałamuci pana Grady'ego i jeszcze zrobi pani krzywdę. Mówiłam jej, żeby się ustatkowała, ale dużo ją to obchodzi. Tylko dlatego, że nie ma czarnej skóry, uważa, że może sobie na wszystko pozwolić. Powiedziałam jej, że w środku jest czarną murzynichą, taką samą jak ja, i żeby uważała z białymi, ale wyśmiała mnie i przechwalała się, że może wszystko, czego tylko jej się zachce, od białych i od czarnych. Nigdy nie lubiłam, jak kolorowi wygadują takie rzeczy, bo prędzej czy później to się źle kończy. Dużo mogłabym pani powiedzieć o Sallie John, jako że kręciła się po kuchni i opowiadała cuda o swym powodzeniu u białych, specjalnie u pana Grady'ego, ale u innych też. W życiu nie widziałam, żeby ktoś tak zadzierał nosa. Parę dni temu sprzątałyśmy obie pokój pana Grady'ego. Patrząc, a ta dziewczyna od razu hycnęła na łóżko pana, skacze po nim i zgrywa się, jakby była u siebie. I zaczyna mi opowiadać, jaki dobry potrafi być pan dla niej, więc, mówię pani, uciekłam stamtąd co sił w nogach, bo ja...

— Nie chcę tego słuchać! Jeżeli nie przestaniesz mleć jęzorem, możesz sobie iść! Zrozumiałaś?

— Tak, proszę pani — potulnie odparła Marta. — Ale mówiłam pani tylko świętą prawdę, a na mój rozum mówić prawdę to nie grzech.

— A ja mam tego dość. Jak nie możesz zamknąć buzi, to sobie idź.

— Tak, proszę pani.

Lucjana poszła w stronę domku, ale w pół drogi przystanęła. Nie bardzo wiedziała, co zrobić. Nagle usłyszała przeciągły śmiech Grady'ego. Odwróciła się, by dać znak Marcie, ale ta już zniknęła. Lucjana została sama. Ogarnęło ją przerażenie, wstrząsały nią konwulsyjne drgawki. Grady znów się beztrząsco roześmiał, na całe gardło, i dalekie dźwięki gitary brzmiały szyderczo i boleśnie.

Lucjana stała, niezdecydowana. Dał się słyszeć wesoły śmiech Sallie John. Lucjana zeszywniała z gniewu. Ani Sallie John, ani żadna inna kobieta nie miała prawa tak się zbliżyć do Grady'ego, bo należał do niej i pożądała go w tej chwili więcej niż kiedykolwiek. Lucjana wiedziała, że jeśli dopadnie Sallie John, będzie się z nią biła o męża. Podobnego uczucia jeszcze nigdy nie doznała.

Gotowa na wszystko, zaczęła szukać wokół kamienia, kija, czegokolwiek, czym mogłaby przepędzić Sallie John. Ale na gołym piasku podwórza nie było nawet kawałka cegły. Zrozpaczona, spróbowała wyrwać kołek z płotu, lecz zabrakło jej sił. Podbiegła do chałupy i zaczęła pięściami tłuc w drzwi. Kruche deski trzeszczały i klekotały, drzwi jednak były mocno zaryglowane od środka. Kopala w nie, aż obtłukła sobie stopy.

— Jestem zajęta! — omdlewającym głosem zawołała Sallie John. — Nie przeszkadzaj, zabawiam teraz gościa.

Lucjana z jeszcze większą zaciekłością zaczęła tłuc pięściami w drzwi.

— Wynoś się!

Był to opryskliwy, rozkazujący głos Grady'ego. Lucjanie dech zaparło. Nie miała już najmniejszej wątpliwości, że Grady jest u Sallie John. Do tej chwili kurczowo trzymała się nadziei, że Marta się myli i że inny mężczyzna jest u Sallie. Aż na własne uszy usłyszała głos Grady'ego.

— Kto to mógł być? — spytał Grady.

— Jakiś osioł, któremu się pomyliły drzwi — śmiejąc się odparła Sallie. — Wszyscy moi sąsiedzi przy zdrowych zmysłach wiedzą, że ze mną trzeba się zawczasu umówić.

Po wysłuchaniu tej poufalej rozmowy Sallie John z Gradym, Lucjana cofnęła się parę kroków od drzwi. Odeszła ją ochota wejścia do środka. Nie wiedząc co począć, stała wpatrzona w szparę nad progiem, przez którą sączyło się światło. Sallie znów zaczęła rozkosznie się śmiać. Lucjana nie miała najmniejszej ochoty wejść do chałupy, ale korciło

ją, by przynajmniej zobaczyć ich razem. Podeszła do bocznej ściany domku i ostrożnie wyciągnęła worek z guanem, by zajrzeć do środka.

Zobaczyła Grady'ego z Sallie John i natychmiast ogarnęły ją bolesne mdłości. Zobaczyła to, co podejrzewała i o czym bała się myśleć niemal od roku. Teraz musiała uwierzyć, że zarówno jej podejrzenia, jak wszystko, co Marta po swojemu chciała jej podszeptać, były prawdą. Wiedziała już, chociaż nadal nie mogła zrozumieć, dlaczego Grady od tak dawna jej unikał. Mdłości ustały, ale ogarnęło ją poczucie zupełnej bezsilności i rozpacz. Zrobiło jej się słabo, oparła się ręką o ścianę domu. Przyszło jej na myśl, co by zrobiła, gdyby miała z sobą rewolwer. Potrząsnęła głową. Teraz wszystko to nie miało znaczenia. Już było za późno. Odeszła ją chęć zemsty na Grady'ym lub Sallie John. Poczula pustkę w sercu, już na niczym jej nie zależało. Najchętniej by się roześmiała.

Usłyszała za sobą przyciszone nerwowe głosy Murzynów. Wiedziała, że mówią o niej i zachodzą w głowę, co teraz zrobi. Tego sama jeszcze nie wiedziała, ale jedno było pewne: musi uciec stąd, wszystko jedno gdzie. Musi to zrobić, zanim Grady ją odnajdzie.

Odwróciła się od domku i na oślep poszła przez podwórze. Odchodziła nie tylko od murzyńskiej chałupy, odchodziła od Grady'ego. Powtarzała sobie, że jest dzielna i mocna i że płakać nie będzie. Ale gdy doszła do ścieżki, oczy zaszyły jej łzami.

Kiedy przechodziła koło pierwszej gromadki Murzynów, zawołała ją Marta — przyspieszyła kroku. Usłyszała, jak Marta bosy człapie za nią. Skręciła ze ścieżki i pobiegła przez pole wśród ciemnej nocy.

— Pani Lucjano! O, Boże kochany, pani Lucjano! — wołała za nią Marta. Jej głos rozlegał się żalnym lamentem w ciemnościach. — Proszę pani! Niech pani wróci! I nie lata po nocy! Zabłądzi pani i już nigdy pani nie odnajdę! Błagam panią, niech pani wróci!

Lucjana szybko oddaliła się od Marty i po chwili już nie słyszała błagalnych nawoływań Murzynki. Nie miała pojęcia, co z sobą zrobi, ale nic ją to nie obchodziło, byle uciec od Grady'ego, murzyńskich chałup, wielkiego domu i wszystkiego, co mogło jej przypomnieć męża. Biegnąc na oślep wpadła w gęste krzaki dzikiej róży. Gdy wreszcie wyczołgała się z zarośli, była podrapana, skrwawiona, sukienka jej się podarła.

Wstała i znów zaczęła biec. Znalazła się na świeżo zaoranym polu. Potknęła się, upadła na twarz. Osłabła, zdyszała się. Wstawiała, zaczynała znów biec i jak długa waliła

się na miękką ziemię. Wreszcie zabrakło jej sił, by się podnieść na nogi. Wyczerpana, długo leżała na ziemi zanosząc się płaczem. Było jej już wszystko jedno, gdzie jest i co się z nią stanie.

Rozdział ósmy

Lucjana nie wiedziała, jak długo już leży na polu, gdy usłyszała szczekanie psa. Oparła się na łokciu i rozejrzała wokół. W blasku księżyca wyraźnie zobaczyła ogara i natychmiast padła plackiem na ziemię, licząc na to, że pies przestanie ujadać i pójdzie sobie. Ale ogar czekał coraz głośniejsze i zajadlej, a kiedy spróbowała odpędzić go rzucając grudkami ziemi, zaczął krążyć wokół niej truchtem i wściekle warczeć. Z przerażeniem zobaczyła, że psisko okrąża ją coraz bliżej.

Nagle usłyszała za sobą męski głos. Jedno słowo zamknęło psu pysk.

Usiadła i obejrzała się. Ktoś wielkimi krokami szedł ku niej.

Jedna myśl przysła jej do głowy: trzeba natychmiast się zerwać i uciekać, zanim zostanie złapana. Podniosła się i zaczęła biec co sił w nogach. Obejrzała się przez ramię. Nieznajomy biegł zaledwie, parę jardów za nią. Krzyknęła przeraźliwie. Chciała przeskoczyć rów z wodą, ale potknęła się i padła na miękki brzeg rowu. Już nie zdążyła się podnieść. Mężczyzna chwycił ją mocno za ramię i przytrzymał jak w kleszczach.

— Nie! Niech mnie pan puści! — krzyczała jak opętana z całej siły, próbując mu się wyrwać. Im mocniej go kopała i wila się w jego uścisku, tym silniej ją trzymał.

— Proszę! Niech mnie pan puści! Proszę! Ukląkł przy niej i mocnymi rękami przyciskał ją do ziemi. Pochylił się nad nią. Ich twarze znalazły się tak blisko, że czuła na policzku jego oddech. Jeszcze raz podjęła rozpaczliwą próbę wyrwania się z jego uścisku. Usiadł na niej okrakiem, przygniótł całym ciężarem swego ciała do ziemi i zupełnie ją obezwładnił. Mocno zamknęła oczy, gdy ręką odgarnął jej włosy z twarzy.

— Och, nie! — błagała zdławionym ze strachu głosem. — Nie! Niech mnie pan puści! Proszę!

— Co się stało? — usłyszała w odpowiedzi.

Lucjana gwałtownie potrząsnęła głową.

— Czy pani nic się nie stało?

Dopiero teraz zauważyła, że jego głos był miły i delikatny.

Wolno otwarła oczy i spojrzała na jego twarz.

- Nie wiem... nie wiem – odpowiedziała.
- Chcę pani pomóc. Nie powie mi pani, co się stało?
- Nie wiem – niech mnie pan puści!
- Co pani tu robi?
- Nie wiem! – krzyknęła próbując jeszcze mu się wyrwać.
- Nie znalazłaby się pani tutaj, gdyby nic złego się nie stało.
- Proszę tylko o jedno – niech mnie pań puści! Proszę!
- Znam panią – odparł uśmiechając się do niej.

Chciała odwrócić głowę na bok. Przytrzymał ją tak, by widzieć jej twarz.

- Nie byłem pewny, ale teraz już wiem – powiedział.
- To nie ma nic do rzeczy, kim jestem – niechże mi pan da spokój i puści mnie.
- Nie mogę pani puścić bez słowa, Lucjano – odparł potrząsając głową.

Przestraszyła się, gdy wymówił jej imię. Baczenie mu się przyjrzała, ciekawa, skąd ją zna.

– Musi mi pani powiedzieć, co się stało – nalegał. – Może się pani zraniła, różne rzeczy mogły się pani przydarzyć, Lucjano.

Rozpaczliwie potrząsnęła głową. Zamknęła oczy i wolno kiwała głową na prawo i lewo.

– Co pani robi tutaj, na polu, późną nocą? Przed czym pani uciekała?

Jego głos brzmiał tak uspokajająco, że całkiem przestała się bać. Odeszła ją ochota do wyrywania się z jego uścisku. Napięte ciało rozluźniło się, ogarnęła ją słabość i poczucie bezradności.

– Pan jest Brad Harrison, prawda? – spytała spokojnie.

Po raz pierwszy zobaczył jej szeroko rozwarte oczy.

– Brad Harrison, tak?

Skinął głową, ale nie uwolnił jej z uścisku. Chciała mu powiedzieć, że nie ma zamiaru uciekać przed nim, była jednak zbyt wyczerpana, by odezwać się choć słowem. Zdała sobie tylko sprawę, że Brad podnosił ją z wilgotnej ziemi. Wygodnie ułożyła się w jego ramionach. Niósł ją przez zaorane pole.

Gdy z pola wszedł na ścieżkę, przystanął.

— Ogromnie się cieszę, że wyszedłem na pole zobaczyć, dlaczego pies tak ujada.

Lekko zadrżała. Przytuliła twarz do jego ramienia.

— Gdybym nie wyszedł... — zaczął ochrypłym głosem.

Szybko odwróciła głowę i przyjrzała się twarzy Brada. Ich oczy się spotkały, Brad nie dokończył zdania.

W głębi nocy rozległ się żalostny gwizd lokomotywy. Na dole wśród kępy sosen między rzeką a zboczem wzgórza naczynie na żywicę buchnęło płomieniem podsyconym przez przygruntowy ogień.

Mocno przytulona do Brada Lucjana wpatrzyła się w buchający, żółty płomień.

— Widziałem panią wiele razy, Lucjano — nagle rozgadał się Brad. — Przychodziłem do wielkiego domu obrządzać muły i wykonywać inne posługi. Widziałem, jak pani siedziała na werandzie lub spacerowała po podwórzu. I za każdym razem chciałem się odezwać do pani, ale nie mogłem. Ojciec mi zakazał. Jak tam idę, ojciec nie odstępował mi ani na krok. Boi się, że Grady'emu nie podobałoby się, gdybym panią zagadnął. Ojciec nie chce, byśmy zrobili coś, z czego Grady mógłby być niezadowolony.

Pies znów zaczął szczeleć. Przestraszona Lucjana objęła Brada za szyję. Zawołał cicho na psa, który podbiegł do jego nogi. Niedaleko słychać było czyjeś kroki na ścieżce.

— Ktoś idzie, Lucjano — spokojnie szepnęła Brad. — Ale niech się pani nie boi. Nic złego się pani nie stanie.

— A może to on?! — szepnęła wystraszona. — Pewnie mnie szuka!

— Kto? — szybko spytał. — Kto pani szuka?

— Grady.

— Coś musiało się stać, prawda, Lucjano?

Głęboko westchnęła, ale nie odpowiedziała.

— Coś musiało się stać i dlatego znalazła się pani w nocy na polu, tak?

Niechętnie skinęła głową.

— Cóż to było?

— Nie mogę panu powiedzieć.

— Miała pani jakiś powód do ucieczki.

— Woląabym teraz o tym nie mówić.

Zobaczyli, że ktoś podchodzi do nich ścieżką.

— To mój ojciec.

— Na pewno? — spytała szeptem.

— Tak, Lucjano.

Will Harrison przystanął i wlepił wzrok w Brada i Lucjanę. Po czym podszedł do nich.

— To ty, Brad? — spytał zdziwiony.

— Tak, ojczu.

— Co się stało, synku?

— Nie wiem. Znalazłem ją na polu.

— Ależ to żona Grady'ego! A to ładna historia!

— Trzeba ją wziąć do domu. Nic lepszego nie wymyślimy.

Will nie od razu odpowiedział. Najpierw pokiwał głową.

— Widzisz, to trudna sprawa — odparł niezdecydowany. — Nie wiem, co by Grady na to powiedział.

— Mało mnie to obchodzi — śmiało stwierdził Brad. — W każdym razie zaniósę ją do domu i mama się nią zaopiekuje.

Ruszył ścieżką nie czekając na ojca. Will poszedł za nimi.

— Może w tej chwili nic innego nie można zrobić — przyznał. — Ale nie chciałbym się zbytnia narazić Grady'emu.

Resztę drogi do domu odbyli w milczeniu. Weszli do oświetlonego pokoju od frontu. Matka Brada, Sara Harrison, krzyknęła z przerażenia na widok Lucjany usmarowanej błotem i w sukni. Pomogła Bradowi ułożyć Lucjanę na łóżku i pobiegła do kuchni po miednicę z wodą.

— To żona Grady'ego, ani chybi — stwierdził Will marszcząc czoło. — Poznałbym Lucjanę, gdziekolwiek bym ją zobaczył. Tylko w głowie mi się nie mieści, co ona mogła robić na polu późną nocą.

Lucjana przymknęła oczy, raziło ją światło lampy. Do pokoju wbiegła Sara z miednicą pełną wody i z ręcznikiem. Zabrała się do mycia twarzy i szyi Lucjany.

— Coś strasznego musiało się stać — powiedziała szczerze zaniepokojona. — Spójrzcie na jej sukienkę — podarta na strzępy. Biedne dziecko jest wyraźnie przerażone. Na pewno coś okropnego jej się przytrafiło.

— Będę chyba musiał polecieć po Grady'ego — z wielką powagą oświadczył Will. — Nie chcę by miał pretensje, żeśmy zrobili coś nie po jego myśli.

— A po co, skoro Grady'ego Dunbara pewnie nie ma w domu? — ze wzgardą odparła Sara. — To grzech i hańba, jak on poniewiera tę biedną dziewczynę. Nigdy go nie ma w domu, pije na umór i Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze wyprawia. Grady jest taki sam jak jego ojciec, tylko jeszcze gorszy.

— Nie mamy prawa wtrącać się do jego spraw osobistych — powiedział Will. — I nie będziemy, moja droga, rozprawiali o tym, co się dzieje w ich domu.

Sara mocząc ręcznik w miednicy, spojrzała wymownie na męża.

— Pozwolisz, że coś ci powiem, mój panie. Nie potrzebuję niczyjej zgody na to, by powiedzieć, co myślę o Grady'm Dunbarze, bo to człowiek nie zasługujący na jedno dobre słowo. A mama Elsie nie jest lepsza od niego. Zawsze z nim trzyma, cokolwiek powie lub zrobi. Dunbarowie, cały ich ród to po prostu nie ludzie i nie boję się głośno tego mówić. Popatrz na tę bidulę! Zobaczysz, że wiem co mówię — Grady albo mama Elsie zrobili coś takiego, że musiała uciec z domu! Spójrz tylko na nią!

— Mimo wszystko nie powinniśmy zbyt surowo osądzać Grady'ego, zanim się dowiemy, co tam naprawdę się stało.

— Mój panie, ty byś świętego wyprowadził z równowagi! Gdyby ktoś usłyszał, co gadasz, pomyślałby, żeś zaprzedał Grady'emu Dunbarowi ciało i duszę. Pozwól mu robić z tobą, co mu się zachce, twoja wola, ale ja będę mówiła swoje, póki mi tchu starczy w piersi!

Wstała i wyszła z pokoju. Brad podszedł do łóżka i usiadł przy Lucjanie. Po krótkiej chwili otworzyła oczy i nieprzytomnym wzrokiem powiodła wokół siebie. Brad położył rękę na jej dłoni.

— Skąd się tu wzięłam? — spytała niespokojnie.

Sara wróciła z suchym ręcznikiem. Wytarła jej ręce i plecy.

— Brad znalazł panią na polu niedaleko naszego domu, Lucjano — uspokoiła ją Sara. — Usłyszeliśmy, że pies szczeka, więc Brad wyszedł zobaczyć, co się dzieje. I miała

pani wielkie szczęście — dodała potrząsając głową — bo jakby nie wyszedł, toby pani zmarła na zapalenie płuc od leżenia przez całą noc na mokrej ziemi. Nie mówiąc już o tym, że Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze mogłoby się pani przydarzyć.

Dopiero teraz Lucjana rozpoznała otaczające ją twarze. Oprócz Brada i jego rodziców gromadka dzieci Harrisonów, obudzona poruszeniem w domu, zbiegła się tutaj, stała u stóp łóżka i błędnymi oczami z ciekawością patrzyła na Lucjanę.

— A teraz, Lucjano, może by pani powiedziała nam, co się stało — delikatnie poprosiła ją Sara.

Lucjana zamknęła oczy i mocno zacisnęła powieki.

— Jak doszło do tego, że późną nocą znalazła się pani sama na polu? — łagodnie nalegała Sara. — Może pani bez obawy nam powiedzieć.

Lucjana potrząsnęła głową i mocno chwyciła Brada za rękę.

— Powinna pani powiedzieć, Lucjano — starała się przekonać ją Sara. — Może coś trzeba zrobić. Proszę się niczego nie obawiać. Chcemy tylko pomóc pani.

— Chyba jednak pójdę po Grady'ego — powiedział Will potrząsając głową z zatroskaną miną. — Może mieć mi za złe, że nie sprowadziłem go tutaj po tym, co się stało.

— Nie! Proszę tego nie robić! — zawołała Lucjana.

— Ładna historia — powiedziała Sara spoglądając na Willego i Brada.

— Nie chcę wrócić! — z rozpaczą w głosie oświadczyła Lucjana wodząc po nich wzrokiem. — Proszę, nie zmuszajcie mnie do tego! Tak nie można! Bardzo proszę!

Harrisonowie z niepewnymi minami spoglądali po sobie. Brad spojrział matce w oczy.

— Będziecie starali się to zrobić — zmusić mnie, bym wróciła do domu, wiem o tym dobrze! Ale nie mogę, nie mogę wrócić! Więc proszę, nie róbcie tego!

Sara prędko zmoczyła ręcznik w wodzie i przyłożyła go Lucjanie do czoła.

— Nie pozwoli pan, by mnie zmusili do powrotu, prawda? — Lucjana odwróciła się do Brada i mocno chwyciła go za ramię.

— Nie mów takich rzeczy, moje dziecko — powiedziała Sara. — Staramy się tylko ci pomóc. Jedno chcielibyśmy wiedzieć — dlaczego znalazłaś j się nocą w polu? Jeśli stała ci się jakaś krzywda, trzeba natychmiast coś zrobić. Więc gdybyś tylko powiedziała nam...

— Odeślcie mnie do domu — szlochając odparła Lucjana. — Wiem, że to zrobicie — wiem!

Brad wstał i podszedł do ojca stojącego przy oknie.

— Powiedz, ojcze, ona nie musi wrócić do domu, jeśli sama tego nie chce, prawda?

Will westchnął głęboko i zaczął spacerować po pokoju.

— Naturalnie, nie robi ani jednego kroku, jak sama nie będzie chciała — powiedziała Sara. — To biedne dziecko ma prawo do własnego życia. Byłoby zbrodnią zmusić ją, by zrobiła coś, czego tak strasznie się boi. Ja bym za nic w świecie nie zmusiła jej do powrotu tam, gdzie czeka na nią Grady Dunbar.

Brad stanął twarzą w twarz z ojcem na środku pokoju. Will miał śmiertelnie poważną minę.

— Co powiesz, ojcze? — spytał niespokojnie. — Nie zmusisz jej, by wróciła, prawda?

Will, bez słowa, wyszedł z pokoju na werandę od frontu. Sara wyprowadziła dzieci do sypialni obok i zapędziła je do łóżka. Brad nie ruszył się z miejsca. Nastąpiła cisza. Lucjana zerwała się i usiadła na łóżku.

— Brad — powiedziała niemal szeptem.

Podbiegł do łóżka, siadł przy niej.

— Co powiesz, Lucjano?

Oczy zaszyły jej łzami. Zakryła twarz dłońmi.

— Proszę nie pozwolić, by mnie odesłali do domu — błagała z oczami pełnymi łez. — Póki mego życia, nie wrócę do tego straszego domu. Jestem zdecydowana na wszystko, byle tam nie wrócić.

— Ja też nie chcę, byś tam wróciła, Lucjano — głos mu drżał. Czule poklepał ją po ręce. — Nie byłoby to godziwe.

— Ale on będzie chciał mnie zmusić!

— Grady?

Skinęła głową. Łzy strumieniem płynęły jej po policzkach. Chciał ją pocieszyć, mocno ścisnął jej rękę, ale jeszcze bardziej się rozszochała.

— Nie znasz go tak, jak ja. Jest zdolny do wszystkiego — dlatego tak się boję.

— Nie dopuszczę, by stało ci się coś złego, Lucjano. Już moja w tym głowa.

— Ale jak wpadnie w złość, przed niczym się nie cofnie. Dlatego boję się... on może zrobić coś strasznego... dobrze go znam!

— Nic nie zrobi, nie dopuszczę do tego, Lucjano. Ja się go nie boję. Będziesz pod moją opieką.

Nakryła twarz poduszką i cicho leżała na łóżku. Brad wstał i na palcach wyszedł z pokoju.

Rodzice stali przy balustradzie werandy i rozmawiali po cichu. Brad podszedł do nich.

— Nigdy nie miałam przekonania do tego Dunbara, od dnia, kiedyśmy tutaj się osiedlili — zaczęła Sara. — I nie widzę najmniejszego powodu, żebym teraz mu ufała. Żałuję, że opuściliśmy tamtą farmę i przyjechali tutaj, by pracować u niego. Był to największy błąd w naszym życiu, Will, i będę szczęśliwa, jak się stąd wydostaniemy. Traktuje nas tak samo jak czarnych niewolników — jak śmieci. Grady sprawił, że się przed nim płaszczysz. I boisz się oddychać bez jego pozwolenia. Bóg na niebie nie pozwala żadnemu człowiekowi tak się panoszyć nad innymi, jak on. O jednym zapomniałeś, kiedyśmy tu przyjechali, by pracować u niego. Ale ja nie zapomniałam. Wiem, co to znaczy się szanować i nie pozwolę, by mnie poniżano. A jeżeli ty tak się boisz Grady'ego Dunbara...

— Poczekajmy trochę. A jak Grady wcale nie jest winien? Może się jeszcze okazać, że on nie ma z tym nic wspólnego.

— No cóż, czekaj, jeśli chcesz — stanowczo odparła Sara. — Ja nie mam na co czekać. Jak Brad przyniósł ją do nas, od razu wiedziałam, że jest to sprawka Grady'ego. A teraz mogę to tylko powtórzyć.

— W każdym razie do rana nic nie zrobimy — Uspokoił ją Will. — Już jest po północy.

Sara, bez słowa, wróciła do domu. Brad przystanął na skraju schodków prowadzących na podwórze. Przez chwilę obaj milczeli. Will wpatrywał się ciemny dom Dunbarów wznoszący się na wzgórzu.

— Ojcie... — wreszcie odezwał się Brad. Urwał i zaczął, aż ojciec odwrócił się i pytająco spojrzął na niego.

— Ojcie, ona nie chce tam wrócić i myślę, że nie powinniśmy jej zmuszać do tego. Mówiłem z nią i wiem, co ona czuje. Nie mamy prawa postąpić wbrew jej woli.

Will podszedł do schodków. Usiadł na stopniu. Brad przystanął przy nim.

— Sprawę trzeba rozważyć z różnych stron, sy nu — wolno, z namysłem powiedział Will. — Jak się wtrącasz do cudzego życia, wstępujesz na śliski grunt. A potem wynikają z tego same kłopoty.

— Tym razem jest inaczej. Lucjana sama po wiedziała, że nie chce wrócić. I nikt nie ma prawa jej zmuszać.

— Wiem, synu. Ale nie możemy trzymać jej tutaj, jeżeli Grady powie, że chce, by wróciła do niego. Jestem starszy od ciebie i widziałem...

— To nie ma żadnego znaczenia. Gdyby to zależało ode mnie, nie ruszyłaby się stąd ani krokiem.

— Co ty wygadujesz!

— Nic na to nie poradzę ojcie. Nie chcę, by żyła z Gradym.

— A to co znowu? — zdziwił się Will.

— Nie chcę, by żyła z Gradym.

Will patrzył na syna. Ręce mu drżały, twarz się zasepiła.

— Straszną rzecz powiedziałeś, synu — stwierdził Will potrząsając głową z wyrzutem. — Miejmy nadzieję, że Grady nigdy tego od ciebie nie usłyszy — dalej potrząsał głową, wielce strapiony. — Chciałbym, żebyś o jednym pamiętał. Lucjana jest jego żoną.

Brad wstał i zszedł na podwórze. W milczeniu odchodził wolnym krokiem, aż zniknął w ciemnościach.

Rozdział dziewiąty

Brad przespał się parę godzin, wstał o świcie i zjadł śniadanie. Siedział w kuchni z matką i pił czarną kawę w szarym świetle wczesnego ranka. Oboje nerwy mieli napięte. Milczeli.

Po śniadaniu Brad wyszedł na werandę od frontu i długo stał patrząc na posepny duży dom na wzgórzu, w odległości pół mili. Nie było widać żadnych znaków życia. Wstęgi porannej mgły wznosiły się z wilgotnej, świeżo zaoranej ziemi, wzeszło ogromne, rozplamione słońce oblewając różowym, ciepłym blaskiem nagie pola, bujne połacie zielska i młode drzewka żywopłotów. W ciągu paru minut chłodny poranek wiosenny zamienił się w upalny letni dzień.

Krótko po wschodzie słońca Brad usłyszał, jak ojciec wyszedł z kuchni i zszedł po schodkach za domem. Brad pośpieszył w tamtą stronę. Za domem zobaczył wuja Jeffa Davisa i młodego Murzyna, robotnika rolnego, Pete'a, stojących przy traktorze, który parą mułów ściągnęli z pola.

— Cóż się znów stało temu traktorowi, Pete? — spytał Will.

— Słowo daję, nie wiem, proszę pana — odparł Pete potrząsając głową. — Wczoraj wieczór orałem pole na górze i nagle motor wysiadł.

— Wiesz, to pewnie znowu przewód paliwa — powiedział Brad. — Wymontuję go i sprawdzę. Pete, otwórz skrzynkę z narzędziami i wyjmij klucze.

Will i wuj Jeff Davis usiedli i przyglądali się, jak Pete rozkłada klucze na kwadratowej ceracie przy traktorze. Grupa robotników rolnych przeszła koło domu w drodze do pracy. Słońce już się dobrze wzniosło ponad horyzont.

— Widziałeś dziś rano kogoś z dużego domu? — spytał Jeffa Brad, pochylony nad motorem.

— Nie, na pewno nie, proszę pana — skwapliwie odparł Jeff.

Nastąpiła długa cisza, w czasie której wuj Jeff Davis niespokojnie zerkał na Brada i Willa.

— W każdym razie pan Grady tak wcześnie nie wstaje — dodał Jeff.

— Myślałem, że dziś może wstał wcześniej niż zwykle — powiedział Brad.

Wuj Jeff Davis i Pete wymienili niespokojne spojrzenia.

— Skąd panu to przyszło do głowy? — spytał stary Murzyn.

— Prosty wniosek.

— A z czego?

— Wystarczy, jak się człowiek czasem czegoś dowie.

— I dzięki temu zrobił się pan taki mądry?

— Między innymi, wuju.

— Muszę przyznać, że dobrze pan rusza głową — z wielkim uznaniem powiedział Jeff. — Widzę, że już pan wie, co się działo ostatniej nocy w wielkim domu. Co tu gadać, sam się trząsałem ze strachu, jak pani Lucjana przydybała pana Grady'ego w domku tej wywłoki, Sallie John. I prosiłem Boga, by mnie ustrzegł od biedy. Wiedziałem, na co się zanoszą, bo nie trzeba mi mówić, co wyprawiają białe panie z wielkiego domu, jak się dowiedzą o czymś takim.

— Co zrobiła pani Lucjana? — spytał Will.

— Bóg litościwy wysłuchał tym razem mej prośby, bo nie było strzelaniny ani nic z tego, co się tu działo, jak tatuś pana Grady'ego był jeszcze w kwiecie wieku i złapali go na łajdactwie w murzyńskich chałupach. Pani Lucjana tylko uciekła z domu i na tym się skończyło. Ale nikt nie wie, gdzie się podziała.

— Jest tutaj, w tym domu — powiedział Will.

— Bardzo mnie to cieszy — z ulgą stwierdził wuj Jeff. — Nie chciałem, by stało się jej coś złego. Strasznie się bałem całą noc, że panu Grady'emu strzeli do głowy, by zemścić się na nas, czarnych, gdyby się coś złego przytrafiło pani Lucjanie. To prawdziwy biały dżentelmen, tylko wyraźnie nie lubi kolorowych. Po prostu nie podobają mu się ludzie, którzy jak ja mają czarną skórę, chyba że wpadnie mu w oko taka Sallie John lub coś w tym rodzaju.

Skończył i czekał, ciekawy, czy Will okaże niezadowolenie z tego, co usłyszał. Ale twarz Willego pozostała nieprzenikniona.

— Nie chciałbym nic złego powiedzieć o panu Grady'm... — wuj Jeff nabrał odwagi — ale czasem mi się zdaje, że on chce mi zatrucić życie. Skończyłem sześćdziesiąt lat i

chciałbym bardzo coś z sobą zrobić, zanim będzie za późno. Urodziłem się na tej plantacji i od dziecka pracowałem dla pana Grady'ego, a przedtem dla jego taty, niewiele mi już życia zostało, więc ja i moja żona bardzo byśmy nie chcieli zejść z tego świata tutaj, gdzieśmy spędzili całe nasze życie. Mój syn, Sammy, dostał dobrze płatną pracę w tartaku w Maguffin i powiada, że chce, byśmy oboje przenieśli się do miasta i zamieszkali u niego. Już nie mogę tak ciężko pracować i chciałbym trochę odetchnąć, póki jeszcze jako tako się trzymam.

— Co powiedział pan Grady, jak wspomniałeś, że chciałbyś wyjechać? — spytał Will.

— Powiada., że mam mu zapłacić.

— Ile?

— Jaka różnica, czy zażąda pięć centów, czy pięć dolarów, sam pan wie, że nie mam grosza przy duszy. Mój syn, Sammy, mógłby za mnie zapłacić, gdyby pan Grady nie żądał znacznie więcej, niż Sammy'ego na to stać.

— Na twoim miejscu, wuju — powiedział Will potrząsając głową z wielką powagą — nie zrobiłbym nic przeciw woli pana Grady'ego. Sam dobrze wiesz, że czarny nie może pozwolić sobie na nieposłuszeństwo wobec białego. Biali takich rzeczy nie puszcza płazem. To jest kraj białych, sam wiesz. Jeśli chcesz wyjechać, musisz wpierw mu zapłacić.

— To jest straszne, ale prawdę pan mówi. Sam o tym wiem. — Wszyscy słyszeli, co się stało ostatnim razem. Henry Crawford, który wraz z rodziną mieszkał w domku obok mnie, wyprowadził się. Pan Grady zawiadomił policję. Puścili śladem Henry'ego ogary, złapali go i sędzia skazał go na dziesięć lat ciężkich robót. Pan Grady oświadczył, że Henry zalega z czynszem za dziewięć lat i jest mu winien siedemdziesiąt dolarów za rozbicie kombajnu, dwieście za fasolę i słoninę i już nie pamiętam ile za to, że mu uciekł muł i zabił się, bo rozbił sobie łeb o starą sosnę, i jeszcze coś do tego dodał. W każdym razie było to mnóstwo pieniędzy. Więc sam pan rozumie, że gdyby pan Grady tak mnie obsmarował na moim koncie u niego, nigdy bym się nie wypłacił, choćbym żył dwieście lat albo więcej.

— Niech to będzie dla ciebie nauczką, wuju — powiedział Will. — Siedź cicho, póki twój syn nie zdobędzie tyle pieniędzy, by mógł spłacić pana Grady'ego.

— Sammy powiada, że rozmawiał na ten temat z adwokatem w Maguffin, ale nie wiem, czy się to na coś przyda. Biali trzymają z sobą w tego rodzaju sprawach. Jak nie jeden, to drugi zawsze znajdzie bat na czarnego. Czasem myślę sobie, że byłoby lepiej, gdyby czarny człowiek w ogóle nie przyszedł na świat. Bo przez całe życie wszystko mu się wali na głowę.

— Co ty wygadujesz, wuju? Pomyśl, ile jest roboty na świecie, którą biali musieliby wziąć na swe barki, gdyby nie było czarnuchów.

— Tak, proszę pana — przyznał stary Murzyn z rezygnacją. — To prawda.

Brad zapuścił motor i parę razy objechał traktorem wokół podwórza. Silnik szumiał miarowo. Brad wysiadł. Pete włożył klucze i ceratę do skrzynki na narzędzia i wyjechał traktorem na pole.

Wuj Jeff Davis wyprzągnął muły i odprowadził je do stajni. Nagle Brad i jego ojciec usłyszeli tętent galopującego konia.

Wybiegli na skraj podwórza. Grady galopował w stronę domu Willa.

— Słuchaj — powiedział nerwowo Will chwytając za ramię Brada, który chciał wybiec przed dom. — Uważaj na każde słowo, jak będziesz mówił z Gradym. Nie zapomnij, kim jesteśmy i kim jest on. Wystarczy jedno nieopatrzone słowo, by wyprowadzić Grady'ego z równowagi i sam wiesz, jakiej biedy się możesz napytać. Niech gada, co mu się tylko zechce. Nie wolno nam w niczym mu się sprzeciwić.

Zobaczyli, jak Grady przed domem ściągnął wodze koniowi.

— Ale Lucjana powiedziała, że nie chce wrócić do domu — przypomniał Brad obserwując Grady'ego, który właśnie wjechał na podwórze.

— Wiem, a jednak...

— Ja też nie chcę, żeby tam wróciła.

— Wiem, ale...

— Mnie nie obchodzi, kim on jest. Nie boję się go i jeśli Lucjana mnie o to poprosi, powiem mu, że nie wróci do niego.

Will ścisnął ramię Brada. Ręce mu drżały.

— A właśnie tego nie możesz mu powiedzieć, synu! Jeśli Grady nas stąd wypędzi, nigdzie nie znajdziemy sobie miejsca. To by mnie zrujnowało. W całym stanie nikt nie da

mi pracy, jak się ludzie dowiedzą, żeśmy się postawili Grady'emu Dunbarowi. Pomyśl o matce. Nie chciałbyś, żeby przez ciebie została pozbawiona dachu nad głową, prawda, synku?

Brad milczał.

— I nie zapomnij, co ci mówiłem dziś w nocy — szybko dodał Will. — Ona jest wciąż jego żoną.

Grady widział, że Brad i Will stoją koło domu, ale nie podjechał do nich, tylko przeprowadził konia przez podwórze, przywiązał do balustrady, wbiegł na werandę i wszedł do pokoju od frontu. Brad zdążył w tym czasie dojść do schodków.

Gdy wszedł do pokoju, Grady stał na środku i piorunował wzrokiem Lucjanę leżącą w łóżku. Minęła długa chwila, zanim Lucjana podniosła wzrok i zobaczyła Grady'ego. Krzyknęła przeraźliwie. Z kuchni wbiegła Sara.

— Na miły Bóg, co się stało, Lucjano? — spytała przerażona. — Co się stało?

Zobaczyła Grady'ego na środku pokoju. Spojrzał na nią spode łba.

— Och! — krzyknęła i podbiegła do stóp łóżka.

— Toś tutaj się schowała, co? — powiedział Grady. — Wiedziałem, że daleko nie uciekniesz.

Podejrzliwym okiem zlustrował skromnie umeblowany pokój. Stały w nim dwa żelazne łóżka, okryte bielutkimi, bawełnianymi haftowanymi kapami, wysoka serwantka, dwa fotele na biegunach i parę krzeseł z trzciniowymi siedzeniami. Nad kominkiem wisiało owalne lustro, a ścianę między kominkiem i drzwiami od frontu zdobił duży kalendarz z malowidłem, które przedstawiało mężczyznę i małego chłopca łowiących ryby w strumieniu. I to było prawie wszystko w tym pokoju, w którym mieszkali i spali Harrisonowie. Sosnowa podłoga lśniła bielą wyszorowanych desek.

Grady obejrzał się za siebie i podszedł do łóżka, na którym leżała nieprzytomna ze strachu Lucjana. Ogarnął go posępny gniew.

— Cóż to ma znaczyć, żeś uciekła z domu i tutaj się skryła? — spytał.

Twarz nabiegła mu krwią, wargi zbieleły. Lucjana przypomniała sobie, jak raz Grady zwałił Murzyna z nóg i bił go łańcuchem od orczyka. Wiedziała, do jakiego okrucieństwa był zdolny, kiedy wpadł w gniew.

— Dlaczegoś uciekła? — Grady podniósł głos. — Niczego się jeszcze nie nauczyłaś?

Brad zrobił parę kroków i stanął tuż za Gradym.

— Gdzie, do cholery, byłaś całą noc? — Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do matki Brada: — Cóż ona tu robi?

Patrząc mu prosto w oczy Sara mocno zacisnęła usta. Od razu zorientował się, że ta kobieta nie boi się go, i odwrócił się do Lucjany.

— Czemu nie odpowiadasz, jak mówię do ciebie? — schylił się i brutalnie chwycił ją za ramię. — Czemu się nie odzywasz? Co to ma znaczyć?

Lucjana patrzyła na niego drżąc ze strachu. Nie śmiała spojrzeć na Brada i prosić o ratunek, bo wiedziała, do czego może dojść jeśli gniew Grady'ego obróci się przeciw niemu.

— Jak mówię do ciebie, masz odpowiedzieć i to zaraz! — boleśnie szarpnął ją za ramię. — Chciałbym wiedzieć, skąd ci przyszło do głowy, że możesz uciec ode mnie!

Szarpnął ją, posadził na łóżku i zdarł z niej prześcieradło. Miała na sobie białą, bawełnianą nocną koszulę Sary. Podarta i zabłocona sukienka leżała na krześle przy łóżku.

— Wyłaż z łóżka i wracaj tam, gdzie jest twoje miejsce — rozkazał.

Pociągnął ją za ramię na skraj łóżka.

— Przestań, proszę cię! — jęknęła Lucjana wijąc się z bólu.

— Będiesz mnie na klęczkach błagała, to się dopiero zaczęło. Dostaniesz nauczkę i nieprędko ją zapomnisz. Ta ucieczka nie ujdzie ci na sucho. Nie będę tolerował takich wybryków.

— Nie mów tak, Grady! — zawołała. — Nie zrobisz mi nic złego!

— Milcz! Będę mówił i robił, co mi się spodoba! Nikt bezkarnie nie będzie kpił sobie ze mnie!

Nim skończył, do pokoju wszedł Will Harrison. Był opanowany i z niezmaconym spokojem wysłuchał ostatnich słów Grady'ego. Grady odwrócił się w jego stronę.

— Dzień dobry, Grady — przyjaźnie go powitał. — Jak się pan ma?

Grady skinął głową, ale nie odpowiedział.

— Widziałem, jak pan przed chwilą przyjechał, ale nie byłem pewny, czy chce się pan ze mną zobaczyć. Po namyśle postanowiłem wejść i zapytać, czy nie mógłbym się na coś przydać.

Grady wskazał głową na Lucjanę.

— Od kiedy ona jest tutaj? — spytał.

— Przyszła w nocy. Około godziny dwunastej, może trochę później, jeśli dobrze pamiętam. Rzecz jasna, nie miałem z tym nic wspólnego, Grady. Zna mnie pan dobrze i wie, że nie mieszałbym się do niczego, co by mogło panu nie odpowiadać. Przyszła w nocy i zabraliśmy ją do domu. Uważałem, że inaczej nie można postąpić.

— A po co ona tu przyszła? — podejrzliwie spytał Grady.

— Pojęcia nie mam! Nie chciała powiedzieć.

Grady podniósł z krzesła podartą suknię, obejrzał ją i rzucił na podłogę.

— Dlaczego jej suknia jest w strzępach?

— Suknia była już podarta, gdy pańska żona tu przyszła. Może podarła się na drutach kolczastych, a może na dzikich różach. Na skraju pola jest kępa dzikich róż.

— W tych stronach kobiety bywają gwałcone.

— Faktycznie, zdarzają się takie rzeczy — szybko przyznał Will — Więc kobiety nie powinny same biegać po nocy, bo nigdy nie wiadomo, kiedy jakiś czarnuch może...

— Gwałcą kobiety nie tylko Murzyni — odparł Grady patrząc na Brada.

— Bardzo słuszna uwaga — przytwierdził Will.

— Kto jeszcze tu jest, prócz niego i czarnuchów? — spytał Grady wskazując głową na Brada.

— Nie ma nikogo więcej, Grady — szybko zapewnił go Will. — Z wszelką pewnością.

Grady ponurym wzrokiem mierzył Brada.

— Czemu się nie odezwiesz, tylko stoisz z zamkniętą gębą, jak kompletny idiota? — zwrócił się do niego. — Niewielka by to była dla mnie różnica, czy ty byś ją tu ściągnął, czy jakiś czarnuch, bo gdybym miał pewność...

Nie dokończył. Nagle odwrócił się na pięcie i spojrział ze złością na Lucjanę.

— Dlaczego milczysz jak zaklęta? Co starasz się ukryć? Powiedz prawdę, dobrze ci radzę!

— Niczego nie ukrywam, Grady! — zapewniła go szlochając. — Niczego, przysięgam!

— Wymknęłaś się z domu, by z kimś się spotkać?

— Nie!

— Byłaś sama?

— Tak, Grady!

— Nie wiem, czy mogę ci uwierzyć.

— Proszę cię, wierz mi, Grady!

— Jeśli mnie okłamujesz, dojdę prawdy, możesz być tego pewna! Znacznie lepiej na tym wyjdiesz, jak powiesz mi prawdę, póki nie będzie za późno!

— Powiedziałam ci prawdę! Szczerą prawdę, Grady!

Patrzył na nią przez chwilę, po czym nagle odwrócił się do Brada.

— A ty co tutaj robisz? Dlaczego nie pracujesz na polu? Tam jest twoje miejsce.

Brad spojrział na ojca bez słowa prosząc, by pozwolił mu się odezwać. Will potrząsnął głową i stanął między Bradem a Grady.

— Grady — powiedział — dopilnuję, by Brad odrobił stracony czas. Byłbym niepokieszony, gdybyś pomyślał, że któryś z nas uchyla się od pracy.

— No to dlaczego on nie pracuje teraz na polu?

— Całe rano naprawialiśmy traktor. Wczoraj późno wieczorem zepsuł się na polu. Pete wraz z wujem Jeffem Davisem przyholowali ten traktor tutaj, żeby Brad go naprawił.

— A skąd mam wiedzieć, co on robił w nocy? O to pytam.

— Niech się pan nim nie przejmuje — odparł Will. — Biorę za niego odpowiedzialność. A poza tym to porządny chłopak.

— Znacznie bardziej by mi odpowiadało, gdybyś go wyrzucił z domu. Poślij go do roboty gdzie indziej. Nie chcę, żeby mi tu się szwendał. On mi się coraz bardziej nie podoba.

— Ależ, Grady, to mój syn i ja...

— Chcesz kłócić się ze mną?

— Nie, Grady — pokornie odparł Will. — Skądże by znowu! Sam pan wie, że zawsze starałem się pilnie spełniać pańskie polecenia.

— No to wypędź go z domu.

Podszedł do łóżka, chwycił Lucjanę za ramię i brutalnie ją szarpnął tak, że usiadła na brzegu łóżka.

— Wstawaj i jazda do domu!

— Proszę cię, Grady, nie zmuszaj mnie do tego! — błagała szlochając. Oczy miała pełne łez. — Proszę, Grady! Nie chcę wracać!

— Czego nie chcesz?

— Nie chcę wracać do domu, Grady.

— A to co znowu, do ciężkiej cholery!

— Poważnie, Grady! Tak jest! Nie chcę wracać!

— Czy zdajesz sobie sprawę, coś powiedziała?

— Doskonale!

Uderzył ją na odlew w twarz, aż przewróciła się na bok.

— Dostałaś nauczkę! — krzyknął. — Gównu mnie obchodzi, czy chcesz wracać, czy nie — zrobisz, co ci każę!

Lucjana spojrzała błagalnym wzrokiem na Sarę. Zanim jednak Sara zdążyła zrobić krok w jej stronę, Will ją przytrzymał. Potrząsnął głową.

— Nie, Sara — cicho powiedział. — Zostaw.

— Ależ, Will... — próbowała zaprotestować.

Will znów potrząsnął głową i odepchnął żonę od Lucjany.

Grady wyciągnął ją z łóżka, chwycił suknię i rzucił jej. Płakała bezradnie.

— Włóż buty i to prędko. I żebym już nie słyszał ani słowa o tym, czy chcesz wracać, czy nie. Jesteś moją żoną i zrobisz, co ci każę.

Will nie powstrzymał Sary, gdy uknęła i pomogła Lucjanie włożyć pantofle. Dał głową znak Bradowi i wyszedł na werandę. Podeszli do balustrady i przez chwilę stali nasłuchując, co się dzieje w pokoju.

— Ojczy, jak mozesz pozwolić, by on ją tak traktował! — wybuchnął Brad. — Czy ty nie widzisz, że ona nie chce wrócić? Sam też nie powinieneś pozwolić, żeby tobą pomiatał.

— Zawsze starałem się robić, co Grady mi kazał, i nigdy się wobec niego nie zapomniałem.

— A mnie on nie kupił na własność — odparł Brad wolno kiwając głową. — I nikt mi nie będzie rozkazywał.

— Nie mogę tego, słuchać, synku. Prędzej czy później takim gadaniem narobisz sobie kłopotu.

— Jak ty się boisz otworzyć usta, ja nie będę milczał. Grady Dunbar nie doprowadzi do tego, żebym się bał własnego cienia.

— Może masz rację, synu — z powagą powiedział Will. — Ale w żadnym razie nie mamy prawa wtrącać się do jego prywatnych spraw.

— Mam prawo zrobić, co uznam za stosowne — ze złością odparł Brad. — Jeśli jeszcze raz ją uderzy, będzie miał ze mną do czynienia.

Na werandę wyszli Grady i Lucjana, a za nimi spłoszona Sara. Grady chwycił Lucjanę za ramię, pociągnął ją przez werandę i po schodkach na podwórze. Lucjana szlochała.

Grady odwiązał konia i odwrócił go szarpiąc uzdą.

— Jeszcze nie wiem, co właściwie ona tu robiła — powiedział złym okiem patrząc na Brada. — Ale się dowiem. Wszystko wyśpiewa.

Popchnął Lucjanę.

— Siadaj na siodle — rozkazał.

Rozdział dziesiąty

Lucjana podciągnęła koszulę powyżej kolan i spróbowała włożyć nogę w strzemię. Ale strzemię było za wysokie, a niespokojny koń odsuwał się na bok, co jeszcze bardziej utrudniało sytuację. Sara, widząc, że nie może pomóc Lucjanie, uciekła do domu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Will zakłopotany, wbił wzrok w ziemię.

— Mnie się nie śpieszy — powiedział Grady. — Mogę tu stać cały dzień.

Lucjana rzuciła okiem na Willa i Brada. Ledwie ich widziała przez łąkę.

— Gdybyś była mądrzejsza, tobyś wsiadła na konia, jak ci kazałem — oświadczył Grady.

Brad wolno zszedł po schodkach i stanął na podwórzu. Grady obserwował go kątem oka.

— Strzemię jest za wysoko — jęknęła Lucjana. Sam widzisz, Grady.

Grady, bez słowa, mocno pchnął ją w stronę konia. Kwiląc jak dziecko Lucjana znów zadarła no cną koszulę i jeszcze raz spróbowała sięgnąć nogą do strzemienia. Koń się cofnął, Lucjana straciła równowagę i upadła.

— O to właśnie chodzi — powiedział Grady złośliwie się śmiejąc. Nie pomógł jej wstać. — Proszę, wystawiaj się dalej na pośmiewisko, zobaczymy, co na tym zyskasz. Wiem, że chcesz zrobić ze mnie durnia. Ale ja wytrzymam to dłużej niż ty. Jak będziesz miała dość, wstań i wleź na konia. To nie ja się wygłupiam.

Nie zdążył skończyć, gdy Brad podszedł do Lucjany. Schylił się i postawił ją na nogi. W tej samej chwili Grady z całej siły kopnął go w tyłek. Brad zatoczył się, ale nie upadł. Podprowadził Lucjanę do konia i położył jej ręce na siodle, by mogła się podciągnąć. Odwrócił się, stanął twarzą w twarz z Gradym. Nigdy w życiu nie był jeszcze taki wściekły. Grady śmiał się szyderczo.

— No co? Jesteś tchórz? — spytał obelżywie. — Dlaczego nie chcesz się bić ze mną, jeżeli masz pretensję? — włożył rękę do kieszeni na biodrze. — Znam się na takich jak ty. I łatwo sobie z tobą poradzę!

Brad zerknął na ojca. Will gwałtownie potrząsnął głową.

— Ręce precz od mojej żony, ty żebraku — powiedział Grady. — To ci nie ujdzie na sucho.

Brad odwrócił się plecami do Grady'ego i podszedł do Lucjany. Chciał ją podsadzić na siodło, ale zanim ją podniósł, Grady doskoczył i chwycił go za ramię. Brad strzepnął z ramienia rękę Grady'ego.

— Powiedziałem, żebyś brudnymi łapami nie tykał mojej żony! — krzyknął rozwścieczony Grady. — Cóż ty sobie myślisz? Żeśmy razem świnię paśli? Rozwałę ci łeb i ani zipniesz!

Lucjana spróbowała ich rozdzielić. Grady odepchnął ją na bok.

— Gadaj sobie, co chcesz, panie Dunbar — spokojnie powiedział Brad. — Ale przy mnie nie będziesz jej maltretował. Jeżeli jeszcze raz ją uderzysz, wezmę się do ciebie. Nic więcej nie mam do powiedzenia, panie Dunbar.

Grady, zdumiony, cofnął się o krok. Pogardliwy uśmiech skrzywił mu usta.

— Zwariował!

— To nie żarty, panie Dunbar.

— Za kogo ty się masz, do cholery?!

— Dobrze pan wie, kim jestem.

— Co prawda, psiakrew, to prawda! Dobrze się znam na takich jak ty!

Twarz mu nabiegła krwią, usta drżały z gniewu. Plunął Bradowi pod nogi.

— Od kiedy oglądasz się za moją żoną? Jak długo to trwa?

— To moja sprawa.

— Aleś bezczelny!

Grady zrobił krok w jego stronę. Brad ani drgnął. Widząc, że Brad się go nie boi, Grady roześmiał się nerwowo i znów sięgnął ręką do kieszeni na biodrze.

— No toś się nareszcie odezwał — powiedział Grady swobodnym tonem. — Dziwiło mnie, dlaczegoś cały czas zawzięcie milczał, jakbyś się bał otworzyć usta. Nie chciałeś, bym się domyślił, że coś tam było między wami, tak?

Brad nic nie odpowiedział, tylko patrzył Grady'emu prosto w oczy.

— A teraz chcesz się przed nią popisać, by się na własne oczy przekonała, jaki to z ciebie cholerny bohater, co?

- Możesz myśleć o tym, co tylko chcesz.
- A jeżeli mnie się to nie podoba?
- Sam się na coś zdecydujesz.
- Już się zdecydowałem, możesz mi wierzyć!
- A to świetnie — spokojnie odparł Brad.

Grady zrobił ruch, jakby chciał sięgnąć po pistolet. Will zbiegł po schodkach i stanął między nimi. Brad odepchnął ojca na bok.

— Sam to załatwię — oświadczył stanowczo. — Wiem, co robię. Niech się ojciec nie miesza do tego.

— Jedno tylko możesz zrobić. Zamknąć japę — Powiedział Grady.

— Jak zostawisz ją w spokoju, to słowa nie powiem.

— No to zamknij gębę i nie otwieraj jej więcej, żebraku! Nie masz nic do gadania. To ja będę mówił. — Roześmiał się szyderczo. — Jesteś pierwszym białym biedakiem w moim życiu, który nie miał tyle oleju w głowie, żeby siedzieć cicho, jak mu się kazało milczeć. Ty ciężki idioto, uważasz się za równego mnie!

Grady zrobił parę kroków w stronę konia, ale coś mu przyszło do głowy i nagle się odwrócił.

— Co was dwoje łączyło? — zapytał.

Brad popatrzył na niego, ale się nie odezwał.

— Dlaczego nie odpowiadasz na moje pytanie? Co starasz się ukryć?

— O co ci chodzi?

— O to mi chodzi, o co pytam. Nie jesteś taki tępy, jak na to wyglądasz. I dobrze wiesz, co miałem na myśli.

— Nie muszę odpowiedzieć.

— A ja ci mówię, że musisz.

— Spróbuj mnie zmusić.

Grady głęboko westchnął.

— Gdybym wiedział na pewno, już byś nie żył i nie mógł odpowiedzieć.

Zabrzmiało to groźnie.

— Gdybym wiedział, że coś było między wami — dodał Grady — tobym... tobym...

Will Harrison znów ich rozdzielił. Tym razem stanął twarzą w twarz z Gradym i nie zwracał uwagi na to, że Brad chce go odepchnąć na bok.

— Słuchaj, Grady — powiedział z wielką powagą. — Wiesz, że nie jestem z tych, co by się tobie w czymkolwiek chcieli sprzeciwić. Zawsze ściśle wykonywałem twoje polecenia i nigdy się nie zapomniałem, w żadnym wypadku. Gdybym uważał, że mój chłopak zrobił ci jakąś krzywdę, sam bym się wziął do niego. Jakby zrobił coś nie po twojej myśli, sam bym bez wahania wyrzucił go z domu. Nie pozwoliłbym mu zostać tutaj i doprowadzić do nieporozumienia między tobą a mną. Znasz mnie dobrze i wiesz, jaki jestem. Otóż, w moich oczach, nie było najmniejszego powodu do tej całej sprzeczki...

— Ty się nie mieszaj — odparł Grady. — Jak będę potrzebował twojej rady, sam o nią poproszę, a teraz przestań pyskować, bo przepędzę wszystkich przeklętych Harrisonów stąd, gdzie ja jestem panem. Nikt mi nie będzie dyktował, co mam robić.

— Tak, Grady — powiedział Will spuszczać pokornie głowę. — Przyznaję, że się zapomniałem i powiedziałem za wiele. Już tego żałuję. Na pewno nie chciałem ci się narazić.

— Wy obaj pilnujcie się, dobrze radzę — odparł Grady. Wskazał głową na Brada. — Mam powody o podejrzeniu, a jeśli się upewnię, że moje podejrzenia były słuszne, już ja wam pokażę! Żadnemu białemu Murzynowi nie ujdzie na sucho robienie ze mnie durnia. To już teraz mogę wam obiecać.

— Święte słowa, Grady — szybko zapewnił go Will. — Nie mam do ciebie najmniejszej pretensji, że tak się tym wszystkim przejąłeś..

Grady chwycił Lucjanę i wrzucił ją na siodło. Brad stanął przy koniu, by podtrzymać Lucjanę w siodle, gdyby Grady nagle szarpnął uzdą. Grady, doskoczył i odepchnął Brada w tył.

— Ja cię jeszcze dostanę w ręce! — krzyknął. — Dostanę cię, choćby mnie potem krew nagła zalała. Potrafię nauczyć moresu takich jak ty białych Murzynów.

Szarpnął uzdą. Koń zerwał się tak, że Lucjana omal nie spadła na ziemię. Grady ruszył przez podwórze w stronę polnej drogi. Brad i Will bez słowa obserwowali ich, aż Grady dotarł do połowy zbrocza.

— Jak tylko zobaczyłem w nocy, że niesiesz na rękach żonę Grady'ego, od razu wiedziałem, że będzie z tego kłopot — powiedział speszony Will. — Nie trzeba było tego robić.

— A ty co byś zrobił? Poleciał z podwiniętymi ogonem do Dunbara zapytać, czy można udzielić jej pomocy?

— Tak się nie mówi do ojca, mój chłopcze.

— Tylko tak można mówić do tych, co padają plackiem w błocie, jak Grady Dunbar na niego spojrzy. Od dziecka wiedziałem, jak się płaszczyles. Niedobrze mi się od tego robi.

Will żałośnie pokiwał głową i wlepił wzrok w ziemię, Brad patrzył za Gradym, który prowadził konia w stronę domu na wzgórzu.

— Z ciężkim sercem to mówię — odezwał się wreszcie Will — ale wygląda na to, że nie ma innej rady, musisz się zabrać z domu. Jeśli tu zostaniesz, narobisz kłopotów mnie i twojej matce. Grady nie ścierpi takiego zawalidrogi jak ty. Widziałem, jak sprzątnął niejednego Murzyna za znacznie mniejsze przewinienie. Jedno ci pozostało. Spakować manatki i jak najprędzej stąd uciekać. Będzie to rozsądny postępek. I pozwoli nam uniknąć kłopotów.

— Nie boję się Grady'ego Dunbara ani takich jak on. Wcale mnie nie zastraszył. Jak wyciągnie pistolet, jednym uderzeniem zwalę go z nóg, jakby piorun go trzasł.

— Nie gorączkuj się, synu. Ty sam może dasz sobie radę, ale im dłużej tu zostaniesz, tym gorzej będzie dla mnie i twojej matki.

— Nie byłoby Dunbarów, gdyby tacy jak ty nie lizali im butów. Możesz być pewny, że nie zostaną tu i nie będę się płaszczyl tak jak wy.

— Więc odejdziesz, synku? Jeśli chcesz, wytłumaczę twojej matce, dlaczegoś nas opuścił. I nie będziesz musiał z nią o tym mówić. Tak jej wszystko wyjaśnię, że zrozumie. Gdybyś tu został, ciężko by się trapiła, żyjąc w strachu przed Gradym. Najwięcej bałaby się o ciebie.

— Nie, teraz nie odejdę stąd — odparł Brad patrząc ojcu w oczy. — Jeszcze nie pora. Mam tu coś do załatwienia.

Will, zamyślony, milczał.

Rozdział jedenasty

Było południe i słońce przypiekało, gdy znaleźli się na górze, przed wielkim domem wśród wysokich czerwonych dębów. O tej porze roku zawsze było ciepło. Błękitne niebo wiosenne przesłaniały smugi chmur, stopniowo nadając mu barwy brudnej bawełny. W miesiąc później co roku żar się lał z nieba, a powietrze było wilgotne i parne. Pod letnim słońcem, które piekło zawzięcie przez opary mgły, bujna roślinność, teraz tak soczyście zielona, wysychała i zostawały z niej tylko poskręcane brązowe liście i badyle. Coraz rzadziej nadchodziły burze z deszczami. Pod koniec letniej posuchy ziemia była spalona i okryta kurzem.

W czasie długiej i uciążliwej drogi pod górę Grady nie odezwał się ani słowem, tylko często oglądał się przez ramię, by sprawdzić, czy Lucjana nie próbuje zeskoczyć z konia i uciec. Szarpiąc ze złością uzdą, Grady poprowadził konia przez wysypane białym piaskiem podwórze ku bocznemu wejściu do domu. Gdy doszedł do schodków, gwałtownym szarpnięciem uzdy zatrzymał konia.

— Beckum! Briscoe! Gdzieście się, do cholery, podziali, czarne łajdaki! — zawołał na całe gardło. — Biegiem do mnie, bo was obedrę ze skóry! Beckum! Briscoe!

Niemal natychmiast dwaj czarni dziesięcioletni chłopcy wybiegli na złamanie karku z za domu, gdzie się bawili na stosie drzewa. Ich pulchne ciała okryte były tak podartymi i wystrzępionymi lachmanami, że niewiele brakowało, by się rozleciały w strzępy, zanim dobiegli do swego pana. Mijały lata, a odzienie chłopców zmieniało się tylko o tyle, że na ich portkach i koszulach przybywało łat ze znoszonych materiałów. Czarne kręcone włosy mieli krótko przycięte na okrągłych głowach.

Nic im nie płacono za wymiatanie z podwórza gałązek i kamyków ani za inne posługi. Zbierali niedopałki papierosów, palili je w stodole, bawili się pod werandą, gdy przyszli goście, i wypatrywali monet, które czasem spadały przez szpary w podłodze. Ukręcali łebki kurczakom i oskubywali je dla kucharek, czatowali na butelki, jakie Grady wyrzucał przez okno, i wylizywali whisky do ostatniej kropli, bili w wielki dzwon na podwórzu wzywający na kolację i przez okna obserwowali, jak podawano do stołu. Posłusznie i bez skargi wykonywali liczne posługi, ulegając na przemian przypływom

energii i lenistwa. Od świtu do późnej nocy kręcili się koło domu, gotowi zrobić wszystko, co tylko Grady im przykazał. Byli ciekawi, co dzieje się w wielkim domu nocą i często wspinali się po oblaźłych z farby kolumnach, by całymi godzinami podglądać Lucjanę lub Grady'ego w oświetlonych pokojach.

Reszta służby, kucharki, pokojówki i praczki, dostawała czasem parę dolarów za tydzień pracy, ale to się rzadko zdarzało, gdyż Grady uporczywie twierdził, że otrzymują należną im zapłatę w naturze, co oznaczało zniszczoną odzież, worek fasoli lub jakiś grat wyciągnięty z rupieciarni na drugim piętrze. Jeżeli któraś kobieta odmówiła przyjęcia zżartego przez mole szala albo krzesła na trzech nogach zamiast tygodniowej płacy, Grady umiał zaniknąć jej usta groźbą, że pośle ją do więzienia w Maguffin, bo od kilku lat zalega z zapłatą czynszu, jaki winna mu płacić za mieszkanie w domku z okrągłaków. Od czasu do czasu Grady znajdował pretekst i pakował do więzienia któregoś Murzyna, aby to było przestrogą dla całej służby. Wystarczyło oświadczenie, że Murzyn winien mu jest paręset dolarów i szykuje się do ucieczki z hrabstwa, chcąc w ten sposób uchylić się od spłaty długu. Sąd w Maguffin z zasady nie zdradzał chęci przyznania słuszności Murzynowi w sporze z białymi i sprawa zwykle kończyła się skazaniem czarnego na więzienie lub roboty przymusowe.

— Gdzieżeś się szwendał, Beckum? — spytał Grady opryskliwie. Czyście, czarne diabły, znów ujeżdżali prosiaków na wybiegu?

— Nie, proszę pana, od dawna już tego nie robimy.

— Niech was tylko przyłapię na jakim łajdactwie za domem, oczy wyłupię jednemu z drugim.

Obaj chłopcy uśmiechnęli się niewinnie.

— A na drugi raz, jak was zawołam, to lećcie na złamanie karku. Już mam po uszy tego czekania na was. Zrobisz, co ci przykazałem, Briscoe?

— Tak, proszę pana — zapewnił go Briscoe. Usta mu drżały ze strachu. — Przylecimy. Układaliśmy stos z drzewa na opał, żeby było dobre i suche jak należy.

Grady odwrócił się i spiorunował wzrokiem Beckuma. Chłopcu zatrzęsły się kolana.

— A ty co sobie myślisz? Dlaczego jesteś taki ospały, Beckum? Dlaczegoś nie czekał tu, by odebrać konia? Czy mam zdzierać sobie gardło za każdym razem, gdy jesteś

mi potrzebny? Jak ci się zdaje, po co cię nająłem? Niech jeszcze raz złapię na zbijaniu bąków, żywcem obedrę ze skóry. Jak się nie będziesz pilnował, odbiorę ci pracę i dam komu innemu. Słyszałeś?

— Tak jest, proszę pana — odparł Beckum jeszcze bardziej trzęsąc się ze strachu. — Słyszałem każde pańskie słowo i póki mego życia, nigdy nie będę się obijał, więc proszę pana, niech mnie pan nie zwalnia z pracy. Wszystko inne, tylko nie to. Ja naprawdę bardzo uwielbiam moją pracę, proszę pana.

— Gdyby to się jeszcze raz zdarzyło, znajdę takich chłopaków, którzy będą się starali i wykonywali swoje obowiązki tak, jak sobie tego życzę. Już mam dość uganiania się za wami, kiedy jesteście mi potrzebni. Nie będziecie przykładali się do roboty, to wrócicie do domu i żadnej pracy nie dostaniecie.

— Tak jest, proszę pana — zapewnili niemal jednym głosem — będziemy pilnie spełniali pańskie rozkazy.

— Może jeszcze trochę poczekam. W tej chwili za bardzo jestem zajęty, by szukać innych chłopaków.

— Tak jest, proszę pana — powiedział Beckum uśmiechając się nieswojo. — Bardzo pięknie pan się z nami obszedł.

— A coście robili całe rano? — podejrzliwie spytał Grady.

— Przeważnie układaliśmy drzewo, sprząтали kurnik i pracowali ogród, proszę pana — odparł.

— Jak tylko odprowadzicie konia do stajni, zabierzecie się do roboty. Czarnuchy, jeśli się ich bez przerwy nie popędza, zaczynają błaznować.

— Tak jest, proszę pana — odparli unisono.

Grady ściągnął Lucjanę z konia. Oddał uzdę Beckumowi. Briscoe popędził konia, który ruszył kłusem przez podwórze. Chłopcy i koń zniknęli bramie stajni.

Lucjana kątem oka dostrzegła służące, a wśród nich Sallie John. Ukryte za firankami okien jadalni obserwowały ją z zapartym tchem. Upokorzona, wiedziała, że odtąd, ilekroć spojrzy na te Murzynki, przypomni sobie ich szydercze uśmiechy. Najchętniej odwróciłaby się i uciekła, by ich nigdy więcej nie zobaczyć. Wyczuła, że Grady świdruje ją wzrokiem. Obejrzała się trwożnie na niego.

— Idź do swego pokoju — rozkazał.

Nie zdążyła zrobić kroku, gdy chwycił ją za ramię i mocno pchnął w stronę schodków. O mało nie upadła.

— Pośpiesz się — dodał. — Zwlekanie nie wyjdzie ci na dobre.

Z zapartym tchem Lucjana pobiegła przez werandę do hallu. Mijając drzwi do jadalni, zobaczyła gapiące się na nią Murzynki.

Od pierwszego dnia pobytu w tym domu czuła się nieswojo w obecności tutejszych Murzynek. Odnosiły się do niej z szacunkiem i żadna nie powiedziała jej złego słowa, a jednak dawały jej odczuć, że nie jest i nigdy nie będzie tu tak zadomowiona jak one.

Całą drogę po zniszczonych schodach i przez długi, szeroki korytarz słyszała, że Grady nieustępliwie idzie za nią. W domu panowała głucha cisza. Lucjana dziękowała Bogu, że nie musi spotkać się z mamą Elsie w tak krytycznej chwili.

Z hallu na dole dobiegły ją szepty podnieconych Murzynek.

Wbiegła do pokoju. Wiedziała, że nie ma sensu zamykać drzwi. Znużona, padła na kanapę. Usłyszała ciężkie kroki Grady'ego. Wszedł za nią. Trzasnął drzwiami tak mocno, że ze szczelin w suficie z sosnowych desek kurz posypał się na podłogę.

Leżała czekając na to, co też Grady powie lub zrobi. Zdawało się jej, że mija minuta za minutą i każda chwila coraz bardziej ją przygniata. Wiedziała, że to, co się ma stać, jest nieuniknione. Była bezsilna, zdana zupełnie na jego łaskę. Zasłoniła dłońmi twarz, by jak najdłużej uniknąć ponurego wzroku Grady'ego. Nie widziała go, ale czuła, że stoi w pokoju i pogardliwie patrzy na nią.

— No, zaczynamy — powiedział właściwym sobie aroganckim tonem. W ten sam sposób lżył Murzyna, który mimo woli zrobił coś nie tak, jak Grady sobie życzył. — Chcę usłyszeć, co masz do powiedzenia na swą obronę. Powinnaś już być do tego przygotowana. Miałaś dosyć czasu, by wymyślić historię, którą byś chciała mi wmówić. Gadaj! Słuchamy!

Lucjana wstrzymała oddech, rozpaczliwie starając się zebrać myśli. Ale była tak zmaltretowana, że czuła tylko ból pulsujący w głowie.

— Okazało się, że jesteś wspaniałą kobietą! — szydził Grady. — I co za dureń ze mnie, że tyle czasu dałem się nabierać!

Wciąż nie patrząc na niego wiedziała, że stoi na środku pokoju, o parę stóp od kanapy i spogląda na nią z nienawiścią, pełen najgorszych podejrzeń. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jaki bezwzględny i okrutny potrafi być Grady. Strasznie się go bała.

— Wcale mnie nie zdziwi, jeśli się okaże, żeś zawczasu wymyśliła jakąś bajkę — powiedział złośliwie. — Ano, posłuchajmy. Nie musisz udawać, że jesteś nieśmiała — nie mam czasu, by się pieścić z tobą. Więc, co mi opowiesz?

Przyciągnął ciężkie krzesło do rogu kanapy. Zanim usiadł, chwycił ją za rękę i oderwał je od twarzy.

— Cokolwiek powiesz, mów szczerą prawdę, dobrze ci radzę — ostrzegł. — Jeśli przyszło ci do głowy, że się wykręcisz kłamstwem, rozmyśl się prędko. Nie będę tu siedział i słuchał kłamstw. Nie mam zamiaru tracić czasu dla ciebie.

Rozdział dwunasty

Lucjana leżała na kanapie drżąc ze strachu. Zdawała sobie sprawę, że nie ma dla niej ratunku. Cokolwiek by powiedziała lub uczyniła, nie mogło powstrzymać Grady'ego od dręczenia jej. Jeśli będzie błagała, by przestał, wyśmieje ją, gdyby zerwała się i spróbowała uciec, złapie ją zaraz i rzuci na kanapę. Kiedyś była świadkiem, jak znęcał się nad Murzynem, ale dopiero teraz zdała sobie sprawę, że okrucieństwo sprawiało mu przyjemność.

Grady, spoglądając na nią z wulgarną radością, oparł nogi na brzegu kanapy, zapalił papierosa i rzucił zapalną na dywan. Chciała ukryć twarz poduszce, ale chwycił ją brutalnie za ramię i przewrócił na plecy.

No już, posłuchajmy, co masz do powiedzenia na swoją obronę. Nie będę tu siedział cały dzień ten ostatni idiota. Już przeciągnęłaś strunę.

Czekała z zapartym tchem nie wiedząc, jak długo jeszcze będzie mogła milczeć, zanim Grady zmusi ją do mówienia. Grady podniósł nogę i szturchnął ją szpicem buta.

— No, zabawiłaś się, teraz usłyszymy, jak to było. Mówią ludzie, że jak tak zwana przyzwoita kobieta zejdzie na manowce, to używa sobie za wszystkie czasy. Naturalnie... — zaśmiał się krótko — nie wtykałbym nosa w twoją małą tajemnicę, gdyby się tak nie złożyło, że jestem twoim mężem.

Kopnął Lucjanę obcasem z twardej skóry. Przeszył ją ostry ból.

— Jeśli ci nie sprawi to różnicy, możesz zacząć od tego, że powiesz mi, coś, u licha ciężkiego, dziś w nocy robiła na polu. — Jego głos nabrał histerycznej nuty. — Nie jesteś aż tak wstydliva, byś nie mogła dokładnie mi opowiedzieć, jak to było. Jesteśmy oboje biali. Możesz swobodnie rozmawiać z kimś, kto też ma białą skórę, prawda? Kiedy dziś rano przydybałem cię w domu Harrisona, zachowywałaś się tak, jakbyś miała powody do dumy. Dlaczego teraz nie masz odwagi otworzyć ust?

Lucjana potrząsnęła głową starając się ze wszech sił powstrzymać łzy napływające jej do oczu. Grady bezlitośnie się w nią wpatrywał. Po raz pierwszy w życiu pragnęła umrzeć.

— Nie łudzisz się chyba, że pozwolę, byś sobie ze mnie kpiła udając niemowę! Mam już tego dość. — Urwał dysząc z gniewu. — Wytlukę z ciebie prawdę, jeżeli mnie zmuszasz do tego. Sama dobrze o tym wiesz.

— Proszę cię, Grady!

— Cóż to ci się stało? Wstydzisz się mówić o tym? Nagle wielka dama się z ciebie zrobiła? Nie chcesz, bym się dowiedział, żeś dzisiaj w nocy wymknęła się z domu, by się spotkać w polu z tym Bradem Harrisonem i dać mu się sponiewierać dla zabawy? Ci biali Murzyni pomiatają swoimi kobietami, co? A tyś nie wiedziała, że tak to wygląda? Nie przypuszczałaś, że cię wytarza najpierw w błocie i parę razy da w ucho? Pewnie bardzo byłaś zdziwiona, gdyś się dowiedziała, jak biały Murzyn traktuje kobietę — a raczej damę, tak powinienem cię nazwać, twoim zdaniem.

.— Och, proszę cię, Grady! — zawołała z rozpaczą. — Jak możesz mówić takie rzeczy! Przestań, proszę cię, Grady!

Zdjął nogi z kanapy, wyprostował się w krześle i przyglądał się jej z ironicznym uśmiechem. Nie zdawała sobie sprawy, że stać go na taką arogancję i takie okrucieństwo.

— Co ty właściwie knujesz? Chcesz mnie przekonać, żeś dostała nauczkę? Mam uwierzyć, że teraz, jak już jest po wszystkim, żałujesz swego postępuku i uważasz, że nie warto dać się tłuc białemu Murzynowi? Uwierzyć, że już nigdy więcej nie wymkniesz się z domu?

— Proszę cię, Grady, nie mów tak! To nieprawda! Jesteś niesprawiedliwy!

Milczał przez chwilę. Patrzył na Lucjanę i rozkoszował się jej rozpaczą. Wiedział, jak cierpi. Łzy ciekły jej po twarzy, szloch dławił gardło.

— No dobrze — powiedział wreszcie. — Posłuchajmy twojej historii, jeśli się tego dopraszasz. Może dowiemy się czegoś nowego. Ze mnie jest taki gość, co chce iść z postępu. Czulbym się upośledzony, gdyby się okazało, że nie nadażam. Co za radość mieć żonę, która nocą wymyka się z domu na randkę z białym Murzynem i przynosi najświeższe nowinki! Cholera, może powinienem poklepać cię po plecach zamiast robić awantury.

— To nieprawda, Grady — nie ma ani słowa prawdy w tym, co mówisz!

Potrząsała głową starając się go przekonać.

— Wiesz, że nigdy nie kłamałam.

Oparł się w krzesło i na widok jej katuszy ryknął szyderczym śmiechem.

— Grady, musisz mi uwierzyć! Musisz!

— Nic jeszcze mi nie powiedziałaś. Więc w co mam wierzyć? Może byś otworzyła wreszcie usta i powiedziała, jak to było? — Nagle zmienił ton. Zapienił się ze złości. — Dałem ci już dosyć czasu, byś mi opowiedziała wszystko. Na co jeszcze czekasz? Żebym na kolanach cię prosił?

Lucjana usiadła i śmiało spojrzała mu w oczy. Ale natychmiast zrozumiała, że nie sprosta jego gniewowi i okrucieństwu. Znow zaczęły jej drżeć ręce.

— Jak to jest, kiedy piękna pani nocą wymyka się z domu i tarza się z białym Murzynem po polu zaorany pod kukurydzą?

— Nic takiego się nie stało, Grady — odparła z powagą. — Na pewno.

— Mam ci uwierzyć na słowo?

— Tak, Grady.

— I myślisz, że uwierzę?

— Mam nadzieję. Chcę, byś mi zaufała.

— A co zrobisz, jeśli nie dam się nabrać?

— Nie wiem, Grady.

Przez chwilę myślała, że Grady da się przebłagać, ale źle zrozumiała jego milczenie. Znow zaczął się szyderczo z niej śmiać. Zakryła twarz rękami, szlochała.

— Diabła tam! — zawołał. — A cóż innego byś robiła na polu — cerowała mi skarpetki w świetle księżyca?! Czy ja naprawdę wyglądam na takiego durnia, co by w to uwierzył?

Lucjana zagryzła wargi. Nie wiedziała, co powiedzieć. Bała się, że jak się odezwie, Grady zarzuci jej kłamstwo.

— Powiedziałbym, że on leci na ciebie. Tylko ślepy by tego nie widział. Bo i po co by tak się wstawiał za tobą, gdyby nie chciał tego wykorzystać? Psiakrew, ten biały Murzyn uważa cię za łatwą zdobycz. Siedzi teraz w domu i czeka na następną noc. Po tym, co zaszło tej nocy, uważa, że należysz do niego, psiakrew!

— Nie, Grady! — zdobyła się na protest.

— Trzeba go było zabić, jak mi się nawinał. I to był mój błąd. Ale jeszcze go dostanę. I zdążę drania załatwić.

— Nie wolno ci tego zrobić, Grady — starała się przemówić mu do rozsądku. — To byłoby straszne. Zamknęliby cię i byłbyś sądzony za morderstwo.

— Czego ty się po mnie spodziewasz, że będę się obnosił z głupim uśmiechem na ustach, kiedy on robi ze mnie durnia? Mam swoją dumę, do licha ciężkiego! Nikt nie będzie się całą noc bezkarnie tarzał w polu z moją żoną. Może są na świecie tacy cholerni głupcy, u których byś mogła wyprosić łaskę dla niego, ale ja do nich nie należę. Załatwię go i to prędko.

Pogróżki Grady'ego przeraziły Lucjanę. Wiedziała, że w gniewie nie cofnie się przed zamordowaniem Brada czy kogokolwiek innego.

— Grady — zaczęła z powagą. Pochyliła się naprzód i patrzyła mu w oczy. — Nie wiem, jakie straszne myśli chodzą ci po głowie, ale to, o co mnie oskarżasz, jest nieprawdą — nie ma w tym ani słowa prawdy! Musisz mi uwierzyć, Grady!

— W takim razie dlaczego tak gorliwie wstawiasz się za nim, jak mówię, że się z nim rozprawię? Dlaczego nie zrzucisz winy na niego?

— Bo on nie ma z tym nic wspólnego, Grady — szybko odparła. — Zobaczyłam go dopiero wtedy, jak znalazł mnie w polu i zaniósł do domu. Nic więcej nie było — to wszystko. On może ci to powtórzyć.

— Do cholery z nim!

— No to musisz mi uwierzyć.

— A to dlaczego?

— Nigdy dotąd o nic mnie nie podejrzewałeś.

— Do tej nocy! — roześmiał się, ubawiony powagą, z jaką do niego zaapelowała. — Ładnie bym wyglądał, gdybym dał wiarę takim bajkom! Musiałbym wtedy wierzyć w każde głupstwo.

— Gdybyś tylko mnie wysłuchał, uwierzyłbyś na pewno. Wiesz, że nie chciałabym cię okłamać.

Oparł się w krzesło i patrzył na nią z arogancką obojętnością. Znow zapalił papierosa i rzucił zapalniczkę na dywan.

— Mam jeszcze trochę czasu — powiedział; — Więc proszę, opowiedz mi to, co chcesz, bym od ciebie usłyszał.

Ktoś nieśmiało zapukał do drzwi. Grady ze złością zerwał się z krzesła i gwałtownie otworzył drzwi. Za progiem stał Beckum, skulony, ze spuszczoną głową, starając się jak najbardziej pomniejszyć własną osobę. Kiedy podniósł głowę i spojrzął na stojącego nad nim Grady'ego, wolno potoczył wielkimi lśniąco-białymi oczu. Zobaczył srogą minę swego pana i natychmiast cofnął się na korytarz. Wargi chłopca się poruszały, ale nie mógł dobyć głosu z gardła.

— Idź do cholery, Beckum! — ze złością krzyknął Grady. — Bez przerwy włączysz mi pod nogi!

Beckum drżąc ze strachu cofnął się parę kroków i szybko uchylił głowę, gdy Grady podniósł na niego rękę.

— Tak jest, proszę pana — wymamrotał. — Tak jest. Słyszałem, co pan powiedział. Ale nie odszedł.

— Cóż ty sobie myślisz? Czemu zawracasz mi głowę? Nie wołałem cię.

— Nie chciałbym zawracać panu głowy — nieśmiało powiedział Beckum. — Nigdy bym nie odważył się pana niepokoić, gdyby nie było to konieczne.

— No to po co walisz do drzwi? Nie widzisz, że wylecą z zawiasów, jak nie przestaniesz łomotać?

— Tak jest, proszę pana. Wiem o tym, ale nie stukałem, żeby pana niepokoić. Tylko dlatego, że wraz z Briscoe zamiataliśmy pięknie podwórze, jak zwykle, kiedy nie jesteśmy zajęci inną pracą, bo pan kazał nam brać się do innej roboty, jak nie zamiatamy podwórza...

— I właśnie po toś przyszedł, by mnie zanudzić tym gadaniem?

Zrobił krok naprzód, zamierzył się, by uderzyć go w ucho. Beckum, nawykły do uników, wciągnął podbródek i zręcznie odchylił głowę na bok.

— Gdybym nie był teraz zajęty, oczy bym ci wyłupał!

— Tak jest, proszę pana... ale gdyby pan pozwolił sobie powiedzieć...

— Zamknij gębę, wróć na podwórze i dalej zamiataj! — rozkazał zniecierpliwiony Grady.

Zatrzęsnał drzwi, podszedł do krzesła.

— Słucham — z irytacją powiedział do Lucjany.

Rozdział trzynasty

Po raz pierwszy w życiu Lucjana patrzyła na męża wyzbyta miłości i dziwiła się, jak mogła zostać jego żoną. Nietrudno było jej teraz spojrzeć wstecz na ich pożycie małżeńskie i jasno sobie uprzytomnić, że dobroć i delikatność były czymś zupełnie obcym Grady'emu. Całe życie pozostanie aroganckim, okrutnym egoistą. I nie znajdzie dla niej miejsca w swym sercu.

Kochała go kiedyś, i to z całego serca, ale nie wierzyła już, by mogła, odżyć jej miłość. Nastąpiła długa, bolesna chwila, w czasie której ciarki ją przeszywały, gdy rozpamiętywała, jak przez tyle miesięcy żywiła złudną nadzieję, że Grady okaże jej serce. Teraz już na pewno wiedziała, że Grady nie mógł okazać jej tego, do czego w ogóle nie był zdolny. Gdyby ją kochał, nie potrafiłby ukryć przed nią swego uczucia. Siedząc przed nim, sztywna z odrazy, doszła do wniosku, że poprosił ją o rękę tylko dlatego, że chciał mieć w domu kogoś, kto by zajął miejsce mamy Elsie, kiedy matka nie będzie już mogła pobłażać jego egoizmowi. Grady był zdolny kochać tylko siebie samego. Lucjana zdała sobie sprawę, że mogła mieć pretensje tylko do siebie, skoro tak późno przejrzała Grady'ego.

Grady obserwował ją niecierpliwie. Jego małe, okrutne oczka patrzyły na nią spod spuszczonej powiek. Była ciekawa, co by powiedział, gdyby znał myśli, jakie gorączkowo roily się jej w głowie. Mogła wszystko mu powiedzieć, ale nie chciała bez potrzeby go urazić. Byli wciąż małżeństwem. Nigdy by nie zdobyła się na akt perfidnego okrucieństwa wobec niego. Gorąco pragnęła tylko jednego — uciec z tego domu.

W tej chwili Lucjana też była niecierpliwa i chciała jak najprędzej skończyć z tym wszystkim. Grady znów nerwowo zapalił papierosa. Lucjana gwałtownym ruchem głowy odrzuciła w tył włosy zasłaniające jej twarz.

— Po coś to zrobiła? — spytał ponurym i ordynarnym tonem.

— Po prostu nie mogłam tego znieść, Grady — nagle się odezwała. — Po prostu nie mogłam. Kiedy zobaczyłam cię...

Była zdecydowana powiedzieć wszystko szczerze i bez ogródek, ale kiedy przypomniała sobie, co widziała w murzyńskim domku, nagle poczuła się słaba i bezradna. Postanowiła go rzucić, a jednak wspomnienie Sallie John z Gradym podjudziło ją do walki o niego. Nie chciała go, ale nie chciała też ustąpić miejsca Sallie John. Grady przyglądał się jej z zainteresowaniem, ciekawy, co powie.

— Po co mam ci mówić, Grady? Wiesz sam, o co mi chodzi.

— A skąd, do cholery, miałbym wiedzieć? Mów. Teraz kolej na ciebie.

Swego czasu została ostrzeżona. Gdyby usłuchała rodziców, nie siedziałaby teraz tutaj, jej cały świat nie rozleciałby się w kawałki i głowa by nie pękała jej z bólu. Rodzice przecież starali się odwieść ją od tego małżeństwa. Dobrze znali Dunbarów i podzielali powszechną o nich, najgorszą, opinię. Próbowali przekonać ją, że nigdy z Gradym nie będzie szczęśliwa. Tłumaczyli, że rodzina Dunbarów jest reliktem sprzed kilkudziesięciu lat i że Grady skupia w swej osobie wszystkie cechy upadku tej rodziny. Zresztą Dunbarowie nie byli odosobnieni. W okolicy było wiele podobnych rodzin. Żyły one w mniejszej lub większej biedzie, fizycznie zniszczone i, na całe szczęście, niezdolne do dalszego się rozmnażania. Niektórzy mężczyźni jednak często doznawali perwersyjnego podniecenia w stosunkach płciowych z Murzynkami, czego rezultatem były stale zwiększające się zastępy Mulatów i pół-Mulatów w całej okolicy.

Większość starych rodów wciąż uporczywie trzymała się butwiejących i sypiących się w gruzy okazałych kiedyś rezydencji i z nie mniejszym uporem wiodła życie na przestarzałą modłę, co się odbywało kosztem Murzynów i niewykształconych białych robotników, utrzymywanych w swego rodzaju niewolnictwie, opartym na zastraszeniu tych biedaków.

Z upływem czasu rodziny te wymierały niczym próchniejące drzewa, ale zanim to się stało, jakby natura zniecierpliwiła się zwłoką, nierzadko dochodziło do burzliwych awantur i pozostali członkowie rodziny w ciągu jednej nocy schodzili z tego świata. Właśnie dlatego Grady nie rozstawał się z pistoletem. Jego ojca zastrzeliła dziewiętnastoletnia prostytutka, którą przywiózł do domu z Savannah, a dziadka zastrzelił kapitan rzecznej barki w czasie kłótni o beczkę amerykańskiej whisky, do której obaj rościli pretensje. Jedyne go stryja Grady'ego, Duncana Dunbara, zabił konduktor tramwajowy, którego Dunbar przydybał w pokoju swej żony w wytwornym hotelu w

Atlancie podczas operowego sezonu. Grady od dawna żył w ustawicznym strachu, ale miał nadzieję, że pistolet, który stale nosi przy sobie, przedłuży mu życie.

Lucjana przymknęła oczy i czekała przez chwilę, by zelżał ból, od którego pękała jej głowa. Gdy otworzyła oczy, cały pokój tańczył wokół niej.

— Wiesz, wczoraj wieczór poszłam do murzyńskich domków i zobaczyłam cię z... tą dziewczyną. To było nie do zniesienia. Wierzyć mi się nie chciało, że jesteś zdolny do czegoś podobnego. Do tej chwili nie mogę tego zrozumieć. — Przerwała, odetchnęła, by nabrać sił. Pokój przestał się kręcić, ale wszystkie przedmioty stały krzywo. — Musiałam uciec, wszystko jedno gdzie. Nie wiedziałam, dokąd biegnę — chciałam uciec jak najdalej. I biegłam przed siebie. — Znów zamilkła. Oparty o krzesło Grady patrzył na nią z ponurą miną. Mogła teraz spojrzeć mu w oczy bez strachu. — Dlatego wczoraj wieczór uciekłam, Grady. Musiałam. Harrisonowie znaleźli mnie na polu niedaleko ich domu. I to wszystko.

Grady wolno wyprostował się w krześle, po czym pochylił się i oparł łokcie na kolanach. Twarz mu poczerwieniała.

— Co to ma znaczyć, że widziałaś mnie w murzyńskim domku? — spytał spokojnie. Szparki oczu mu się zwięzły.

Wolno skinęła głową i śmiało spojrzała mu w oczy. Rozchyliła wargi. Gwałtownie dyszała. Ból głowy niemal zupełnie ustał.

— Widziałam cię z Sallie John.

Zmarszczył brwi, widać było, że jakieś słowo ciśnie mu się na usta.

— Gdzie?

— W jej domku.

— Szpiegujesz mnie, co?

Zaśmiał się krótko, ale wyraz twarzy mu się zmienił.

— Nie, Grady, nie szpiegowałam.

— A jak byś to nazwała?

— Szukałam cię, Grady.

— Dlaczego?

Nie mogła już patrzeć mu w oczy. Spuściła wzrok, wpatrywała się we własne ręce.

— Byłam sama, tęskniłam za tobą.

Łzy napłynęły jej do oczu, choć postanowiła, że nie będzie płakać w takiej chwili. Szloch chwycił ją za gardło, nie mogła go stłumić.

— Jesteś idealną wprost żoną — oświadczył, nieporuszony. — Od jak dawna mnie szpiegujesz?

— Byłam tam pierwszy raz, Grady, jeśli o to ci chodzi.

— Co cię do tego skłoniło?

— Wiesz, dlaczego to zrobiłam. Wiesz równie dobrze jak ja, dlaczego tam poszłam.

— Przerwała, nie mogła mówić.

Grady patrzył na nią zimnymi oczami.

— Nie wiedziałam — podjęła po chwili — że cię znajdę... w takiej sytuacji. A kiedy już zobaczyłam cię z... tą dziewczyną, było to po prostu nie do zniesienia. Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że zobaczę cię w objęciach młodej Murzynki. Było to jak koszmarny sen — zaczęła łkać. — To było potworne.

Grady długo milczał. Z niewzruszoną obojętnością patrzył, jak Lucjana płacze, na jego nieruchomej twarzy malował się tylko upór. Czekala, by powiedział coś, co by rozładowało napięcie, ale rozmyślnie milczał, jakby jej cierpienie było wymierzoną przez niego karą. Mijała minuta za minutą. Lucjana czekała z napiętymi nerwami.

— Psiakrew — powiedział wreszcie śmiejąc się lekceważąco. — I stąd się wzięła cała ta historia? Czym się tu przejmować?

— Grady, jak możesz tak mówić! — zawołała kiwając głową z niedowierzaniem. — Czy zdajesz sobie sprawę z własnych słów? Nie możesz naprawdę tak myśleć!

Znów się roześmiał.

— O czym tu, u licha, w ogóle mówić? Cała bieda polega na tym, że za dużo bierzesz sobie do serca te rzeczy, Lucjanko. Nie jesteś aniołkiem, który zleciał z nieba. Znasz życie. Wielu białych tutaj miewa czarne dziewczyny i zawsze tak było. Wszyscy o tym wiedzą. Ty też. I nic złego w tym nie ma. Po prostu taki zwyczaj, jak wiele innych zwyczajów przyjętych w naszych stronach. Jak na przykład trzymanie psów do polowania na ptactwo. I nikt nie stroił fochów z tego powodu, póki tyś się tu nie zjawiała. Jeszcze wielu rzeczy musisz się nauczyć, Lucjanko.

— Nie, Grady — odparła stanowczym tonem. — Mylisz się. Nigdy się z tym nie pogodzę. I tego właśnie tyś powinien się nauczyć.

Zachichotał i znów oparł się o krzesło. Miał minę tak chłopięcą, tak rozbijającą się uśmiechał, że Lucjana wołała odwrócić od niego wzrok.

— Myślałem, że jesteś za mądra dziewczynka na to, by robić awantury o takie głupstwo, Lucjanko. Popatrz, coś narobiła! Bez żadnego powodu wpędziłaś się w histerię. Nadejdzie pora, że sama wstydzić się będziesz swojego zachowania. Jeżeli nie przestaniesz gadać głupstw i tak na mnie patrzeć...

— Nie, Grady — potrząsnęła głową.

— Przypuśćmy, że tam byłem — powiedział rozdrażniony. — I co z tego?

— Dlaczego to zrobiłaś, Grady? — spytała zgnębiona. — Jak mogłeś?

— Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Nigdy byś o tym nie wiedziała, gdybyś nie wtykała nosa w nie swoje sprawy. Powinnaś mieć o to pretensje do samej siebie, Lucjanko.

— To wcale cię nie usprawiedliwia, Grady. Nigdy bym się nie zgodziła dzielić się tobą z Murzynką...

— Ja, do cholery, nie potrzebuję się z niczego usprawiedliwiać — podniósł głos. — Nikt mi nie będzie dyktował, co mi wolno, a czego nie. Zapamiętaj to sobie. Robię, co mi się podoba, a ty się z tym oswoisz!

Lucjana łkając spuściła głowę. Arogancja Granego zupełnie ją zmiażdżyła.

— No cóż, uważam, że musisz się do tego przyzwycząić, Lucjanko.

Podniosła wzrok, zobaczyła, że Grady uśmiecha się do niej. Walczyła z sobą, by nie ulec uczuciu, jakie ją ogarnęło, i nie paść mu w ramiona. Bardzo tego chciała. W tej chwili nic innego się nie liczyło. Gdyby wziął ją w objęcia, całował i głaskał, przestałby ją lżyć. Przesunęła się w jego stronę, ulegając nieodpartemu pragnieniu, by pieścił jej nagie ciało tak samo, jak pieścił Sallie John. Już by się nie liczyło wszystko, co zrobił, byle ją wziął teraz. Pochyliła się naprzód. Położyła mu rękę na kolanie.

— Mogłabyś to zrobić, Lucjanko? — spytał swobodnym tonem.

— Co zrobić? — wstrzymała oddech.

— To, o czym mówiliśmy. Pogodzić się z panującymi u nas zwyczajami.

Popatrzyła w jego stronę, ale już go nie zobaczyła. Ujrzała Sallie John, nagą i roześmianą — Sallie stała przed nią w szyderczej pozie. Nakryła twarz dłońmi, naciskała palcami oczy zawzięcie próbując wymazać z pamięci obraz Sallie, ale na nic się to nie zdało.

— Nie — odparła zgnębiona.

— Na pewno możesz, moja mała — powiedział Grady uśmiechając się do niej przymilnie. — Na dłuższą metę to się w ogóle nie liczy. Mój tatuś sam mnie zaprowadził pierwszy raz do murzyńskich domków. Uważał, że nie ma w tym nic złego, i stale trzymał tam dwie albo trzy Murzyneczki. Tak mnie wychował, a tego rodzaju przyzwyczajenia nie można się wyzbyć z dnia na dzień. Z czasem mi przejdzie. Każdy powie ci, że jest coś w ładnej jasnoskórej Mulatce, czemu żaden biały mężczyzna się nie oprze, a jak się raz przyzwyczaisz, to trudno odwyknąć. Właśnie dlatego nigdy z tobą nie spałem. Jeśli ktoś przez dziesięć lat przesypiał się z czarnuszkami, po prostu nie może się przestawić na białą dziewczynę. Najpierw trzeba odwyknąć. Musisz cierpliwie czekać, a zobaczysz, że to się ułoży. Teraz, kiedy już się wszystkiego dowiedziałaś, wcale to tak strasznie nie wygląda, prawda?

Potrząsnęła głową z powagą.

— Nigdy tego nie zniosę, Grady. Możesz mówić od rana do nocy, ale mnie nie przekonasz.

— Pomyśl o tym, mała Lucjanko. Po paru dniach będziesz na tę historię patrzyła moimi oczami.

— Nic już się zmienić nie może. Cokolwiek byś jeszcze powiedział, Grady.

— Ano zobaczymy — odparł pewny swego. Skinął głową. — Jesteś jeszcze bardzo młoda. Masz czas na naukę.

Wstał i wolno podszedł do kanapy. Bała się, że ją dotknie, przechyliła się w tył, by nie mógł jej dosięgnąć ręką. Poczula, że kolanami przyciska jej nogi. Ukląkł przy niej na kanapie, chciał ją złapać za ręce. Gwałtownym ruchem przesunęła się pod ścianę i nie zdążył jej objąć. Wiedziała, że gdyby wziął ją w ramiona, uległaby mu bez chwili wahania.

— Co ci jest? — spytał zdziwiony.

— Nie tykaj mnie, Grady.

— Dlaczego?

— Bo nie możesz przychodzić do mnie od tej Murzynki.

— Mówisz, jakbyś sama była zarozumiałą białą, Murzynką.

— Kolor jej skóry nic nie ma do rzeczy. Gdyby to była biała dziewczyna, też bym cię po niej nie chciała.

— Próbujesz udawać niedostępną kobietę. Mam dość twoich sztuczek.

Potrząsając głową odsunęła się od niego.

— Nie ma sensu nad tym się rozwodzić — odparła stanowczo. — Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym teraz zmieniła zdanie.

— Poważnie?

— Tak jest.

— Jesteś moją żoną — szybko odpowiedział — i będziesz robiła, co ci każę. Więc wbij sobie to w głowę, czy ci się podoba czy nie, bo tak ma być. Mam dosyć twojej bezczelnej gadaniny.

Potrząsnęła głową i nie odezwała się.

— A teraz może byś posłuchała, co ci powiem — zaczął krzyżeć. — Masz się trzymać z daleka od tych białych Murzynów, Harrisonów. Jeżeli nie wiesz, co będzie, jak jeszcze raz cię złapię z tym Bradem Harrisonem, to zobaczysz. Siedź w domu. Nie chcę słyszeć, żeś znów opuściła dom bez mojego zezwolenia. Gdybyś spróbowała to zrobić, już moja w tym głowa, byś się więcej nie zapomniała. Zrozumiałaś?

— Nie chcę tu zostać, Grady — odparła stanowczo. — Chcę odejść.

— O czym ty mówisz, do licha?

Podszedł do niej, brutalnie chwycił za ramiona i gwałtownie potrząsnął.

— Co to ma znaczyć?

— Muszę wyjechać. Nie mogę tu zostać.

— Czyżby? — odstąpił w tył i spojrzał na nią z dystansu.

— Tak, Grady.

— To by znaczyło, że chcesz mnie puścić w trąbę? O to chodzi?

— Tak jest, Grady, jeśli inaczej tego nie umiesz nazwać.

— Ty cholero...

Uderzył ją w twarz tak mocno, że upadła na plecy. Pochylił się i jeszcze raz ją uderzył. Lucjanę piekły policzki, w głowie jej się kręciło.

— Cały kłopot z tobą polega na tym, żeś jeszcze dobrze ode mnie nie dostała! — krzyczał Grady. — Trzeba było wbić ci trochę rozumu do głowy, jak tylko tu przyjechałaś! Nikt nie śmie bezkarnie tak się do mnie odzywać!

Złapał ją za kołnierz koszuli i gwałtownie posadził na kanapie. Koszula się rozdarła, obnażając jej ramiona. Chciała się zakryć, ale trzepnął ją w rękę.

— A teraz masz ochotę powtórzyć, coś powiedziała? — spytał pogardliwie krzywiąc usta.

Popatrzyła na niego i skinęła głową. Natychmiast strzelił ją w twarz. Przewróciła się na plecy. Oczy zaszczyły jej łzami.

— Nigdzie nie pojedziesz. Zostaniesz tutaj. Już ja tego dopilnuję. Gdybyś próbowała się wymknąć i zwać, odnajdę cię i ściągnę do domu. Jeśli uważasz, żeś za mocno dostała po buzi, spróbuj uciec, zobaczysz, jak ci się dostanie, gdy cię dopadnę. Mówisz, jakbyś nigdy nie była moją żoną. A teraz zamknij twarz, bo mogę się wściec.

— Twoje pogrożki mnie nie powstrzymają, Grady. Decyzji nie zmienię. Nie masz prawa zmusić mnie do pozostania tutaj. Możesz mnie bić od rana do nocy, decyzji nie zmienię.

Znów dało się słyszeć ciche pukanie do drzwi. Grady je zignorował, ale gdy się kilka razy powtórzyło, odwrócił się w stronę drzwi.

— Kto tam? — ryknął.

Nikt się nie odezwał, lecz po krótkiej chwili znów dało się słyszeć pukanie. Grady wielkimi krokami podszedł do drzwi i gwałtownie je otworzył.

Okazało się, że był to jeszcze raz Beckum, bardzo wystraszony. Gdy ujrzał wściekłą twarz Grady'ego, niezgrabnie cofnął się w głąb korytarza.

— Nie mówiłem, żebyś się odczepił? Czyś nie słyszał, co ci powiedziałem?

Beckum dzwonił zębami ze strachu. Gwałtownie skinął głową.

— Tak, proszę pana, ale...

— Zawracasz mi głowę, bo wiesz, że jestem zajęty? Diabeł cię kusi?

— Nie, proszę pana, ale...

— To po co tu przyłazisz i nie zostawiasz mnie w spokoju?

— Na pewno właśnie tak bym zrobił, proszę pana, ale najpierw może by pan pozwolił mi powiedzieć, z czym tutaj przyszedłem.

— Powiedz i idź do cholery!

Beckum przełknął ślinę. Przestał dzwonić zębami, ale z kolei kolana zaczęły mu się trząść.

— Ja i Briscoe zamiataliśmy podwórze od frontu, żeby było czyściutkie, zawsze się bierzemy do podwórza, gdy nie mamy nic pilniejszego do roboty, bo cały dzień się uwijamy, jak nam pan przykazał...

— Już mi to mówiłeś — krzyknął zniecierpliwiony Grady. — Cóż ty sobie myślisz? Przyłazisz tutaj i w kółko powtarzasz byle co!

— Mam tylko jedną rzecz do powiedzenia, proszę pana, i nic poza tym. Ja i Briscoe...

— I co dalej?

— Ja i Briscoe zamiataliśmy podwórze od frontu, żeby było czyściutkie, zawsze się bierzemy do podwórza... — przerwał i zerknął na Grady'ego. — No i kiedyśmy się tak uwijali; jeden biały pan zajechał wielkim autem i zatrzymał się na podjeździe. Zawołał mnie i Briscoe'a i powiedział nam, że chce się z panem zobaczyć. Dlatego przyszedłem tutaj i przeszkadzam panu, co już raz zrobiłem, bo ten biały pan na dole w swoim aucie bez przerwy się domaga, żebym tu przyszedł i powiedział, że się chce z panem zobaczyć. Nie jest to wcale moja wina, że musiałem przyjść i zawracać panu głowę, bo ten biały pan powiada...

— Czego on chce?

— Nic z niego nie można wydobyć, tylko tyle, że chce się z panem zobaczyć.

— Kto to jest?

— Nazywa się Skeeter Wilhite.

Grady był zdziwiony i zły.

— Ten drań... — urwał i spojrział w stronę schodów, jakby Skeeter czekał tam na niego. Znow popatrzył na Beckuma.

— Dawno czeka? — spytał rzeczowym tonem.

— Od chwili, jak przyszedłem tu po raz pierwszy i próbowałem panu o nim powiedzieć. To nie moja wina. Nie chciałem tu przyjść, ale on mnie zmusił.

— No dobra — odparł Grady niecierpliwym gestem odprawiając Beckuma. — Uciekaj stąd.

Beckum co sił w nogach pobiegł korytarzem w stronę schodów. Grady wolno zamknął drzwi i przez chwilę stał oparty o nie. Bez słowa przeszedł koło Lucjany, otworzył szerokie drzwi na werandę i spojrzał na podjazd, gdzie stał okazały czarny samochód Skeetera Wilhite'a.

— Co się stało, Grady? — spytała Lucjana.

Nie odpowiedział, tylko potrząsnął głową. Nie chciał zobaczyć się ze Skeeterem Wilhite'em i był zły, że widzi jego wóz przed domem. Wiedział, czego Skeeter chce. Pieniądzy. Dotąd zawsze spokojnie czekał, aż Grady poszedł do banku w Maguffin i wziął pożyczkę pod zastaw hipoteczny, ale tym razem Skeeter wygrał dwa tysiące pięćset dolarów i publicznie oświadczył, że jest to za duża suma, by mógł ją skredytować. Grady więc przyrzekł, że postara się o gotówkę i spłaci dług nie później niż dzisiaj w południe. Ale zapomniał o tym w czasie burzliwych wydarzeń porannych, południe minęło i było już po drugiej.

Przez dwa lata Grady stale przegrywał w lokalu Skeetera. Teraz nadeszła chwila, kiedy nie stać go było ani na przegranie pieniędzy, ani na zaciągnięcie pożyczki. Skeeter był wytrwałym i sprytnym graczem. Wiedział, że zbliża się chwila, kiedy Grady nie zdoła zdobyć nawet jednego dolara, postanowił więc jak najprędzej wydusić z niego, ile tylko się da. W ciągu dwóch lat zrobił ciężkie pieniądze, prowadząc dom gry i bar tuż na granicy miasta Maguffin. Jeden Grady w tym czasie przepuścił u Skeetera prawie pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a sporo innych mieszkańców hrabstwa straciło tam tyle samo. Ilekroć dawały się słyszeć skargi, że Skeeter oszukuje w grze, natychmiast podwyższał sumę łapówek, jakie płacił co miesiąc. Na wszelki wypadek nosił automatyczny pistolet w kaburze pod pachą marynarki każdego ze swych kosztownych garniturów, za które płacił po dwieście dolarów.

Grady odszedł od drzwi na werandę i zaczął nerwowo spacerować po pokoju.

Po chwili stanął przed Lucjaną i spojrzał na nią bezradnie.

— Nie wiem, co zrobić, Lucjano — powiedział.

— Znalazłem się w paskudnej sytuacji. Muszę natychmiast wydostać skądś pieniądze — skinął głową w stronę drzwi na werandę. — Skeeter Wilhite czeka na podwórzu, a ja nie mam ani centa, by spłacić mu dług. Próbowałem nakłonić go, żeby zgodził się na parę dni zwłoki, ale on tam czeka na żywą gotówkę. Muszę coś zrobić, Lucjano. Skeeter nie da się spławić. Nie ustąpi.

Cieężko osunął się na krzesło, ręce mu opadły.

— Czy masz jakieś pieniądze, które mogłabyś mi dać, Lucjanko? Potrzebuję dwa tysiące pięćset dolarów. Bank mi już nic nie da.

— Wiesz, Grady, że nie mam pieniędzy — odparła szybko. Nagle zrobiło jej się żal Grady'ego.

— W życiu nie miałam tyle pieniędzy.

— A gdybyś zatelegrafowała do rodziny w Savannah? — spytał z nutą nadziei.

— Nie przyślą, Grady. Nawet gdyby mieli. Sam wiesz. Od razu domyślą się, dlaczego o to proszę.

Siedział milcząc i pustymi oczami wpatrywał się w podłogę. Gdy wreszcie wstał, zobaczyła, jak bardzo jest zgnębiony. Chciała podbiec i powiedzieć, że zrobi, co tylko będzie mogła, ale bała się zbliżyć do niego. Już więcej na nią nie spojrzał. Bez słowa wyszedł z pokoju i wolno poszedł korytarzem w stronę schodów. Lucjana zamknęła drzwi i łkając padła na kanapę.

Rozdział czternasty

Bez innego ostrzeżenia poza nagłym, gwałtownym podmuchem wiatru, który wygiął ciężkie konary czerwonych dębów i potrząsnął nimi, burza grzmiąc piorunami i tnąc czarne niebo ognistymi językami błyskawic przeszła z niziny w górę rzeki. Pod naporem nawałnicy wielki dom kołysał się i chwiało aż po fundamenty, stare drzewo budynku żałośnie trzeszczało, wiatr odrywał kawałki zbutwiałych gontów i unosił je niczym strzępy papieru. Przez kwadrans lał deszcz zwartą strugą wody i tak przemoczył cały dom, że prawie we wszystkich pokojach zaczęło ciec z sufitów. W czasie każdej ulewy murzyńska służba biegła po domu i rozstawiała cały arsenał misek, miednic i kubłów, by woda nie zalała podłóg.

Burza przeszła równie szybko, jak nadleciała, ale długo jeszcze pioruny grzmiały daleko, a rozwidlone błyskawice przesywały horyzont. Rozpalona ziemia namokła i parowała. Odurzający zapach stratowanych przez ulewę kwiatów brzoskwiń nasycił wilgotne powietrze. Czarnodzioba kukulka pohukiwała w hebanowcu w polu.

Słońce zaszło w czasie burzy i było już ciemno, gdy Lucjana wreszcie wstała z kanapy i poszła do łazienki. Położyła się w wannie i zakręciła kurek dopiero, jak woda sięgnęła jej podbródka. Starła się nie myśleć o tym, co zrobi i co się z nią stanie. Bała się Grady'ego i nienawidziła ponurego domu, ale wstyd jej było wrócić do rodziców i przyznać, że jej małżeństwo skończyło się klęską. Rodzice byliby dobrzy dla niej, delikatni i słowem by nie wspomnieli o przeszłości, ale sama jej obecność bez przerwy przypominałaby im o tym, co się stało. Wiedziała, że jeśli starannie przygotuje ucieczkę, może raz na zawsze rozstać się z Gradyem i zniknąć w szerokim świecie, ale wcale jej się nie uśmiechała myśl, że zostanie jedną z tysięcy bezdomnych kobiet wegetujących samotnie za dnia i w nocy. Miała do wyboru tylko jeszcze jedną możliwość — pozostać tutaj do końca życia. Wtedy musiałaby całkowicie ulec Grady'emu, jak wszystkie żony Dunbarów musiały w końcu ugiąć się przed nimi.

Z głębi domu doszły ją jakieś odgłosy. Zapaliła światło i szybko wytarła się ręcznikiem. Otworzyła drzwi, wybiegła z łazienki. Przestraszyła się, gdy zobaczyła, że już ktoś zapalił światło w jej sypialni. Wcale się jednak nie zdziwiła na widok mamy Elsie,

która siedziała w fotelu i patrzyła na nią z niemym wyrzutem. Od początku wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała znieść pogardę matki Grady'ego, ale do tej chwili udało jej się uniknąć myśli o ciężkiej próbie, jaka ją czekała.

Mama Elsie miała na sobie jedną ze swych spłowiałych marszczonych jedwabnych sukni koloru lawendy. Nic nie mówiąc, pogardliwym spojrzeniem mierzyła od stóp do głów Lucjanę, która tymczasem znalazła szlafrok i okryła się nim. Mama Elsie niecierpliwie stuknęła palcami w oparcie fotela. Lucjana z doświadczenia wiedziała, że jest to niezawodny znak nadciągającej lawiny obelg. Jak długo mogła, unikała wzroku teściowej.

— No!— odezwała się wreszcie mama Elsie. — Cóż ty wyprawiasz? Co miałabyś na usprawiedliwienie twojego postępku? Ki diabeł cię opętał? Wstydu nie masz?

Lucjana owinęła się szczelnie szlafrokiem i siadła na kanapie. Mama Elsie zacisnęła wąskie usta i mierzyła ją pogardliwym spojrzeniem.

— Jestem do głębi zgorazona, najdelikatniej mówiąc, ale ani trochę mnie to nie zdziwiło — podjęła mama Elsie. — Powinam była wiedzieć, czego można oczekiwać od kogoś, kto się wywodzi, po prostu mówiąc, z rynsztoka. Nie miałaś prawa wykorzystać męskiej słabości Grady'ego i posłużyć się własnym ciałem, by skusić go do małżeństwa. Nie potrząsaj mi tu głową, bo to się na nic nie zda, sama wiesz, że mówię prawdę. Potrafię się poznać na kurewskich sztuczkach wyprawianych na moich oczach. Podobnego upokorzenia nasza rodzina nigdy dotąd nie zaznała i nigdy już nie zdołamy zmyć tej hańby. Od pierwszego wejrzenia wiedziałam, coś ty za jedna. Nabrałaś mojego niewinnego chłopca na ślub, bo był za wielkim dżentelmenem na to, by cię przepędzić z powrotem na ulicę, gdzie czekały na ciebie twoje koleżanki. Gdybyś miała choć odrobinę poczucia przyzwoitości, nigdy byś nie wykorzystwała jego dżentelmeńskich względów. Ale nie! Takie jak ty są zdolne tylko do oszukaństwa! Zły los zaprowadził mojego biednego synka do Savannah i sprawił, że natknął się na ciebie. Podobna historia zdarzyła się w Savannah jego ojcu. Na tym ohydny gnojowisku nie ma porządných kobiet — wszystkie są bezwstydnymi kurwami. Boże litościwy!

— To nieprawda, mamó! Nie zrobiłam nic takiego, czego musiałabym się wstydzić!

— Nic takiego! Boże litościwy! Z pewnością sama nie wierzysz, że uda ci się mnie zwieść udając niewiniątko!

— Na to, co mama myśli o mnie, nic nie poradzę, ale musisz mi uwierzyć, jak mówię, że nie zrobiłam nic złego.

— Nic złego! Grady wszystko mi powiedział!

Lucjana była przygotowana, że nie uniknie gniewu mamy Elsie. Trzeba było przetrzymać jej atak.

— Jeśli nawet odzęgnąłeś się od życia, jakieś wiodła, w co ani na chwilę nie uwierzę, bo to tylko udawanie, nie okazałeś odrobiny szacunku dla wszystkich innych, a zwłaszcza dla mojego syna. Grady zawsze był dzielny, porządnym i zacnym chłopcem i absolutnie nie zasłużył sobie na taki wstyd i hańbę. Jak żyję, nigdy jeszcze nie było mi tak żal tego biedaka. Wymykasz się z domu, szwendasz po nocy Bóg raczy wiedzieć gdzie, spotykasz tego podleca białego Murzyna, Harrisona, i wyprawiasz z nim obrzydliwe, bezwstydne orgie! No cóż, zachowałeś się, jakbyś wróciła do tamtego siedliska grzechu i znów bezczelnie polowała na mężczyzn! Jakże dzierzawcy mogą zachować szacunek do Grady'ego, kiedy własna żona za jego plecami hańbi go po nocy! Żadna żona Dunbara nie zachowała się tak skandalicznie w ciągu długich i pięknych dziejów naszej rodziny. Cóż teraz ludzie pomyślą sobie o nas? Co będą o mnie mówić za moimi plecami? Wstyd i hańba! Już nigdy nie będę mogła z podniesionym czołem spojrzeć w oczy przyzwoitym ludziom. Już dosyć los mnie dotknął, że moja synowa jest zwyczajną kurwą z Savannah, nie pozwolę, byś na moich oczach dopuszczała się bezeceństwa. O Boże litościwy!

Lucjanie chciało się płakać, ale wiedziała, że musi zrobić wszystko, by przekonać mamę Elsie o swej niewinności. Zdawała sobie sprawę, że w takiej sytuacji lzy oznaczałyby przyznanie się do winy.

— Nie wiem, mamo, co mówił ci Grady — zaczęła z trudem panując nad nerwami — ale tej nocy nic więcej nie zrobiłam, tylko wyszłam z domu na pole. I to wszystko. Proszę, uwierz mi. Mówię prawdę. Harrisonowie znaleźli mnie w polu i zabrali do domu. Po prostu nie mogłam tu wytrzymać ani chwili dłużej. Musiałam opuścić dom. Grady...

— Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym ty mówisz, moja droga, ale jestem matką Grady'ego i nie pozwolę, byś ty lub ktokolwiek inny liczył na to, że mnie podburzy przeciw mojemu dziecku. Grady to dobry chłopak i nie ścierpię, by go oskarżano o grzechy, które ty masz na sumieniu. Nigdy nie chciałam, by się w ogóle żenił, a już na pewno nie z taką jak ty. Sama najlepiej mogę się nim opiekować i żebyś żyła tu sto lat,

nigdy nie zdołasz zająć mego miejsca w jego sercu. A osoba, która zrobiłaby to, co tyś zrobiła tej nocy...

— Ale to była wina Grady'ego, mamó! — stanowczo zaprotestowała Lucjana. — Gdyby Grady nie...

— Nie! Nie chcę słyszeć ani słowa na ten temat! Nie dosyć, żeś uciekła z domu i mój syn znalazł cię półnagą z tym młodym białym Murzynem, Harrisonem, to jeszcze na domiar złego siedzisz tu i chcesz zwalić winę na Grady'ego. Nie! Nie uwierzę ani w jedno słowo! Możesz w ogóle się nie odzywać, jeśli tylko tyle zdecydowałaś się powiedzieć. Gdyby Grady mnie usłuchał, nie groziłoby mi teraz piętno hańby, bo błagałam go, żeby się w ogóle nie żenił. Wiedziałam, że coś takiego się zdarzy. Żadna kobieta na świecie nie potrafi kochać go tak jak ja. Biedny chłopiec, odkąd się tu zjawiłaś, nie zaznał nic prócz cierpienia i niedoli.

— Czy Grady mówił mamie, dlaczego odeszłam?

— Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz, młoda kobieto.

— Ale na pewno coś ci powiedział, bo wiedziałaś, że nie było mnie w domu.

— Jak długo, będziesz uporczywie próbowała zwalić na mojego syna winę za własne bezwstydnne grzechy, nie chcę słyszeć ani słowa. Nie interesuje mnie, co masz do powiedzenia.

Otworły się drzwi i Marta wniosła na tacy kolację. Nieśmiało spojrzała na Lucjanę i zaczęła nakrywać do stołu. Przy Marcie nie padło ani jedno słowo. Dopiero gdy wyszła na palcach i cicho zamknęła za sobą drzwi, Lucjana chciała ją zawołać i poprosić, by powiedziała mamie Elsie, co się wczoraj wydarzyło, ale bała się, że to znów rozsierdzi teściową.

— No, bierz się do kolacji — opryskliwie powiedziała mama Elsie. — Pewnie nie jadłaś cały dzień.

— Nie będę nic jadła, mamó — odparła potrząsając głową. — Nie jestem głodna.

— Nic ci nie pomoże, jak będziesz tu siedziała i robiła z siebie męczennicę, bo mnie jest obojętne, czy będziesz jadła czy nie. Takie komedie nie robią na mnie żadnego wrażenia. Nigdy nie zyskasz mego współczucia, młoda kobieto.

Znów zapadła cisza. Mama Elsie przyglądała się Lucjanie z wyniosłą i wzgardliwą miną, co miało znaczyć, że już orzekła, iż synowa winna jest niewybaczalnego grzechu i

nie może być mowy o darowaniu jej winy. Palce prawej ręki mamy zaczęły monotonicznie bębnić w oparciu fotela.

— Boże litościwy! Nie wiem, co teraz będzie z dobrym imieniem naszej świetnej rodziny, zszarganym przez przybłędę. Po tym, co się stało, już nigdy nie podniosę czoła. Widzę już głupie uśmiešky na twarzach różnych Harrisomów na sam dźwięk naszego nazwiska. Celem całego życia podobnych ludzi jest ściągnąć taką rodzinę jak nasza do ich poziomu. Pojęcia nie mam, co ten Grady sobie myślał, jak się z tobą żenił. Ale jednego jestem pewna — żeś ty go nabrała!

— Mamo Elsie — odparła zrozpaczona Lucjana — musisz mnie wysłuchać i uwierzyć w to, co powiem. Nigdy by do tego nie doszło, gdybym nie złapała Grady'ego...

— W życiu nie widziałam tak przewrotnej osoby. Uparłaś się, by zwalić winę na Bogu ducha winnego biedaka!

— Grady był wczoraj wieczór u Sallie John.

Stara kobieta osłupiała. Otworzyła szeroko usta pustymi, nie widzącymi oczami wpatrzyła się w Lucjanę. Po chwili wolno podniosła rękę i nieprzytomnie przetarła palcami powieki. Wyniosła mina zniknęła bez śladu, nalane policzki zapadły się i zmartwiały.

— Coś powiedziała, moje dziecko? — spytała słabym głosem.

Lucjana powtórzyła.

— Ta nędzna Murzynicha! Ta bezczelna czarna wywłoka! Boże litościwy. Wiedziałam, że ona coś knuje. Takie jak Sallie zawsze lecą na wysoko urodzonych białych mężczyzn, jacy im się nawiną. Nie było dnia, żeby jedna z nich nie chciała skusić ojca Grady'ego. Ale mój biedny chłopiec! Jesteś pewna, że to prawda?

— Tak, mam. Możesz spytać Martę. Ona wie. I to samo ci powie.

— O, Boże litościwy.

Wielkie cielsko mamy Elsie zapadło się w fotelu. Wydała z siebie długie, bolesne westchnienie.

— Mój biedny, biedny chłopiec — powiedziała cicho znużonym i pełnym rozpaczyny głosem. — To się prędzej czy później musiało stać bo ciąży na nim przekleństwo.

Cała jej pycha szeszła. Była teraz starą, zbolaną kobietą. Wąskie wargi jej drżały, bezradnie spoglądała na Lucjanę.

— To przekleństwo Dunbarów, moje dziecko. Mężczyzn w naszej rodzinie zawsze ciągnęło do czarnych dziewczuch, jak muchy do melasy. Ojciec Grady'ego miał słabość do nich i żadne prośby ani perswazje nie były w stanie go powstrzymać. A dziadek Grady'ego był jeszcze gorszy. Sprowadzał czarne dziewczyny tutaj, do domu, i po dwie lub trzy na raz. W nocy zamykał je w swojej sypialni. Kiedy wyszłam za ojca Grady'ego i przyjechałam tutaj, pierwszą noc spędziliśmy razem w pokoju po drugiej stronie korytarza i do rana słyszałam, jak gołe czarne dziewczyny piszczały właśnie tu, w tym pokoju, u dziadka Grady'ego. Nie wiedziałam, co się dzieje, ale szybko się domyśliłam. Trudno liczyć na to, że Grady będzie wyjątkiem. Jednych mężczyzn ciągnie do pijaństwa, innych do czarnych dziewczyn. Dunbarów — do jednego i drugiego. Boże litościwy.

Ciało mamy trzęsło się i falowało, łzy ciekły po jej okrytych zmarszczkami policzkach. Zaczęła spazmatycznie łkać tak głośno, że słycać ją było w całym domu. Lucjanie zrobiło się żal. Wstała, podeszła i położyła rękę na trzęsących się ramionach starej kobiety. Ale mama Elsie natychmiast spojrziała na Lucjanę w twarz i zdjęta nagłą złością strzepnęła jej rękę.

— Wiem, czego byś chciała! — krzyknęła bijąc się pięściami w piersi, jakby w ten sposób chciała wytłuc ból ze swego cielska. — Boże litościwy! Że też od razu na to nie wpadłam! To są znów twoje sztuczki! Wyciągnęłaś ze mnie, co wiem o Gradym, i teraz będziesz miała pretekst, by go rzucić dla białego Murzyna, tego Harrisona. Ano właśnie!

To są twoje machinacje! Wiedziałam! Złamiesz Grady'emu serce — zrobisz to na pewno. Pozbędziesz się go, jak każda kurwa, kiedy już będziesz miała dość. I weźmiesz sobie młodszego. Mój biedny chłopiec nie będzie miał nikogo, kto by o niego dbał, jak odejdę z tego świata. Zostanie sam. Pomyśleć, że zrobisz nam coś takiego, choć traktowałam cię jak własną córkę! Nie zniosę myśli o tym — ja tego nie przeżyję! Zabijesz mnie — wpędzisz do grobu, a długo jeszcze mogłabym żyć! Boże litościwy.

Jeszcze głębiej zapadła się w fotelu, złapała rękami za głowę i zaczęła jęczeć z bólu.

Lucjana uknęła przed mamą Elsie chcąc ją pocieszyć. Ale teściowa odepchnęła ją i wstała. Chwiała się na nogach.

— Serce — powiedziała słabym głosem, przyciskając ręce do piersi. To ponad moje siły. Wybiła moja godzina. Umrę. Coś mi mówi, że umrę. Boże litościwy.

O własnych siłach, ledwie trzymając się na nogach, ruszyła w stronę drzwi. Lucjana szła obok niej aż do korytarza. Mama Elsie dała ręką znak, by zostawiła ją w spokoju.

— Proszę cię tylko o jedno. Zaczekaj, aż Grady wróci — powiedziała błagalnym głosem. — Ostatnim tchnieniem proszę cię o to. Zostań, aż wróci do domu.

— A gdzież on pojechał? — spytała zdziwiona Lucjana.

— Pojechał samochodem do miasta, jak tylko Wilhite się stąd wyniósł. Pewnie ma ważne sprawy do załatwienia w Maguffin. — Znów się rozpłakała. — Możesz już nigdy nic dla mnie nie zrobić, ale proszę cię o jedno — zaczekaj, aż wróci Grady.

Chwiejnym krokiem poszła korytarzem do swego pokoju. Lucjana, gdy mama Elsie zniknęła jej z oczu, zamknęła drzwi i wyczerpana osunęła się na fotel.

Rozdział piętnasty

Ktoś był na werandzie. Lucjana usłyszała miarowe skrzywienie spaczonej podłogi i wyprostowała się w fotelu, zdjęta strachem. Nie były to znane jej kroki. Na pewno poznałaby Beckuma lub Briscoe'a. Zerwała się, podbiegła do drzwi na werandę i gwałtownie je otworzyła.

Zrazu nic nie widziała w ciemności. Wystraszona, stała z zapartym tchem. Z mroku wynurzyła się postać mężczyzny idącego w jej stronę. Prędko cofnęła się w głąb pokoju.

— Lucjano, cudownie wyglądasz — powiedział Brad podchodząc do niej. — Lucjano...

— Brad! Co pan tu robi? — spytała przestraszona. — Proszę nie wchodzić do pokoju!

Szybkim ruchem chwycił Lucjanę za ramię i wyciągnął przez drzwi w półmrok werandy. Objął ją mocno i przycisnął do siebie. Czowała na twarzy gorący oddech, gdy szukał jej ust. Pocałował ją. Była zbyt słaba i bezradna, by mu się oprzeć. Szlafrok osunął się jej z ramion. Szorstkimi rękami Brad głaskał jej ciało. Z podniecenia i strachu zakręciło jej się w głowie, kolana nagle się ugięły. Brad wziął ją na ręce i zaniósł na kanapę pod ścianą. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że Brad ukląkł przy niej i mocno objął ją w pól. Chciała go odepchnąć, ścisnął ją jeszcze mocniej.

— Już pani lepiej? — spytał.

Skinęła głową.

— Tak.

— Nie mogłem tego znieść, Lucjano. Przez cały dzień myślałem tylko o tobie. Musiałem tu przyjść i zobaczyć cię, Lucjano.

— Ale nie powinien pan tu przychodzić. Gdyby Grady lub mama Elsie zobaczyli pana tutaj, nie uwierzyliby ani w jedno słowo z tego, co im mówiłam.

— Powiedziałaś, że nie chcesz tu wrócić. Jaka różnica, co oni sobie pomyślą?

— Nie wiem, ale nie można tego lekceważyć.

Przysunął się do niej, przytulił rozpaloną twarz do jej ciała. Lucjana z trudem łapała powietrze.

— Chcę, byś uciekła ze mną, Lucjano — powiedział nerwowym, ochrypłym głosem.
— Zrobisz to?

Spróbowała odepchnąć go od siebie.

— Nie! Nie mogłabym tego zrobić! Jak może pan mówić takie rzeczy!

— Dlaczego nie? W nocy mówiłaś...

— Nie wiem, co mówiłam w nocy. Ale nie mogę zrobić czegoś podobnego.

— Uważasz, że nie jestem wart ciebie — o to chodzi? — spojrzał na nią i uśmiechnął się blado. — I to jest prawdziwy powód odmowy?

— Skądże by znowu, Brad! — odparła szybko kładąc dłoń na jego ręce. Bała się, że go uraziła. — To nie ma nic do rzeczy.

— Więc dlaczego nie chcesz pójść ze mną?

— Nie zna mnie pan. I nie wie pan, jaka jestem, naprawdę.

— Wiem, że jesteś cudowna, że cię kocham i pożądam.

— Ale nie wie pan, jaka jestem... albo kim byłam, zanim tu przyjechałam. A gdybym powiedziała, że byłam... niezbyt porządną dziewczyną. Że byłam inna, zanim wyszłam za Grady'ego. Co by pan wtedy pomyślał?

— Nie uwierzyłbym.

Roześmiała się.

— Mama Elsie nie chce uwierzyć, że byłam porządną dziewczyną, a pan nie chce uwierzyć, że byłam zła. Zdaje mi się, że ludzie zawsze wierzą w to, co im odpowiada.

— Nie dbam o to, kim byłaś. Ważne jest tylko, jaka jesteś teraz. A jesteś piękna i cudowna, kocham cię i chcę się z tobą ożenić. Tylko to się liczy.

Potrząsając głową odwróciła wzrok od niego. Nastąpiło długie milczenie. Czowała, że Brad wpatruje się w jej twarz, ale uporczywie unikała jego wzroku. Wreszcie podniósł się z klęczek i usiadł przy niej na kanapie.

— Wiem, jak to jest — powiedział cicho. — Ty mieszkasz tu, na górze, w wielkim domu, a ja na dole, w domu dzierżawcy. Powinienem był wiedzieć, że tak się to musi skończyć. Nie masz odwagi powiedzieć mi prawdy. I dlatego wymyśliłaś tę bajkę, że

jesteś kobietą z przeszłością. Dziewczyny, jak chcą splawić mężczyznę, wyciągają takie historie, aby w ten sposób ukryć prawdziwy powód. Naturalnie, mieszkam w domu dzierżawcy. I co z tego? Jestem nie gorszy od ciebie i wszystkich, którzy mieszkają w tym wielkim domu, sama dobrze to wiesz. Gdybym mieszkał w jednym z takich przegniłych starych domów, obijał się i pożyczał pieniądze na życie, wyszłabyś za mnie bez chwili namysłu, jak za Grady'ego. No cóż, kiedyś pożałujesz tego, bo zmądrzejesz i zrozumiesz, żeś popełniła błąd. Ja się jeszcze czegoś dorobię w życiu i mogę ci dać znacznie więcej niż inny mężczyzna, mam na myśli nie tylko pieniądze. Jeśli zmienisz zdanie, zanim będzie za późno, daj mi znać.

Chciał wstać. Lucjana go przytrzymała. Oczy zaszyły jej łzami, płacz ścisnął gardło, nie mogła się opanować. Siedziała naprężona, mocno ściskając w dłoni jego rękę.

Dał się słyszeć śpiew młodej Murzynki. Pośród wilgotnej nocy płynął, przy wtórze gitary, czysty i dźwięczny głos skargi. Po raz pierwszy murzyńska piosenka przyniosła jej ukojenie.

Nie ma na świecie chłopca miłszego.

Przyjdź — nie pożałuję ci niczego...

Długo siedzieli razem słuchając słów piosenki, która zdała się nie mieć końca. Północ już dawno minęła, w murzyńskich chatach światła gasły jedno po drugim.

— Możesz myśleć, co chcesz, Brad — powiedziała wreszcie Lucjana. — Ale Grady...

— Co jest z nim? — spytał oschle.

— Grady ma kłopoty. W żaden sposób nie mogę go teraz opuścić.

— Dziwny jest twój stosunek do niego po tym, jak on cię potraktował — Brad odparł z goryczą. — Masz tyle wymówek, że w żadną nie mogę uwierzyć.

— Jestem wciąż jego żoną. Nie mogę go rzucić, kiedy ma kłopoty. Nigdy bym tego sobie nie wybaczyła.

— Cóż to za kłopoty? Sallie John uciekła?

Lucjana ukryła twarz w dłoniach. Płakała. Brad obserwował ją z zaniepokojeniem i poczuciem bezradności. Chciał coś powiedzieć, by naprawić przykrość, jaką jej sprawił.

Ledwie wspomniał o Sallie John, od razu zdał sobie sprawę, że było to okrutne i bezmyślne.

— Przepraszam cię, Lucjano. Nie powinienem był tego mówić.

Uspokoila się, oparła głowę o tył kanapy.

— Proszę cię, nigdy więcej nie mów takich rzeczy — powiedziała cicho. — To ponad moje siły.

— Już nigdy, Lucjano — przyrzekł.

— Dobrze, Brad. Skończyliśmy z tym tematem. I nigdy więcej do niego nie wracajmy.

— Powiedz mi o Grady. Jakie ma kłopoty?

— Chodzi o pieniądze. Tym razem ma dwa tysiące pięćset dolarów długu. Jest bez pieniędzy, ale jakoś musi się wykupić. Nie wiem, co zrobi. To straszne.

— Komu jest winien? Skeeterowi Wilhite'owi?

Skinęła głową.

— Skąd wiesz? — spytała.

— Nietrudno zgadnąć. Wszystkie pieniądze lokuje u Wilhite'a.

— Mnie też się tak zdaje.

— Czy chcesz mu pomóc?

— Nie mam pieniędzy.

— To dlaczego Grady nie zaciągnie nowej pożyczki na hipotekę?

— Zrobił to niedawno — po raz ostatni. Bank już ani centa nie pożyczy mu na hipotekę.

— Wygląda na to, że Grady zapędził się w koziego róg. Jeżeli wyjdzie z tego cało, dowiedzie, że jest o niebo sprytniejszy od wszystkich innych, co byli dłużnikami Skeetera Wilhite'a i uchylali się od zapłaty. Wilhite nie przebiera w środkach, gdy trzeba ściągnąć dług, i pod tym względem nie ma równego sobie.

Brad wstał. Przez chwilę niepewnie patrzył na Lucjanę, potem wolnym krokiem poszedł w stronę schodów na skraju werandy. Lucjana odprowadziła go wzrokiem. Wstała, gdy właśnie zniknął w mroku. Przystanął i szybko się odwrócił. Nie odezwali się

ani słowem. Minęła długa chwila. Brad nagle podbiegł i objął ją z całych sił. Po raz pierwszy nie opierała się, kiedy ją całował. Potem wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

Rozdział szesnasty

Grady był zgnębiony. Znalazł się w sytuacji niemal bez wyjścia. Kiedy późno po południu przyjechał do miasta, bank był już zamknięty, ale dostał się do środka wejściem od podwórza i odbył długą rozmowę z prezesem banku, Howardem Phillipsem. Howard otwarcie mu powiedział, że nie może być mowy o pożyczce, bo cały majątek Dunbara jest już obciążony hipotecznymi długami, a Grady innego zabezpieczenia nie może dać. Jednakże, gdy Grady wychodził, Howard poradził mu, by postarał się zebrać pieniądze u przyjaciół, a gdyby to się nie powiodło, żeby za wszelką cenę nakłonił Skeetera Wilhite'a do odroczenia terminu spłaty długu. Obaj doskonale wiedzieli, że ani jedno, ani drugie nie jest możliwe.

Potem przez parę godzin Grady jeździł samochodem po wysadzanych drzewami alejach miasta, najpierw pędząc z zawrotną szybkością przez eleganckie dzielnice mieszkalne, a potem wolno krążąc tam i z powrotem główną ulicą koło poczty, sądu i pomnika Jeffersona Davisa. Przez cały czas zastanawiał się, skąd by wydostać dwa i pół tysiąca dolarów przed rankiem następnego dnia.

O północy pojechał wreszcie do lokalu Skeetera Wilhite'a w nadziei, że może jakoś go skłoni, by jeszcze trochę poczekał. Nie zapomniał, że Skeeter rozstając się z nim po południu ostrzegł go, że musi zwrócić dług w ciągu tej nocy.

Lokal Skeetera nie miał żadnej nazwy, mówiło się po prostu „u Skeetera”. Łatwo go jednak było rozpoznać po reklamie piwa wiszącej nad wejściem. Tak więc marka „Jax Beer” zastępowała godło lokalu. Znajdował się w odległości dokładnie trzech mil od sądu. Przedtem mieściła się tu szkoła podstawowa. Kiedy dwie szkoły w okręgu połączono w jedną, Skeeter kupił od hrabstwa czteropokojowy budynek i przez dwa lata prowadził w nim świetnie prosperującą spelunkę, płacąc za „opiekę” piętnaście procent od wpływów brutto. Nikt nie umiał powiedzieć, jak i komu Skeeter płacił, gdyż była to sprawa znana tylko Skeeterowi i sędziemu Lovejoyowi, jego prawnemu doradcy, nie ulegało jednak wątpliwości, że miał mocne plecy. Inni ambitni właściciele domów gry, przekonani, że będą mogli bezkarnie konkurować ze Skeeterem, zetknęli się z lufą pistoletu zastępcy szeryfa, zostali przepędzeni z hrabstwa i ostrzeżeni, by się tu więcej nie pokazali.

Dawny budynek szkolny wyglądał niewinnie. Stał w lasku długoiglastych sosen, pięćdziesiąt jardów od szosy. Boisko koszykówki z jeszcze stojącymi słupami służyło teraz za parking dla klientów Skeetera. Sam las, jeszcze za szkolnych czasów, cieszył się w nocy niezmiennym powodzeniem. Gdy się ściemniło, kilka par znajdowało schronienie pod sosnami.

W ciągu ostatnich dwóch lat duchowni w Maguffin, zaniepokojeni malejącymi datkami wiernych, niejednokrotnie usiłowali przepędzić Skeetera z hrabstwa, ostro atakując w kazaniach hazardowe gry i przydrożne gospody. Nigdy nie wymieniało się Skeetera po imieniu, ale wszyscy, którzy bywali na nabożeństwach, wiedzieli, że to o nim mowa. Ilekroć jeden ze sług bożych wygłosił kazanie, w którym grzmiał przeciw grze w kości, pijaństwu uprawianemu w lasku i trzem kelnerkom w czarnych fartuszkach z szyfonu nie większych niż chusteczki do nosa, natychmiast powiększała się klientela Skeetera, a w następną niedzielę w koszyku na datki można było znaleźć okrągłą sumkę w zapieczętowanej kopercie. Wystarczyło, że któryś pastor zapowiedział, że taki będzie temat kazania w następną niedzielę, przybytek boży nabity był tłumem wiernych i osób postronnych, przybyłych, by posłuchać dosadnego i szczegółowego opisu wybryków niczym się nie krępujących kelnerek Skeetera i erotycznych postępów pijanych dziewcząt w lasku pod osłoną nocy. Jakby na przekór, po takim niedzielnym kazaniu parking przed spelunką Skeetera do rana zatłoczony był samochodami. Potem duchowni skarżyli się szeryfowi, ale ten odmawiał interwencji stwierdzając, że nie ma prawa wkraczać w sprawy płatnika podatków, póki nie zostało popełnione żadne przestępstwo i nikt nie zakłócił publicznego porządku. Delegacja pastorów udała się przeto do miarodajnych władz hrabstwa zarzucając im zaniedbanie obowiązków służbowych, polegających na tym, że tolerują podsycane przez Skeetera orgie w lasku, gdzie czereda mężczyzn i dziewcząt potrafiła spędzić parami noc na poduszkach wyniesionych z samochodów lub na podściółce z suchego igliwia — ale i to nie odniosło żadnego skutku.

Grady zaparkował wóz na boisku przy domu i wszedł do środka. Na stołkach przy barze w pierwszej salce siedziała gromadka mężczyzn. Któryś z nich zaprosił go na piwo, lecz Grady odmówił i wszedł do pokoju za barem. Pięciu lub sześciu mężczyzn siedziało wokół stołu i grało w kości, paru innych piło przy stolikach piwo lub bourbona². Grady

² Bourbon — amerykańska whisky.

przeszedł koło stołu i jeszcze raz spojrzął po twarzach. Skeetera nie było. Jeden z mężczyzn siedzących za stołem skinął głową Grady'emu i gestem zaprosił, by się przysiadł. Grady potrząsnął głową i usiadł w swoim ulubionym kącie. Widział stamtąd cały pokój i mógł zobaczyć, kto wchodzi lub wychodzi. Znał tutaj prawie wszystkich. Jeden z nich skupował miazgę drzewną dla papierni, drugi był inżynierem lądowym i sprawował pieczę nad stanową szosą, trzeci — dyrektorem elektrowni w Maguffin. Poza tym Grady rozpoznał za stołem gry paru miejscowych sadowników. Od czasu do czasu któryś z gości odwrócił się i ciekawie spojrzął na niego, lecz Grady udawał, że nikogo nie poznaje.

Siedział w kącie z pół godziny, gdy nagle podniósł wzrok i zobaczył, że Peggy uśmiecha się do niego. Peggy, wysoka, ciemnowłosa dziewczyna, była kelnerką i barmanką w lokalu Skeetera. Jeśli Grady zamówił bourbona, właśnie Peggy zawsze go przynosiła. Smukła, zgrabna, młodziutka, w kusym czarnym fartuszk — który nie tyle ją okrywał, co działał wyzywająco, i temu właśnie miał służyć — Peggy była nieporównanie, powabniejsza od swoich dwóch koleżanek. Chociaż już pół roku pracowała u Skeetera, nikomu nie udało się dociec, skąd się tu wzięła. Ilekroć któryś z gości starał się ją nakłonić, by coś opowiedziała o sobie, uśmiechała się tylko i potrząsała głową. Pozostałe dwie kelnerki, obie pucolowate blondyny o zaciśniętych ustach, od samego początku zazdrościły Peggy urody i za każdym razem, gdy jakiś gość nią się zainteresował lub dał jej większy napiwek, nie ukrywały niechęci do niej. Niemal co wieczór przyjeżdżał ktoś do Skeetera tylko po to, by ujrzeć Peggy i popatrzeć, jak krąży wśród stolików. Jej szczerzy, pełen radości uśmiech i kształtne biodra prędzej czy później rzucały urok na każdego mężczyznę i wielu z nich, zarówno żonatych jak kawalerów, proponowało jej małżeństwo. Peggy wytrwale odmawiała i nie brała serio oświadczeń, ale nie ukrywała, że te pochlebne propozycje nie są jej niemiłe. Koleżanki, coraz bardziej zazdroszcząc jej powodzenia, zaczęły co wieczór umawiać się we dwójkę z jakimś gościem na randkę po zamknięciu lokalu. A jednak mężczyźni dalej przychodzili do Skeetera tylko z myślą o Peggy.

Przed paru tygodniami doszło do zajścia między Gradym a Skeeterem. Zaczęło się od tego, że Skeeter zobaczył, jak Grady daje Peggy dziesięć dolarów. Wszystkie kelnerki dostawały napiwki i zdarzało się, że gość dał jednej z nich dolara albo dwa, ale dziesięć

dolarów to już była przesada. Skeeter wyrwał pieniądze z ręki Peggy, rzucił je w twarz Grady'emu i ostrzegł go, by nie starał się za pieniądze zyskać jej względów. Grady od dawna dawał Peggy pięcio- i dziesięciodolarowe banknoty i nie miał zamiaru zrezygnować z tego zwyczaju, póki starczyło mu pieniędzy, ale wolał nie wdawać się w bójkę ze Skeeterem, który w podobnych sytuacjach odstępował na bok i dawał znak Emory Gloverowi, kierownikowi sali i wykidajle ważącemu dwieście funtów. Grady kopnął więc pieniądze w stronę obu blondynek i wyszedł z lokalu. Przy najbliższej okazji Peggy powiedziała mu, że Skeeter był zły, bo nie chciała zostać jego kochanką, i że najlepiej będzie, jeśli Grady w ogóle przestanie dawać jej napiwki. Odtąd Grady związał banknoty i wtykał jej do ręki, gdy nikt nie patrzył. Peggy poszła do baru. Gdy rozniosła trunki, podeszła do stolika Grady'ego. Przez chwilę stała i pytającym wzrokiem patrzyła na niego. Nic nie odpowiedział. Szybko się do niego przysiadła.

— Co się stało, Grady? — spytała miłym tonem. — Coś cię gryzie, prawda? Ale co?

Odwrócił się, spojrzał na nią, nic nie odpowiedział.

— Nie zebrałeś pieniędzy na zwrot długu Skeeterowi? — spytała ze współczuciem.

Grady potrząsnął głową.

— Och, Grady, jakże mi przykro — powiedziała patrząc mu w oczy. — Bałam się, że nie dasz rady zebrać tej forsy. Powinieneś mieć na to więcej czasu.

Grady wolno skinął głową.

— Bardzo bym chciała jakoś ci pomóc, Grady. Czy dwieście dolarów zdałoby się na coś? Mam odłożone. Jak chcesz, możesz je wziąć.

— Chodzi o dwa tysiące pięćset, Peggy — odparł potrząsając głową.

— Tak, wiem. Słyszałam.

Rzucił na podłogę dopalonego do połowy papierosa i przydeptał go:

— Gdzie Skeeter?

— Nie wiem, Grady.

— Był dzisiaj wieczór?

— Wyszedł jakąś godzinę temu. Słyszałam, jak mówił Emory Gloverowi, że zaraz wróci. Nie wiem, gdzie pojechał.

Położyła mu dłoń na rękę. Opuścił brodę na piersi i długo patrzył na jej jaskrawoczerwone paznokcie.

— Czy Skeeter wiedział, że będziesz tu dziś wieczór?

— Na pewno — zaśmiał się krótko. — Kazał mi stawić się tutaj.

Wyprostował się i zaczął szukać po kieszeniach papierosów. Znalazł paczkę, wyjął drżącą ręką papierosa, zapalił i rzucił zapalną na podłogę.

— Musi być jakiś sposób trafienia do niego — powiedział trochę do niej, trochę do siebie. Wciąż na nią nie patrzył. — Powinien mieć gdzieś w środku kawałek serca, jakżeby mogło być inaczej. Nie mógłby żyć i oddychać, gdyby nie miał czegoś w rodzaju serca. Ale założę się, że jakby wbić mu szpilkę, nawet by tego nie poczuł. Ma tak twardą skórę, że szpilka by się zgięła.

— Może ja bym ci pomogła, Grady.

— Jak?

— Chce, żebym została... jego kochanką. Od chwili gdy tu przyjechałam pracować u niego, stara się mnie do tego namówić. Dlatego nie pozwala mi od nikogo wziąć większego napiwku niż dolar. Nie chce, by ktoś inny mnie wziął. Gdybym mu powiedziała, że się zdecydowałam...

— Zwariowałaś! — krzyknął na nią Grady. — Za kogo ty mnie masz? Nie pozwoliłbym, żebyś w ten sposób go spłaciła. Może jestem kawał drania, ale tak daleko jeszcze nie zajechałem.

— Słuchaj, Grady, ja bym się nie opierała, gdybym była pewna, że to coś pomoże. Stokroć wolę mu ustąpić, niż dopuścić, by zrobił coś strasznego. Wiesz, jaki on jest. Nie cofnie się przed niczym. Już ci powiedział, co zrobi, jak mu nie zapłacisz. Czy ty tego nie rozumiesz, Grady? Pozwól mi...

Niecierpliwym gestem odrzucił jej propozycję.

— Nie!

— Proszę cię, Grady. Pójdę do Skeetera i... pogadam z nim. Powiem, że po namyśle zdecydowałam się zostać jego kochanką. Jak mnie weźmie, powiem mu, że o wiele bardziej by mi się podobał, gdyby był rozsądny i dał ci czas na spłatę długu. On mnie usłucha. Wiem, że jakoś z nim sobie poradzę. Czy to nie jest dobry pomysł, Grady?

— Daj sobie spokój, Peggy. To byłoby niegodne załatwienie sprawy. Nie przyłożę do tego ręki. Masz... sięgnął do kieszeni i wyjął zgnieciony banknot pięciodolarowy. Starannie wygładził go na mokrym stoliku i wręczył Peggy. — Weź sobie dwa dolary i zobacz, co by się z reszty dało wykroić dla mnie. Zacząłbym z miejsca od dwóch szklaneczek. — Spojrzał na nią, uśmiechnął się. — I żebyś mi po drodze nie uroniła ani kropelki.

— Ależ, Grady, nie chcę pieniędzy... w każdym razie nie dzisiaj.

— Jak nie masz do mnie tyle zaufania, by wziąć dwa dolary, to w ogóle nie chcę cię znać.

Wzięła pięć dolarów i położyła na tacy. Wstała. Uśmiechając się potrząsnęła głową.

— No dobrze, Grady. Nikogo na świecie tak nie słucham jak ciebie. Rzeczywiście skołowałeś mi głowę.

Poszła i za parę minut wróciła z dwiema szklankami bourbonu i syfonem na tacy. Postawiła szklanki jedną obok drugiej i usiadła. Grady od razu wypił wszystko. Gdy się odwróciła do niego, zobaczyła, że Grady bacznie jej się przygląda.

— Co znowu, Grady? — spytała.

— Właśnie myślałem o tobie, Peggy — odparł rzeczowym tonem.

— To znaczy?

— Będzie z ciebie cudowna żona, Peggy. Bardzo fajna żona. Ja ci to mówię. Ale boję się, że cię mąż wystawi do wiatru, jak to się zdarzyło mojej żonie. Taki już jest los najlepszych dziewczyn. Łamie się im życie. Nie wiem, dlaczego. Źle się obszedłem z moją żoną, a wcale sobie na to nie zasłużyła. Jest cudowną kobietą tak samo jak ty — obie jesteście cudowne. A ja świnia. Powinno się mnie zastrzelić.

— Na pewne rzeczy nie ma rady. Wszyscy musimy próbować szczęścia.

— Jasne. Ale dlaczego takie dziewczyny jak ty i moja żona próbują szczęścia z gośćmi mego pokroju. Powinnyście być mądrzejsze. Jestem drań. Wszyscy o tym wiedzą.

— Mogę się domyślić, dlaczego wyszła za ciebie, Grady. Kochała cię, po prostu. Na jej miejscu zrobiłabym to samo. Łatwo zakochać się w tobie, Grady. Zbyt łatwo. I w tym cała bieda. Wiem, co mówię.

— Gdyby ktoś nas słyszał, pomyślałby, że chcę cię namówić, byś wyszła za mnie albo że ty chcesz mnie usidlić.

Przyglądał się jej z niewyraźną miną. Peggy opuściła głowę, by nie mógł zajrzeć jej w oczy. Sięgnął ręką i przyciągnął jej twarz do swojej. Uśmiechnęła się do niego z zażenowaniem.

— Nie wiem, co zrobić z tym fantem — powiedział niepewnym głosem.

Długo siedzieli bez słowa. Wreszcie wziął jej rękę i mocno ścisnął.

— Co myślisz o tym, Peggy? — spytał cicho. — Peggy?

Wolno potrząsnęła głową znów, unikając jego spojrzenia.

— Nie — odparła cicho. — To niemożliwe, Grady. Nie mogłabym tego zrobić.

Gniewnie machnął ręką i przewrócił puste szklanki. Twarz mu płonęła.

— Nie chcesz wyjść za mnie, bo jestem Grady Dunbar — powiedział patrząc na nią spode łba. — O to chodzi. Wszystko wiesz o mnie. I dlatego odmawiasz.

— Proszę cię, Grady, nie mów tak. Ogromnie cię lubię, ale nie uważam...

— Możesz sobie darować! — podniósł głos. — Wiem, co myślisz. Że się z tobą źle obejdę, tak samo jak z żoną. Nie chcesz ryzykować z Gradym Dunbarem. Za wiele o nim słyszałaś.

Spojrzał na nią, zobaczył łzy w jej oczach. Głęboko westchnął i oparł się w krzesło.

— Bardzo cię lubię, Grady — więcej, niż by ci się zdawało. Nie chciałabym cię urazić, ale...

— Chyba masz rację, Peggy... — urwał i roześmiał się. — Nic ze mnie nie będzie, choćbym gadał Bóg wie co. Całe szczęście, że jesteś bystra dziewczyna i sama to zrozumiałaś. Unikniesz niejednego bólu głowy.

— Grady — powiedziała błagalnym tonem — proszę cię, wróć do żony, póki czas. Jeszcze nie jest za późno coś na to poradzić. Odzyskasz szczęście, jeśli tak zrobisz. Wiem, co mówię. Tylko z nią możesz być szczęśliwy. Jeśli wrócisz do niej i przeprosisz ją szczerze, wybaczy ci wszystko. Musisz tylko przekonać ją, że to jest na serio. Jeżeli kochała, na pewno chce, byś do niej wrócił. Czułabym to samo co ona, gdybym się dowiedziała, coś narobił, ale mimo wszystko chciałabym, byś wrócił do mnie. Przebaczyłabym ci, Grady. I ona też ci przebaczy.

— Bo ja wiem. Chyba nic już z tego nie będzie. Zdecydowała się odejść ode mnie.

— Ale się rozmyśli, jak wrócisz i powiesz, że... ją kochasz i chcesz, by się ciebie nie wyrzekła.

— Myśl jest dobra, ale nic z tego nie będzie, Peggy. Za mało wiesz o mnie. A moja żona wie wszystko. Że należę do zbankrutowanej arystokracji. Do ostatniego pokolenia arystokracji, czy jak to nazwać. Jesteśmy skończeni. Wszyscy to wiedzą. Kiedy wchodzę do banku od frontu, prezes wymyka się tylnymi drzwiami. Nie mógłbym wydostać stu dolarów, choćby szło o moje życie. Nawet mój kuzyn, Ben Baxter, mimo że jest tylko Dunbarem po matce, musiał wziąć się do pracy jako adwokat. Zarabia dwieście dolarów, i to nieregularnie, ucząc czarnuchów, jak pożyczyć dwadzieścia pięć dolarów pod zastaw ruchomości. Tak niskośmy upadli. Być Dunbarem znaczy nie mieć żadnych widoków.

Peggy nagle zerwała się na równe nogi. Grady spojrzał na nią pytająco. Prędko złapała puste szklanki i postawiła je na tacy. Dopiero gdy cofnęła się od stolika zobaczył Skeetera stojącego w drzwiach łączących salkę z barem, Grady zrozumiał, dlaczego się tak szybko uwinęła. Skeeter mierzył ich oboje zimnym, przenikliwym spojrzeniem.

— Muszę cię zostawić, Grady — szepnęła szybko się odwracając i odchodząc od stolika.

Gdy doszła do drzwi, Skeeter zagroził jej drogę tak, że musiała przystanąć. Kazał jej czekać, zanim ustąpił na bok i pozwolił przejść do baru. Nie odezwał się ani słowem.

Wcale mu się nie śpieszyło. Podeszedł do stołu i paru szybkimi spojrzeniami zorientował się w sytuacji. Przez dobrych kilka minut obserwował grę w kości, po czym spojrzał na Emory Glovera. Emory skinął głową na znak, że wszystko idzie jak należy. Skeeter odstąpił od stołu, rozejrzał się wokół i policzył gości.

Minęło dziesięć minut od chwili, gdy zjawił się w drzwiach. Wreszcie podeszedł do kąta, w którym czekał Grady. Ale nawet gdy usiadł po drugiej stronie stolika, nie patrzył na Grady'ego i przez długą chwilę się nie odzywał. Obie jasnowłose kelnerki podbiegły do stolika. Skeeter lekko skinął głową w stronę Grady'ego. Kelnerki odeszły i niemal natychmiast przyniosły dwie szklanki bourbonu i syfon. Grady od razu wypił jedną whisky, odsunął pustą szklankę i chwycił drugą.

— Widzę, żeś przyszedł w porę — powiedział od niechcienia Skeeter. — To chyba dobry znak.

Grady nic nie odpowiedział, ale ramiona lekko mu zadrżały. Uparcie obracał szklankę w dłoni.

— Musiałem załatwić w mieście jedną drobną sprawę — oświadczył Skeeter obserwując pokój. — Gdyby nie to, siedziałbym tu cały wieczór.

Grady podniósł szklankę i wypił do dna. Gdy stawiał ją na stoliku, ręce mu drżały.

— Mam trudności, Skeeter — powiedział nerwowo. — Słowo daję. Nie udało mi się zdobyć forsy. Kolatałem, gdzie tylko mogłem. No i wiesz, nie daję rady.

Skeeter się nie odezwał. Nastąpiła długa cisza. Ręce Grady'ego trzęsły się na stoliku. Kurczowo zacisnął palce na szklankach, starając się opanować nerwy.

— No wiesz, jak to jest — tłumaczył się rozpaczliwie. — Jeżeli nie masz gdzie pożyczyć pieniędzy, to leżysz.

— Co ty powiesz? — drwiącym i obelżywym tonem odparł Skeeter.

— Zrobiłem, co tylko mogłem, Skeeter. Bank mi nie udzieli pożyczki, bo cały mój majątek jest obciążony hipoteką. I nie mam kogo prosić. Cała moja rodzina jest zrujnowana. Nie jesteśmy warci ani centa.

— A ty co byś zrobił, gdybyś nie przerznął, tylko wygrał u mnie dwa tysiące pięćset dolarów?

— Chyba domagałbym się od ciebie tej forsy.

— Ja myślę! Przypuśćmy, że bym się ociągał?

— Nie wiem, Skeeter. W każdym razie bym się upominał.

— Jasne. Kazałbyś mi tę forszę spod ziemi wydostać?

— Pewnie.

— Więc mówię ci, żebyś właśnie to zrobił do jutra w południe. Masz dwanaście godzin i ani minuty więcej. A teraz zjeżdżaj stąd i wydostań tę forszę skąd chcesz, bo inaczej...

— Bo inaczej co?

— A cóż ty sobie myślisz? Nie obchodzi mnie, skąd weźmiesz forszę, byłeś mi wybulił. — Obojętnie wzruszył ramionami. — Obrabuj bank. Napadnij na kogoś z bronią w ręku. Wyślij żonę na ulicę, niech zarobi. Mnie to nie obchodzi, mam dostać, co mi się należy. Od tej chwili skończyło się proszenie i mówię z tobą po raz ostatni.

Grady wstał. Kolana się pod nim ugięły..

— Dobra, Skeeter — powiedział ochrypłym głosem. — Coś muszę zrobić. Jeszcze raz skoczę do Bena Baxtera.

Skeeter wymownie skinął głową. Grady odwrócił się i z zadymionego lokalu wyszedł na świeże powietrze chłodnej nocy. Przechodząc przez bar, nie zobaczył tam Peggy. Przyszło mu na myśl, że się przed nim schowała.

Rozdział siedemnasty

Krótko po ósmej Ben Baxter, którego Grady wyciągnął z łóżka kwadrans po czwartej rano, szparkim krokiem przeszedł przez okryty rosą trawnik, wkroczył do budynku z czerwonej cegły z wyniosłymi białymi kolumnami, pobiegł schodami na pierwsze piętro i pomaszerował do końca korytarza, gdzie się chwilę namyślił, zanim otworzył drzwi, na których było napisane: POKÓJ SĘDZIOWSKI.

Kiedy stał przed drzwiami z ręką na klamce, przechodzący korytarzem urzędnicy i stenografowie mówili mu „dzień dobry”, ale był tak pochłonięty myślami, że nie tylko nie odpowiedział, ale nawet nie słyszał ich pozdrowień. Nie zdążył się ogolić i w świetle wczesnego ranka jego szczupła twarz nabrała surowego, zawziętego wyrazu.

Gdy wreszcie wszedł do pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi, zastał tam dwóch zastępców szeryfa, Macka Poindextera i Stuba Pettigrewa, prezesa sądu hrabstwa, Olina Tharpa i sędziego Lovejoya, którzy siedzieli za dużym okrągłym stołem. Od dawna nie wietrzony pokój cuchnął zatęchłym dymem tytoniowym. Żaluzje były spuszczone i jeszcze paliła się żarówka zawieszona nad stołem na oblepionym muchami sznurze. Woźny sądowy, Murzyn nazwiskiem Lamar, nie śpiesząc się zamiatał niedopałki papierosów i popiół z cygar do śmietniczki. Gdy wszedł Ben, Lamar przerwał pracę i nisko mu się uklonił.

— Dzień dobry panu — uprzejmie powiedział opierając się jedną ręką na kominku, a drugą na miotle. — Piękny ranek, prawda?

— Dzień dobry, Lamar — odparł Ben i lekko skinął głową.

— Ach, proszę pana! — szybko powiedział Lamar. — Już dość dawno chciałem z panem pomówić o jednej rzeczy. Może wybiera się pan w tych dniach na ryby do Big Sandy. Bardzo chętnie bym się tam wybrał i dotrzymał panu towarzystwa. Stałbym za panem i też zarzucił wędkę. Mówią ludzie, że ryba teraz dobrze bierze. Czy zechciałby pan mnie zabrać, żebym pomógł panu łowić ryby?

— Jak się będę wybierał, to dam ci znać — odparł Ben.

— Dziękuję panu — Murzyn znów się nisko skłonił.

Ben wziął krzesło z kąta i przysunął do stołu. Usiadł tuż za sędzią Lovejoyem, pochylił się i oparł łokciami o kolana.

Sędzia Lovejoy był sympatycznym siwowłosym mężczyzną po osiemdziesiątce, zawsze nienagannie ubranym. Nosił stale szare spodnie w paski i czarną marynarkę z popeliny, obszytą rypsovą lamówką. Miał sześć stóp wzrostu, jak na swój wiek był dobrze zakonserwowany i nosił białą bródkę przystrzyżoną w szpic. Trzymał się prosto, bez przerwy nerwowo mrugał. Przez prawie ćwierć wieku pełnił urząd sędziego okręgowego, ale dziesięć lat temu, kiedy przeszedł na emeryturę, otworzył kancelarię adwokacką i lekką ręką, ale z żelazną konsekwencją sprawował absolutną, bezwzględną polityczną władzę w hrabstwie. W ciągu tych dziesięciu lat żaden obieralny urząd nie został obsadzony bez jego aprobaty i żaden kandydat nie poparty przez niego nie wygrał wyborów. Od czasu do czasu niezależni kandydaci szemrali, a nawet dochodziło do gwałtownych gróźb i odruchów buntu przeciw rządzącej klice, ale sędzia Lovejoy zawsze umiał z niezmaconym spokojem podjąć kroki, jakich wymagała sytuacja, by zapewnić ciągłość władzy w służbie społeczeństwa. Był kawalerem i od czterdziestu lat mieszkał w hotelowym pokoju. Nie miał żadnych krewnych, w każdym razie nikt o nich nie słyszał. Do Maguffin przybył, jako młodzieniec, na piechotę z dalekich gór w północnej części stanu. Mówiono, że pierwszy dolar, zarobiony przez Lovejoya w prawniczej praktyce, wisiał, oprawiony w ramki, na ścianie jego sypialni. Obecnie majątek Lovejoya oceniano na dwieście do trzystu tysięcy dolarów.

— Przebijam o dwadzieścia pięć centów, Olin — cicho, jak zwykle, powiedział sędzia Lovejoy kierując miły uśmiech, jaki nie schodził mu z ust, w stronę sędziego Tharpa. — Pozwolę sobie dodać, że oczekuję pańskiej głęboko przemyślanej decyzji w niezbyt dalekiej przyszłości.

Olin Tharp zacisnął usta, zmarszczył czoło i postukał palcem w nieduży stos białych żetonów leżących przed nim na stole. Sędziego Lovejoya zawsze irytowało, że Olin miał zwyczaj niezwykle długo namyślać się bez względu na to, czy karta mu szła, czy nie.

— Rusz się, Olin — popędził go Stub Pettigrew. — On nic nie ma. Na twoim miejscu nie dałbym się zablefować sędziemu. On mi przypomina zramolałego, starego byka na pastwisku, co to się stara zrobić na jałówkach wrażenie, że gdyby tylko chciał,

dopiero by im pokazał. Jak go ostatni raz sprawdziłem, miał tylko nędzną parę dwójek. Dajże mu w kość. I przebij drania o dwadzieścia pięć centów.

Olin spojrział zezem na sędziego Lovejoya i podrapał się po głowie.

— To za duży pieniądz, żeby ryzykować na taka małą pulę — powiedział trzymając karty przy brodzie i uważając, by nikt nie podglądał. — Gdybyś grywał z sędzią tak długo jak ja, tobyś wiedział, że z nim nigdy nic nie wiadomo. Każdy inny rzuca karty, jak nie ma nic, ale na nim się nie wyznasz.

— Bójże się Boga, Olin — powiedział Mack Poindexter lekko odwracając głowę, by wypluć sok tytoniu w stronę spluwaczki — nie pozwól temu draniowi, żeby siedział tu, jak Chrystus na pniaku, i orznął cię do ostatniego centa. Cóż się stanie, jak stracisz tym razem dwadzieścia pięć centów? Polecisz do domu, wyżebrzesz u twojej starej jeszcze dolara i znowu sobie pograsz.

Olinowi ręce się trzęsły. Krople potu wystąpiły mu na czole. Sędzia Lovejoy cierpliwie czekał, zachowując niezachwiany spokój, jakiego nauczyło go długie życie. Z nieodstępnym łagodnym uśmiechem patrzył na speszoną twarz Olina.

Nate Snoddy, jeden z inspektorów drogowych hrabstwa, wszedł do pokoju, przysunął krzesło i przysiadł się do nich. Zaczął tasować zrzutki, podczas gdy Olin dalej się namyślał. Nikt nie odezwał się do Nate'a, on też milczał zgodnie z przyjętym zwyczajem. Jeśli ktoś wpadał tutaj, by zagrać parę rundek, obecni przyjmowali, że grał już z nimi i poszedł tylko się przespać lub coś przekąsić. Od lat grało się tu w pokera niemal bez przerwy i właściwie każdy adwokat czy miejscowy dygnitarz zasiadał do stołu za dnia lub w nocy.

— Jak Boga kocham, chyba tym razem spróbuję szczęścia — oświadczył Olin stanowczo potrząsając głową. Starannie przesunął pięć białych żetonów na środek stołu. — Sprawdzimy cię, sędzio.

— Cholera! — z niesmakiem zauważył Stub Pettigrew. — Olin, czemu, u Boga Ojca, nie przebijesz tego skurwiela? Gdybyś przebił, rzuci karty, jeśli nic nie ma, i zgarniesz pulę. Nigdy daleko nie zajedziesz, jak będziesz tylko go sprawdzał. Niczego już się nie nauczysz!

— Panowie nic już nie mają do powiedzenia? — spytał stary sędzia Lovejoy przymilnie się do nich uśmiechając.

— Jasne — odparł Mack Poindexter — Karty na stół, stary łajdaku!

Sędzia Lovejoy wyłożył karty. Miał cztery dwójki. Z promiennym uśmiechem rozejrzał się wokół. Stub Pettigrew jęknął przeciągle.

Olin z rozdziawionymi ustami pochylił się nad stołem i liczył dwójki jedną po drugiej. Minę miał nieszczęsną.

— Jestem synem kurwy z Atlanty, jeśli nasz sędzia nie ma cholernego szczęścia! — ze zgrozą stwierdził Mack Poindexter. — To się po prostu w głowie nie mieści!

Olin odwrócił swe karty i rzucił je Nate'owi. Sędzia Lovejoy, wciąż miło się uśmiechając, zagarnął wygraną. Po czym ułożył żetony przed sobą i starannie wyrównał szeregi.

— Mam dosyć słuchania rad, jakich mi się tutaj udziela — z niesmakiem stwierdził Olin. Wstał i resztę swoich żetonów włożył do kieszeni spodni.

— Jak wrócę, spodziewam się, że żaden zastępca szeryfa nie będzie się tu wałkonił. Powinni się stąd wynieść i tropić przestępców. Za to im się płaci. Płatnicy podatków mają prawo, by coś dla nich zrobiono za ich ciężkie pieniądze. Przyjdzie dzień, że społeczeństwo położy kres zbijaniu bąków przez policjantów.

Nikt się nie odezwał, Olin wychodził, ale ledwie za sobą zamknął drzwi, Mack i Stub ryknęli śmiechem. Sędzia Lovejoy dalej łaskawie uśmiechał się do wszystkich.

Ben Baxter odczekał, aż talia została przełożona i znów rozdano karty. Wtedy pochylił się do sędziego Lovejoya tak, by zwrócić jego uwagę.

— Panie sędzio, chciałbym z panem zamienić parę słów — powiedział cicho. — To ważna sprawa.

— A o chodzi, synu? — uprzejmie, jak zwykle, spytał sędzia.

— O Grady'ego Dunbara.

— Co mu się stało?

— Właśnie o tym chciałbym z panem pomówić — odparł Ben cicho. — Gdyby zechciał pan na chwilę wyjść na korytarz...

— Ależ, synku, u nas się tego nie robi. Dobrze o tym wiesz. Wszystko, co się mówi w tym pokoju, ma charakter poufny i tego ściśle się trzymamy. A teraz mów, synku, śmiało, co ci leży na sercu.

Ben zerknął na mężczyzn siedzących wokół stołu i jeszcze bliżej przysunął krzesło do sędziego Lovejoya.

— Dziś przed piątą rano przyszedł do mnie Grady — zaczął niemal szeptem. — Znów potrzebuje pieniędzy. Próbował wziąć pożyczkę w banku, ale jego majątek obciążony jest hipoteką do ostatniego dolara. Zapożyczył się nawet pod zastaw mułów i traktorów. Pozostał tylko dom, ale w całym hrabstwie nikt się nie waży zająć tego domu, póki żyje matka Grady'ego. Gdyby została zmuszona się wyprowadzić, mogłaby jedynie zamieszkać na jakiejś nędznej farmie.

— Ile tym razem brakło Grady'emu Dunbarowi? — spytał sędzia Lovejoy starannie układając karty w ręce.

— Dwa tysiące pięćset.

Gracze za stołem nadstawili uszu i wymieniali wymowne spojrzenia, kiwając przy tym głowami. Nate Snoddy, który siedział obok sędziego Loveioya, trącił go łokciem.

— Kosztuje dziesięć centów, jeśli chcesz grać — powiedział.

Sędzia dorzucił czerwony żeton.

— Grady Dunbar może być splukany jak czarnuch w niedzielę rano — oświadczył Mack Poindexter i zrobił oko do Stuba i Nate'a — ale jedna rzecz na pewno mu została, mianowicie cholernie ładna żona. Możecie mi wierzyć, że to jest kobieta warta rozpięcia portek. Wiem, bo parę razy ją widziałem. Boże drogi, gdybym miał coś takiego, tobym zrezygnował z posady, siedział w domu i dla chleba rąbał drzewo na podpałkę albo hodował króliki. Jak Boga szczerze kocham. Niechby mi tylko słowo powiedziała, a zawiesiłbym w jej domu kapelusz na kołku.

— Dziesiątka na moje dwa walety — powiedział sędzia, rzucił dwa białe żetony do puli i wygodnie rozsiadł się w krześle.

— Moje dwa króle przebijają dziesiątką, sędzio — oświadczył Nate.

Wszyscy dołożyli. Ben wpatrywał się w twarz sędziego, czekając na sposobność podjęcia z nim rozmowy.

— Dołożyliśmy obaj, bracie — powiedział Stub i spojrzał na Macka Poindextera. — A swoją drogą chciałbym wiedzieć, co u licha ciężkiego, dzieje się w domu tego Dunbara. Powszechnie wiadomo, że Grady ugania się za czarnuszkami, u siebie i tu, w mieście. A co się dzieje z jego żoną? Zamykasz wejście na pastwisko i więzisz ładną kobietę w domu,

ale ktoś przelezie przez płot, jak dwa razy dwa jest cztery. Widziałem, jak niejeden mąż próbował tego sposobu i nic mu nie pomogło. Taki ciężki idiota, co się żeni z ładną kobietą, a potem łajdaczy się jak sto diabłów i kiedy już sobie dogodzi, wraca do domu pewny, że zastanie wszystko w najlepszym porządku, przeważnie cholernie się nacina. Można na tym świecie robić rozmaite sztuki, tylko ludzkiej natury nie oszukasz.

Nate za parę króli zagarnął pulę i Mack zaczął tasować karty.

— Bardzo mi przykro, że Grady tak się wpakował — znów nieśmiało zagadnął sędziego Ben. — Zrobiłem, co się tylko dało, by go pohamować, ale sam pan wie, jaki to uparty i lekkomyślny człowiek. Chociaż tyle razy go ostrzegałem, uważam za swój obowiązek jakoś mu pomóc, póki żyje jego matka. Doprawdy los ciężko by dotknął jego żonę i matkę, gdyby musiały opuścić dom, bo nie miałyby co z sobą zrobić. Dwie Bogu ducha winne kobiety nie zasłużyły, by niepotrzebnie narażać je na cierpienia. I właśnie to mnie najwięcej martwi w całej sprawie Grady'ego.

— Od jak dawna praktykujesz jako adwokat, synku? — spytał sędzia. Odwrócił się do Bena i patrzył na niego.

— Od prawie pięciu lat, panie sędzio — odparł Ben. — A dlaczego pan pyta?

Sędzia odwrócił się od niego i zajrzał w karty.

— Bo jeszcze wiele musisz się nauczyć, synku. Miłość bliźniego jest rzeczą godną zalecenia każdemu, kto może sobie na to pozwolić, ale nie ma nic wspólnego z praktyką adwokacką. To samo można powiedzieć o więzach rodzinnych. Może to brzmi brutalnie, a jednak, aby żyć na tym świecie, musisz się nauczyć realnie patrzeć na życie. A teraz, gdybyś chciał pomówić ze mną o prawnych aspektach tej sprawy, chętnie cię wysłucham. Pochylił się i dorzucił do puli dwa żetony.

— Przebijam dziesiątką, Snoddy — oświadczył z wielką powagą.

— Nie daj mu się, Nate — zachęcił go Mack.

— Bo drań się rozbija dzisiaj, niczym byk, jakby na całym pastwisku tylko on jeden miał rogi. Nadszedł czas, żeby ktoś oskubał go do ostatniego centa. Śmiało, Nate. Co się go boisz?

— Grasz dalej? — spytał Macka Nate drżącym głosem.

— Jak mogę grać, jeśli dajesz mi same płotki? — odparł Mack rzucając karty na stół. — Ale ty, Stub, nie uciekniesz, co?

— Może — odparł Stub. — Ale tylko dlatego, że nie mam gdzie iść.

— Nate, czyś po głębokim, jak zwykle, namyśle już się na coś zdecydował? — uprzejmie spytał sędzia.

— Nie wiem — potrząsając głową odrzekł Nate.

— Nie lubię robić głupstw wcześniej rano.

— Niech ja skonam, Nate — mówisz całkiem jak moja stara — stwierdził Mack. — Pokaż, że jesteś mężczyzną, jak chcesz grać dalej.

Wszedł Sam Weathersbee, taksator podatkowy hrabstwa, i przysunął krzesło do stołu. Klepnął Stuba w plecy, aż mu się kapelusz osunął na oko.

— Co nowego, Mack? — spytał.

— Co by ci przyszło z tego, gdybyś się dowiedział?

— Przekazałbym dalej nowinę. Może to niektórym chłopakom dobrze by zrobiło, jak to się mówi.

— Dobre nowiny krążyły już po świecie mnóstwo razy i sam wiesz, jakiego sosu narobiły!

— Każda nowina robi zamieszanie tylko wtedy, jeśli się jej należycie nie potraktuje. Trzeba się znać na rzeczy, jak to się mówi.

— Trzeba się znać, gdzie co pchać — burknął Mack wzruszając ramionami.

— Może byście zamknęli jadaczki, jeden z drugim! — uciszył ich Stub. — Czy nie widzicie, jak tych dwóch kauzyperdów zaraz będzie ciągnąć losy, którego klienta najpierw powiesić?

Nate Snoddy przegrał. Wstał i wyszedł z pokoju.

— Nad czym to radzą dwaj adwokaci tak wcześniej rano? — spytał Sam Weathersbee wskazując głową Bena i sędziego Lovejoya.

— Mówią o Grady Dunbarze — odparł Mack. — Grady znów się splukał. Ben stara się wyciągnąć go z biedy. Ale sędzia jest parszywym starym skurwysynem i chce Grady'emu wypruć flaki lub coś w tym rodzaju.

— Grady znów się zgrał, co? — spytał Sam. — Ten Grady Dunbar to ciężki idiota. Potrafi postawić sto dolarów kiedy karta mu leci, to samo robił jego ojciec. Jakies dwa

tygodnie temu widziałem na własne oczy, jak przegrał u Skeetera osiemset dolarów w „czerwone i czarne”. Chyba żona powinna odciągnąć go od hazardu.

— Wyobrażasz sobie, że żona Grady'ego Dunbara może go od czegoś odciągnąć? — spytał Stub. — Do licha, ona nie potrafi go nawet przyciągnąć.

— Przecież, na miłość boską, mogłaby nie wpuścić go do łóżka — powiedział Sam. — Moja żona robiła tak wiele razy, niech to licho porwie!

— Nie masz pojęcia, jak jest — oświadczył Stub. — To on nie chce z nią spać. Możesz teraz skalkulować sobie wynik na twojej maszynie do obliczania podatków.

— Żartujesz! Nie powiesz, że Dunbar nie chce spać z tą śliczną...

— Wiem, co mówię!

Sam powiódł wzrokiem po graczach za stołem. Twarz, mu płonęła, oczy się iskrzyły.

— Coś podobnego! — zawołał. — Jak Boga kocham! Co za okazja dla ambitnego mężczyzny, jak to się mówi! W przyszłym tygodniu będę musiał się wybrać w tamte strony. Niedaleko od Dunbarów mieszka niejaki Haddon, farmer, który od dwóch lat suszy mi głowę, żebym przyjechał i obniżył mu podatkowy szacunek, ale nic dotąd nie wskórał. Całe szczęście, że nie zapomniałem o nim. Jak Boga kocham, pojedę tam w przyszłym tygodniu i trochę poniucham, jak to się mówi. Spróbować nie zaszkodzi, bo to się może cholernie opłacić.

Stub i Mack spojrzeli jeden na drugiego i zgodnie pokiwali głowami.

— Zawsze to samo, prawda, Mack? — stwierdził Stub.

— Nigdy nie było inaczej — przyznał Mack. — Wygadasz się, że można gdzieś sobie dogodzić i butów nie zdążysz włożyć na nogi, a już wszystkie zasrane kocury w mieście zadzierają ogony. Odtąd zamknę gębę na kłódkę i jak mi się coś trafi, to najpierw sam sobie użyję i dopiero potem będę gadał. Inaczej w tym mieście nie można. Za wiele okazji sprzątnięto mi sprzed nosa i już wiem, jak się brać do rzeczy. Nikomu ani słowa.

Ben jeszcze trochę przysunął krzesło do stołu i zajrzał sędziemu w oczy. Sędzia łagodnie się uśmiechnął.

— Chciałbym jakoś się z panem dogadać — z powagą powiedział Ben. — Gdyby można dać Grady'emu trochę czasu, na przykład...

— Komu Grady winien jest te pieniądze, synku?

— Skeeterowi Wilhite'owi.

— Ano właśnie, Wilhite płaci mi poważne sumy na poczet honorariów, mój synu — zboliałym tonem oświadczył sędzia. — To mój klient. Mam wobec niego zobowiązania, od których nie mogę odstąpić.

— Wiem o tym, panie sędzio. Dlatego przyszedłem do pana. Sądziłem, że możemy dojść do...

— Adwokat, synku, cieszący się zaufaniem adwokat z nazwiskiem, interes klienta wynosi ponad wszelkie sentymentalne względy. Wilhite mi całkowicie zaufał. Wobec zwierzeń klienta obowiązuje mnie taka sama tajemnica, jak księdza w konfesjonale. Czy mógłbym zawieść jego zaufanie? A pan by mógł? Czy byłby zdolny do tego jakikolwiek adwokat, który nasiąkł zaszczytnymi tradycjami naszego zawodu? Dziwię się, że przyszedł pan do mnie z tak niesłychaną propozycją. Niewątpliwie zna pan zasady etyki zawodowej.

— Nie proszę o to, by zlekceważył pan interesy Skeetera. Do głowy by mi to nie przyszło. Proszę tylko, by pan złagodził jego żądania o tyle, o ile pozwoli to Grady'emu uczynić im zadość. Czy nie uważa pan, że jest to rozsądna prośba, panie sędzio?

— W obecnej sytuacji, nie! — uciął sprawę sędzia. — Stanowczo się nie zgadzam!

— Jaką sytuację ma pan na myśli?

Sędzia Lovejoy odwrócił się w krześle i spojrzał Benowi w oczy.

— Wolałbym nie dyskutować o tym czy innym prawnym problemie z panem lub ludźmi pańskiego pokroju, panie Baxter. I radzę, by pan wrócił na swoje podwórko.

— Nic nie rozumiem, panie sędzio — odparł zdumiony Ben. — O co panu chodzi?

— Jesteś pan adwokatem czarnuchów, panie Baxter — surowym tonem stwierdził sędzia. — Taką reputację zyskał pan sobie w ciągu paru zaledwie lat, odkąd pan został przyjęty do tutejszej palestry. Obserwowałem pańską działalność. I wiem, co pan robił. Niech się tylko nawinie panu czarnuch, który ma pretensje do białego, od razu go pan łapie, ciągnie do swej kancelarii i wytacza wojnę krzyżową białej rasie. Weźmy dla przykładu tego Murzyna, co pracuje w tartaku. Mimo przyjaźni do Grady'ego Dunbara, którą z tak lekkim sercem pan wyznaje, zachęcił pan i podjudził czarnucha, by nie wracał do pracy u Dunbara, mimo że Dunbar tego żądał. Co gorsza, zmałował się pan z

czarnuchem, by nakłonić jego rodziców do rzucenia pracy u Dunbara. Jeśli panu i pańskiemu czarnemu klientowi to się uda, będziemy mieli godny potępienia precedens i tylko adwokat czarnuchów mógł tak nisko upaść. Jednakże, mój synku, jestem gotów w każdej chwili usiąść z panem za stołem i dojść do porozumienia odpowiadającego obu stronom w tamtej sprawie — pod warunkiem, że przyrzeknie mi pan natychmiast podjąć kroki zmierzające do wyzbycia się murzyńskiej klienteli.

— Nie mogę tego zrobić, panie sędzio — odparł speszony Ben. — Naprawdę, nie mogę.

— No to nie ma o czym mówić — stwierdził sędzia odwracając się do stołu. Rozpromienionym wzrokiem powiódł po graczach. — Mam przecucie, że karta tym razem uśmiechnie się do mnie. Pięć centów wejście. — Wszyscy dołożyli do puli.

— Szczególnie mnie cieszy, jak na początku dostanie mi się mała parka, bo wiem, że taka parka szybko się rozmnaża. — Rzucił okiem na karty w ręce z nieprzenikniętym wyrazem twarzy. — Dziesięć centów — oznajmił. — Rozdano po jednej karcie. — Z małego cielaka wyrasta wielka krowa — zakonkludował sędzia.

— Pan sędzia krowy doi! — z niesmakiem oświadczył Mack Poindexter.

Wszyscy po raz ostatni dostali po jednej karcie. Stub odkrył parę asów. Sam miał parę ósemek. — Dwa asy kosztują dwadzieścia pięć centów — rzeczowym tonem oświadczył Stub. — Zobaczysz, sąsiedzie, jak dalej pojedziesz.

— Z miłą chęcią, i jeszcze dwadzieścia pięć centów, mój drogi — odparł sędzia dorzucając żetony do puli. — Dalej pojedziemy, to się dowiemy.

— Co powiesz, Sam? — spytał Stub.

Sam po dłuższym namyśle dołożył do puli. Mack spasował. Przyszła kolej na Stuba.

— I jeszcze dwadzieścia pięć centów, przyjaciele — z radosnym przyśpiewem oświadczył Stub. — Im wyżej stawka ci stanie, tym lepiej dla mnie, kochanie, powiedziała panna młoda.

Sędzia Lovejoy z miejsca przebił o dwadzieścia pięć centów. Sam Weathersbee z westchnieniem ulgi rzucił karty. Stub poczuł się nieswojo. Długo patrzył w karty, które trzymał przy brodzie. Na czole wystąpiły mu krople potu.

— Uważaj, Stub, żebyś się nie naciął — powiedział Mack patrząc spod oka na sędziego. — Ten stary drań może mieć kij na ciebie.

Stub pogrzebał w kieszeni i wyciągnął dolara. Rzucił go na stół, wziął z puli resztę.

— Przebijemy po raz trzeci — oświadczył z ponurą miną. — Z tym, co mam w ręce, mógłbym śmiało przebić jeszcze trzy razy.

— Ty lepiej dzwoń jajami i módl się, żeby sędziego szlag trafił — poradził Stubowi Sam. — Inaczej nie wygrasz, jeśli sędzia teraz dołoży.

— Odstąpimy od zasad? — uprzejmie spytał sędzia. Zwodniczy uśmiech rozjaśnił mu twarz. — Ja się zgadzam.

Stub stanowczo potrząsnął głową i głęboko odetchnął, by nabrać sił przed nieuniknionym odkryciem kart.

— Wobec czego... — powiedział sędzia wykładając karty. Miał fula.

Stub smętnie pokiwał głową nad swymi trzema asami.

— Przyjdzie jeszcze czas, że oskubię cię jak kurczaka — powiedział do sędziego zgrzytając zębami. — Razem z twoim parszywym szczęściem!

Ben szurnął krzesłem po podłodze, by zwrócić uwagę sędziego.

— Panie sędzio — powiedział — jeśli nie widzi pan możliwości pójścia na ustępstwa, niech sprawę rozstrzygnie sąd.

— Jaki znów sąd! — odparł sędzia nieco podnieconym głosem. — Diabła tam! Aż nadto dobrze pan wie, że mój klient nie ma czego szukać na drodze sądowej. Żaden sąd w tym stanie nie uzna karcianego długu. Jest to osobista sprawa między dwoma dżentelmenami. Ani mniej, ani więcej.

— Przyznaje pan zatem, że to jest nielegalne.

— Ani mi się śni!

— Ale odmawia pan ustępstw?

— Stanowczo odmawiam!

Ben wstał i odsunął na bok krzesło. Przez chwilę patrzył z góry na śnieżnobiałe włosy sędziego.

— Chyba zdaje pan sobie sprawę, że to doprowadzi Grady'ego do ruiny — oświadczył chłodno.

Sędzia Lovejoy odsunął w tył krzesło i spojrział Benowi w oczy. Po raz pierwszy tego ranka przybrał wyrozumiałą, ojcowską minę.

— Zanim stąd wyjdiesz, synku — powiedział — chciałbym udzielić ci pewnej rady. Jestem starym człowiekiem, obciążonym przesądami, ale w pewnych sprawach dobrze się orientuję. Przedłużanie egzystencji Grady'ego Dunbara na nic się nie zda. Zostawmy to naturalnemu biegowi rzeczy, synku. Od wczesnej młodości byłem świadkiem, jak podupadały i sypały się w próchno nasze stare rodziny, a zbyt wiele mam szacunku dla praw natury, bym próbował powstrzymać ich wspaniałe działanie. Wróc do swej kancelarii i pomagaj kolorowym, kiedy przyjdą do ciebie po poradę. Do mnie nie przychodzą, bo dobrze mnie znają. Jesteś młody, pełen zapału, podziwiam cię za to, co sobą reprezentujesz. My, ludzie starsi, mówimy, że wiemy, jak się obchodzić z czarnymi, i że nie życzymy sobie, by się ktoś do tych spraw wtrącał, ale ty wiesz, tak samo jak ja, że w ten sposób staramy się tylko ukryć nasze bankructwo. Należałoby przestać traktować czarnych tak, jak traktuje ich Grady Dunbar, umożliwić im dostęp do szkół i zdobycie wykształcenia, aby mogli zarabiać na życie tak samo, jak my. Jest mnóstwo miejsca w tym wielkim kraju dla nas wszystkich, białych i czarnych. Działasz, syneczku, przeciw własnym ideałom, ilekroć pomagasz Grady'emu lub innym jego pokroju. Pozostawmy te sprawy naturalnemu biegowi rzeczy. Dunbarowie jako ludzie już się skończyli.

Ben nie zdążył odpowiedzieć. Sędzia dał mu znak ręką, by się odsunął, i odwrócił się do niego plecami. Ktoś rozdawał karty, gracze za stołem milczeli. Jeden tylko Lamar, który stał oparty na miotle, widział, jak Ben wychodził z pokoju. Sędzia Lovejoy wziął karty ze stołu i patrzył w nie z głębokim zainteresowaniem.

— Kosztuje dziesiątkę — powiedział spozierając po twarzach wokół stołu. — Czy któryś z szanownych panów jest gotów zaryzykować taki pieniądz?

— Wchodzę, panie sędzio — pośpieszył się Sam Weathersbee.

Wszyscy rzucili żetony na środek stołu i znów rozdano karty.

— Słuchaj — odezwał się Mack Poindexter patrząc na Stuba. — Może byśmy wybrali się we dwójkę do domu Dunbara. Nigdy o tym nie myślałem, ale teraz sprawy tak stoją, że wszystko jest możliwe. Dałbym wiele, żeby tam pomyszkować, zanim się zjawi Sam Weathersbee.

Sam uśmiechnął się do siebie i rzucił na stół biały żeton.

— Piątka leci! — powiedział.

Rozdział osiemnasty

Pod wieczór, krótko przed zachodem słońca, Grady wrócił pijany do domu. Lucjana spodziewała się jego powrotu najwcześniej następnego dnia, gdyż nie było go w domu zaledwie dwadzieścia cztery godziny, ale uprzytomniła sobie, że się zjawił, gdy potężny huk wstrząsnął całym domem. Podbiegła do okna i wyjrzała na podwórze.

Jak się to już nieraz zdarzyło, Grady wyrznął samochodem w ceglany fundament portyku. Siła uderzenia była tak wielka, że nadwerężyła wysokie białe kolumny podtrzymujące dach portyku, a jedna z nich zvaliła się na klomb koło domu. Przednie błotniki samochodu powyginały się, a chłodnica została wgnieciona w silnik. Kawałek drzewa uderzył w przednią szybę i roztrzaskał ją. Zaraz po zderzeniu para z sykiem buchnęła z motoru. Minęło parę minut, zanim Grady wylazł ze środka. Szeroko otwartymi oczami spojrzął na rozbity samochód, po czym potężnym kopniakiem zatrzaskał drzwi.

Gdy wchodził po schodkach na werandę, Lucjana odeszła od okna i stanęła na środku pokoju. Nie wiedziała, co zrobić. Po krótkiej chwili usłyszała, jak Grady wchodzi po schodach — podbiegła do drzwi, zamknęła je na klucz. Jak się można było spodziewać, Grady szedł korytarzem i na całe gardło ją wołał. Stał przed drzwiami, zaczął w nie kopać.

— Lucjanko! Gdzie jesteś, kochanie?

Drżąc ze strachu nasłuchiwała, jak Grady próbuje włożyć klucz w zamek. Gdy mu się nie udało otworzyć drzwi, znów zaczął w nie kopać.

— Wiem, że tam jesteś, Lucjanko! — wołał. — Nie ukryjesz się przede mną! Już ja cię dostanę!

Całym ciężarem ciała napierał na drzwi, usiłując wyważyć je z zawiasów. Drewniany filunek trzeszczał pod naporem.

— Jak nie otworzysz drzwi, wezmę siekiere i porąbię je na drobne kawałki!

— Proszę cię, Grady, nie rób tego! — zawołała. — Dajże spokój! Czego chcesz?

— Muszę się napić — odparł po chwili tonem pokornej prośby. — Nie odmówisz mi, prawda, Lucjanko?

— Och, Grady! — powiedziała nie mogąc oprzeć się współczuciu dla niego. — Wiesz, że nie mam whisky.

— A gdybyś miała, to dałabyś mi, Lucjanko? Przez pamięć na dawne czasy nie odmówiłabyś? I nie potrafiłabyś mnie okłamać, prawda, Lucjanko?

— Och, Grady, wiesz, że dałabym ci whisky, gdybym tylko miała.

— Tak też myślałem — jego głos stał się przyjazny i łagodny. — Wiedziałem, że nie odmówiłabyś tej drobnej przysługi, gdybyś mogła mi ją wyświadczyć. Zawsze byłaś dobra dla mnie. Nie jesteś z tych, co nie zapominają urazy, prawda, Lucjanko?

— Tak, Grady.

— Gdybym poszedł po rozum do głowy, wszystko mogłoby się tu zmienić, przyznaj sama.

— Tak, Grady.

— Cały dzień o tym myślałem — zapewnił z powagą. — Tylko że powinienem był pomyśleć o tym znacznie wcześniej. Teraz już chyba za późno.

— Wcale nie jest za późno, jeśli naprawdę postanowisz zmienić się, Grady.

— Nie wiem — odparł niepewnie. — Sprawy zaszły już za daleko.

Potem długo milczał i Lucjana myślała, że poszedł do swego pokoju. Przestraszyła się, gdy nagle zapukał do drzwi.

— Czego chcesz, Grady? — spytała zaniepokojona.

— Przepraszam, że byłem taki natarczywy, Lucjanko — odpowiedział.

Usłyszała, jak odchodzi chwiejnym krokiem. Poszedł do swego pokoju, zamknął za sobą drzwi.

Miała łzy w oczach. Odwróciła się od drzwi i poszła położyć się na kanapie. W żaden sposób nie mogła powstrzymać łez — płakała jak dziecko. Nie mogła odpędzić się od myśli, że gdyby nie zamknęła drzwi na klucz, wszystko może by się inaczej skończyło. W kwadrans później usłyszała, że Grady biegnie korytarzem. Znów natarczywie pukał do drzwi. Z trudem powstrzymała się. Wiedziała, co by było, gdyby teraz go wpuściła.

— Lucjanko? — zawołał.

— Słucham, Grady.

— Zapomniałem coś ci powiedzieć.

— Co to było?

Czuła, jak serce boleśnie łomocze jej w piersi. Z zapartym tchem czekała, co powie Grady.

— Nie zdobyłem pieniędzy na spłatę długu.

— Och! — zawołała. — Nie zdobyłeś?

— Właśnie.

Za nic w świecie nie wyznałaby, co się dzieje w jej sercu, ale gorąco chciała powiedzieć mu, jak bardzo zmartwiła ją ta wiadomość.

— Wiesz, o czym mówię, prawda, Lucjanko?

— Tak, Grady. Wiem. Strasznie mi przykro. Szkoda, że nie mogę...

Urwała z obawy, że głos jej się załamie. Uczepiła się palcami oparcia fotela — poczuła, że ręce jej zdrętwiały i osłabły.

— Ben Baxter mówił o tym z sędzią Lovejoyem, ale niewiele z tego wynikło. Potem widział się ze Skeeterem i próbował go nakłonić, by zaczekał, aż będę mógł sprzedać zbiory bawełny w jesieni, ale Skeeter o niczym nie chciał słyszeć. Obawiam się, że nie ma wyjścia, Lucjanko. Ben zrobił, co mógł, i już nie mam do kogo zwrócić się o ratunek.

— Grady, co chcesz zrobić?

— Nie wiem — odparł bezradnie. — Pojęcia nie mam.

— Pomogłabym ci, Grady, gdyby to było możliwe. Wiesz o tym, prawda?

Coś odpowiedział, ale tak bełkotliwie, że nie zrozumiała. Odszedł od drzwi, słyhać było, że coś tam mamrocze. Usłyszała, jak ciężko stąpa korytarzem i jak zamknął drzwi swego pokoju. Przez pół godziny siedziała naprężona na skraju łóżka i nasłuchiwała. W pokoju Grady'ego było cicho. W głowie kołatała jej myśl, że może przekonałaby Skeetera, gdyby sama spróbowała przemówić mu do rozsądku. Nie wiedziała, co powiedzieć i jak postąpić, ale czuła, że powinna zrobić, co tylko może, zanim będzie za późno. Nagle usłyszała, że z szaloną szybkością zajechał samochód i ze zgrzytem hamulców zatrzymał się na podjeździe. Zaraz potem ktoś zaczął trąbić głośno i uporczywie. Podbiegła do okna, ale już zrobiło się ciemno i nie mogła rozpoznać samochodu.

Grady zszedł na werandę od frontu. Zobaczyła, jak chwiejnym krokiem idzie do samochodu przez wysypane białym piaskiem podwórze. Gdy doszedł, byłby upadł, gdyby się nie oparł na karoserii. Skeeter Wilhite otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

Nagle zaczęli głośno się kłócić, ale Lucjana nie mogła dosłyszeć słów. Kłótnia się wzmogła, po chwili obaj krzyczeli równocześnie. Grady rzucił się na Skeetera, chciał go zdzielić pięścią, ale Skeeter, odskoczył w bok i Grady runął twarzą na ziemię. Wstając obrzucał Skeetera obelgami. Skeeter odepchnął go. Grady uderzył plecami w bok samochodu. Lucjana zdała sobie sprawę, że nie można dłużej patrzeć na to beczynnie. Wybiegła z pokoju.

Kiedy znalazła się na schodkach werandy, zobaczyła, że obaj mężczyźni wyciągnęli pistolety i zaczęli strzelać. Krzyknęła, ale huk strzałów zagłuszył jej głos. Pierwszy poruszył się Grady. Ręce mu opadły, upuścił pistolet. Osunął się na ziemię. Skeeter wycelował z zimną krwią i wpakował w Grady'ego jeszcze dwie kule. Popatrzył z góry na niego i uciekł do samochodu. Krzyząc przeraźliwie Lucjana pobiegła za nim przez podwórze, ale nie zdążyła go dogonić. Samochód błyskawicznie ruszył z miejsca i po krótkiej chwili z zapalonymi światłami i hukiem motoru gnał już drogą.

Lucjana uklękła przy Grady, objęła jego głowę i podniosła. Łzy zamgłyły jej wzrok, musiała je otrzeć, by zobaczyć Grady'ego.

— Grady! Grady! — wołała rwącym się głosem.

Otworzył oczy, spojrzał jej w twarz. Gdy ją poznał, na jego ustach pojawił się uśmiech, ledwie dostrzegalny w półmroku.

— Och, Grady, dlaczego to musiało się stać? — spytała tklawie. — Dlaczego... Dlaczego?!

Oczy znów zaszyły jej łzami, otarła je grzbietem dłoni.

— Dostyc kiepsko to się skończyło, Lucjanko — odparł słabym głosem. — Tyś najgorzej na tym wyszła. Wszystko było do niczego.

— Nie mów tak, Grady — wzięła go mocno w ramiona. — Nie powinienes się martwić.

— Nie o to chodzi. Wiem, żeś źle trafiła, Lucjanko. Nie byłem dobry dla ciebie. Wszystko to moja wina. Teraz żałuję, ale nic już nie mogę naprawić. Gdyby się dało zacząć jeszcze raz, tobym spróbował — tylko nie wiem, czyby coś dobrego z tego wynikło.

Chyba nie byłem zdolny dobrze cię traktować. Chciałem, ale po prostu mi nie wychodziło.

— Och, Grady, zawsze cię kochałam, bez względu na to, co było. Nie mogłam się oprzeć miłości do ciebie. I wiedziałam, że będę cię kochała, póki twego życia...

Zaparło jej dech w piersi, gdy się spostrzegła, co powiedziała, i mocno ścisnęła go w ramionach.

— Nie potępiaj mnie, Lucjanko — powiedział wolno. Język mu się plątał. — Bardzo się starałem, ale nie dałem rady. Chyba już taki się urodziłem.

Był coraz słabszy. Tulila go w ramionach, chciała coś powiedzieć, cokolwiek, byle go pocieszyć, ale żal ścisnął jej gardło, słowa zamierały na ustach.

— Lucjanko...

Pochyliła się nad nim, spojrzała mu w oczy.

— Co, Grady? Powiedz!

— Lucjanko, pomyśl o mnie czasem...

Ciało Grady'ego zrobiło się nagle bardzo ciężkie. Ścisnęła go w ramionach, jej łzy kapąły na bladą, znieruchomiałą twarz Grady'ego.

Dał się słyszeć tupot licznych nóg biegnących po ubitym białym piasku. Lucjana zobaczyła wokół siebie cienie migoczące w świetle latarni.

— Pani Lucjano, wielki Boże, coś strasznego się stało!

Lucjana poznała przerażony głos Marty. W świetle latarni stali jeszcze wuj Jeff Davis, Pete i z sześciu innych Murzynów. Światła samochodu błysnęły na nich. Nadjechał samochód i gwałtownie zatrzymał się na podjeździe.

— O Boże, zmiłuj się nad nami! — jęknęła Marta patrząc na leżącego na ziemi trupa Grady'ego. Padła na kolana obok Lucjany. — O Boże, Boże jedyny, zmiłuj się nad nami!

Z samochodu wyskoczył Ben Baxter i pobiegł do nich.

— Lucjano! — powiedział z trudem łapiąc powietrze. Ukląkł przy niej.

— Bardzo się śpieszyłem. Jak tylko usłyszałem, że Skeeter wyjechał z miasta w tym kierunku, natychmiast pogałem za nim. Wiedziałem, że coś takiego może się stać.

Usłyszeli czyjeś kroki w hallu i odwrócili się. Mama Elsie wybiegła na werandę. Ben zerwał się i pobiegł w stronę schodków, by nie wpuścić jej na podwórze, gdzie leżał trup Grady'ego. Zanim jednak dobiegł do niej, potężne ciało mamy Elsie zważyło się na podłogę. Lucjana zobaczyła, co się stało, i pobiegła w stronę werandy.

Ben zatrzymał ją przed schodkami.

— Już po wszystkim, Lucjano — powiedział potrząsając głową. — Przejęła się i za szybko biegła. Serce nie wytrzymało.

Ben dał znak Murzynom. Wzięli zwłoki mamy Elsie do domu i położyli na kanapie w salonie. Gdy wrócili na podwórze, Will Harrison i Brad właśnie wysiadali z ciężarówki.

— Usłyszeliśmy strzały i zobaczyli samochód odjeżdżający stąd na złamanie karku — powiedział Will do Bena. — Od razu wiedziałem, że stało się coś złego.

Brad przypatrywał się Lucjanie i Benowi.

— Kto zabił Grady'ego? — spytał po chwili.

— Skeeter Wilhite był tutaj — odparł Ben.

Brad zmierzył go wzrokiem.

— A pan co tu robi? — spytał.

Ben spojrzał na niego zdziwiony, ale nic nie powiedział.

— Jak usłyszałem strzelaninę, powiedziałem, że na pewno Skeeter Wilhite się tu zjawił — oświadczył Will. — Prędzej czy później to się musiało stać. Obydwaj, Grady i Skeeter, należą do takich, co z bronią w rękę załatwiają sprawę, jak się coś nie ułoży po ich myśli. Wiedziałem, że między nimi do tego dojdzie. Nie mogłem się omylić, za dobrze ich obu znałem.

Will zrobił parę kroków w stronę domu i przystanął.

— Nie uważam, by trzeba wzywać lekarza — powiedział. — Ale zadzwonię do niego. W każdym razie należy natychmiast zawiadomić szeryfa i tym też się zajmę.

Gdy Will wszedł do domu, Ben podszedł do wuja Jeffa Davisa, który stał wśród gromadki Murzynów.

— W ciągu paru dni wszystko się tutaj załatwi, wuju Jeffie — powiedział. — I będziesz mógł wraz z żoną przenieść się do miasta. Możesz powiedzieć wszystkim, że oni też mogą zrobić to samo.

— Dziękuję panu — z wielką powagą odparł stary Murzyn. Oczy zaszyły mu łzami.
— Serdecznie dziękuję.

Ben odwrócił się, by podejść do Lucjany i znalazł się twarzą w twarz z Bradem.

— Co pan sobie właściwie myśli? — gniewnie spytał Brad. — Kto panu pozwolił rządzić się tutaj?

— Nie wiem, o co panu chodzi — odparł Ben. — Ktoś musi się tym zająć. W takiej chwili Lucjanie potrzebna jest pomoc...

— Pan mi jej nie odbierze! — zawołał Brad cofając się i podnosząc pięści.

Lucjana podbiegła do Bena i uczepliła się jego ramienia. Ben, zdziwiony i zbity z tropu, spojrział na nią.

— Nie rozumiem, Lucjano — powiedział. Popatrzył na nią badawczo. — Czy chcesz, bym się stąd wyniósł?

Szybko potrząsnęła głową. Odwróciła się od Brada i przytuliła twarzą do Bena.

Brad, ciężko dysząc, patrzył na nich z coraz większym oburzeniem. Twarz płonęła mu gniewem.

— Nie nadaję się dla ciebie, co? — spytał zjadliwie trzęsąc się z oburzenia. — Nie chcesz mieć nic wspólnego ze mną, bo jestem białym Murzynem! Powinienem był wiedzieć o tym! Jesteś taka sama, jak oni wszyscy. Zawróciłaś mi głowę, bo myślałem, że jesteś inna. Ale nie! Niczym się nie różnisz od Dunbarów! — Odszedł parę kroków od niej, przystanął. — Więc zostań ze swoimi. Kiedyś pożałujesz, że nie chciałaś ze mną żyć, jak było to możliwe.

Odwrócił się do niej plecami i po chwili zniknął w mroku nocy. Wieczorny wietrzyk nadleciał z niziny, zaszeleściły liście czerwonych dębów i nad wzgórzem powiał ostry zapach płonącej sosny.